

OPOWIEŚCI Z NARNII

Siostrzeniec Czarodzieja
Lew, Czarownica i stara szafa
Koń i jego chłopiec
Książę Kaspian
Podróż „Wędrowca do Świtu”
Srebrne krzesło
Ostatnia bitwa

C.S. LEWIS
KSIĄŻĘ KASPIAN

Ilustrowała Pauline Baynes

Przełożył Andrzej Polkowski

Tytuł oryginału PRINCE CASPIAN
Okładkę projektował Jacek Pietrzyński
Copyright © CS Lewis Pte Ltd 1950
Copyright © 1996 for Polish edition by Media Rodzina of Poznań
Copyright © 1996 for Polish translation by Andrzej Polkowski
pisemne) zgody wydawcy.
ISBN 83-85594-40-X
Przekład poprawiony
Media Rodzina of Poznań, ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań
tel. 820 34 75, fax 820 34 11 e-mail: mrodzina@beta.nask.poznan.pl
Skład, łamanie i diapozytywy perfekt s.c, Poznań, ul. Grodziska 11
Druk i oprawa: Zakład Poligraficzny „Abedik” Poznań, ul. Ługańska 1, tel. 877 40 68

DLA MARY CLARE HAVARD

Rozdział 1

WYSPA

BYŁO RAZ CZWORO DZIECI: Piotr, Zuzanna, Edmund i Łucja. W innej książce, pod tytułem *Lew, Czarownica i stara szafa*, opowiedziałem o niezwykłej przygodzie, jaka im się przydarzyła. Pewnego razu dzieci otworzyły drzwi zaczarowanej szafy i znalazły się w zupełnie innym świecie. A w tym innym świecie zostały królami i królowymi kraju zwanego Narnią. Były przekonane, że ich panowanie w Narnii trwało długie, długie lata, ale kiedy przeszły z powrotem przez drzwi starej szafy i znalazły się znowu w Anglii, okazało się, że wszystko to nie trwało nawet minuty. W każdym razie nikt nie zauważył ich zniknięcia. I nigdy nie opowiadały o swojej przygodzie nikomu, z wyjątkiem pewnego bardzo mądrego dorosłego.

Wszystko to wydarzyło się jakiś rok temu. Teraz cała czwórka siedziała na ławce na stacji kolejowej, a wokół nich piętrzyły się walizy i pudła z zabawkami. Wracali do szkoły. Stacja była ich miejscem przesiadki; dotąd podróżowali razem, a teraz czekali na dwa różne pociągi. Jeden miał zabrać do szkoły dziewczynki, a drugim — około pół godziny później — mieli pojechać do swojej szkoły chłopcy. Pierwsza część podróży, którą odbyli razem, wydawała im się jeszcze częścią wakacji, ale teraz, kiedy mieli niedługo pożegnać się i rozdzielić, każde z nich czuło, że lato naprawdę już się kończy. Ponownie ogarnęły ich uczucia, które zna każdy, kto rozpoczynał nowy rok szkolny. Nic więc dziwnego, że wszyscy czworo mieli raczej ponure miny i nikt się nie wysiłał, aby zacząć rozmowę. Nie było o czym mówić. Łucja szła po raz pierwszy do szkoły z internatem.

Była to mała, wiejska stacja, pusta i uśpiona, na której prócz nich nie było nikogo. Siedzieli w ciszy.

Nagle Łucja wrzasnęła przenikliwie, jakby ją osa ugryzła.

— Co się stało, Łusiu? — zapytał Piotr i w chwilę potem sam krzyknął: — Au!

— Co wy, do licha... — zaczął Edmund, nagle urwał i zawołał: — Zuzanno, zostaw mnie! Co ty wyprawiasz? Dokąd mnie ciągniesz?!

— Nawet cię nie dotknęłam — zaprotestowała Zuzanna. — To MNIE ktoś ciągnie. Och — och — och! Przestań!

Każdy zauważył, że twarze pozostałych zrobiły się nagle białe.

— Czuję to samo — wykrztusił Edmund. — Jakby mnie coś ciągnęło. To jest okropne... och, znowu się zaczyna...

— Mnie też ktoś ciągnie — powiedziała Łucja.

— Ojej, nie zniosę tego dłużej!

— Uwaga! — krzyknął Edmund. — Złapmy się za ręce i trzymajmy mocno razem. Czuję, że to jakieś czary. Prędko!

— Tak! — powiedziała Zuzanna. — Trzymajmy się mocno za ręce. Och, naprawdę, żeby to już przestało... och!

I nagle bagaże, ławka, peron i cała stacja zniknęły im sprzed oczu. Trzymając się za ręce i z trudem łapiąc oddech, znaleźli się w jakimś lesie, tak gęstym, że gałęzie wbijały się im w ubrania i trudno było się poruszać. Wszyscy czworo przetarli oczy i zaczerpnęli głęboko powietrza.

— Och, Piotrze! — krzyknęła Łucja. — Nie sądzisz, że wróciliśmy do Narnii?

— Możemy być wszędzie — odpowiedział Piotr.

— W tym gąszczu trudno coś zobaczyć dalej niż na pół metra. Spróbujmy się wydostać na jakąś otwartą przestrzeń, jeżeli tu w ogóle taka jest.

Nie było to łatwe. W końcu, poparzeni pokrzywami i podrapani kolcami, wydostali się z gęstwiny. Zrobiło się jaśniej i po kilku krokach znaleźli się na skraju lasu. Czekala ich nowa niespodzianka. Tuż przed nimi rozciągała się piaszczysta plaża, a dalej, zaledwie parę metrów od nich, piasek obmywały fale morza, tak małe, że prawie nie słyszeli ich plusku. Na horyzoncie nie widniał żaden ład, a na niebie nie było ani jednej chmurki. Słońce znajdowało się tam, gdzie powinno być o dziesiątej rano. Morze było oślepiająco niebieskie. Stali, wciągając w nozdrza słony, morski zapach.

— A niech to dunder świśnie! — zawołał Piotr.

— To mi się nawet podoba.

Pięć minut później nikt już nie miał na nogach butów i skarpetek. Brodzili w chłodnej, czystej wodzie.

— Na pewno wolę to, niż kisenie się w dusznym pociągu i zbliżanie do łaciny, francuskiego i algebry! — zauważył Edmund. I znowu nikt nic nie mówił przez dłuższy czas, wszyscy byli zajęci chlapaniem się w wodzie i wypatrywaniem krewetek i krabów.

— Tak czy owak — odezwała się w końcu Zuzanna — myślę, że powinniśmy coś postanowić. Niedługo zachce nam się jeść.

— Mamy kanapki, które mama dała nam na drogę — odpowiedział Edmund. — W każdym razie ja mam swoje.

— Ja nie — oznajmiła Łucja. — Moje były w tej mniejszej torbie.

— I moje też — dodała Zuzanna.

— Moje są w kieszeni płaszcza, tu, na plaży — powiedział Piotr.

— To by były dwa drugie śniadania na czworo. Nie wygląda to zbyt wesoło.

— Och, bardziej marzę o jakimś picu niż o jedzeniu, przynajmniej w tej chwili — powiedziała Łucja.

Teraz każdy poczuł pragnienie, co jest zupełnie normalne, gdy w gorącym słońcu brodzi się przez dłuższy czas w słonej wodzie.

— To tak, jakbyśmy byli rozbitkami — zauważył Edmund. — W książkach zawsze na wyspie znajduje się jakieś źródło z czystą, świeżą wodą. Dobrze by było pójść i poszukać.

— Czy to znaczy, że trzeba wrócić do tego gęstego lasu? — zapytała Zuzanna.

— Wcale nie — odpowiedział Piotr. — Jeżeli tu są jakieś strumienie, to muszą wpadać do morza. Tak pójdziemy plażą, to w końcu na któryś natrafimy.

Ruszyli więc ku brzegowi lasu, najpierw przez pas gładkiego, mokrego piasku, a potem po suchym i łamliwym, przesypującym się między palcami nóg. Na skraju plaży włożyli skarpetki i buty. Edmund i Łucja chcieli je tu zostawić i iść dalej boso, ale Zuzanna stwierdziła, że to głupi pomysł:

— Możemy już ich nie znaleźć, a będą nam potrzebne, jeśli zastanie nas tutaj noc i zrobi się zimno.

Ubrali się i powędrowali wzdłuż brzegu, mając morze po lewej stronie, a las po prawej. Okolica była cicha i spokojna, tylko od czasu do czasu pojawiała się samotna mewa. Do gęstego i splątanego lasu trudno było zajrzeć. Nic się w nim nie poruszało, ani śladu ptaków czy nawet owadów.

Musze i wodorosty, anemony i małe kraby w skalnych rozpadlinach — wszystko to są rzeczy bardzo ciekawe, ale szybko ma się ich dość, jeżeli w gardle zasycha z pragnienia. Po brodzeniu w chłodnej wodzie dzieci czuły, jak pieką nogi i ciężą im ciasne teraz buty. Zuzanna i Łucja dźwigały swoje płaszcze od deszczu. Edmund położył swój na peronowej ławce, nim zaczęły się czary, więc teraz niósł na zmianę z Piotrem jego okrycie.

Brzeg zaczął skręcać w prawo. Po kwadransie doszli do wrzynającego się w morze skalistego cypla,

za którym brzeg cofał się pod ostrym kątem w głąb lądu. Kiedy minęli cypel, szli w zupełnie przeciwnym kierunku niż wówczas, gdy po raz pierwszy wyszli z lasu na plażę. Za wodą pojawił się drugi brzeg, porośnięty lasem tak samo gęstym jak ten, który zamierzali zbadać.

— Zastanawiam się, czy jesteśmy na wyspie, czy też idziemy wzdłuż głębokiej zatoki i w końcu dojdziemy do tamtego brzegu — odezwała się Łucja.

— Nie mam zielonego pojęcia — odpowiedział Piotr i znowu brnęli dalej w milczeniu.

Brzeg, którym szli, zaczął się teraz zbliżać do przeciwległego. Za każdym razem, kiedy dochodzili do kolejnego cypla, spodziewali się zobaczyć miejsce, w którym oba brzegi łączą się, i za każdym razem czekało ich rozczarowanie. Doszli w końcu do jakichś skał i wspięli się na nie, aby rozejrzeć się po okolicy.

— A niech to lichy! — krzyknął Edmund. — Wcale mi się to nie podoba. Nigdy nie dojdziemy do tamtego lasu. Jesteśmy na wyspie!

Miał rację. W tym miejscu przesmyk między nimi a przeciwległym brzegiem miał zaledwie jakieś trzydzieści metrów szerokości, ale teraz widzieli już wyraźnie, że jest to tylko jego najwęższy odcinek. Dalej brzeg znowu się cofał, a pomiędzy nim a dalekim lądem jaśniało otwarte morze. Było oczywiste, że obeszli już więcej niż połowę wyspy.

— Spójrzcie! — zawołała Łucja. — Co to takiego? — Wskazała na długi srebrny kształt wijący się jak wąż przez plażę.

— Strumień! Strumień! — krzyknęli pozostali, pomimo zmęczenia, nie tracąc ani chwili, ześlizgnęli się po skałach i pobiegli ku świeżej wodzie. Wiedzieli, że trudno pić wodę ze strumienia na piaszczystej plaży, skierowali się więc od razu do miejsca, w którym strumień wypływał z lasu. Drzewa i krzaki rosły tu tak samo gęsto jak wszędzie, ale strumień wyłubił głębokie koryto między pokrytymi mchem brzegami, tak, że zgiąwszy się w pół, mogli wejść w las tunelem utworzonym przez zarośla i gałęzie drzew. Przy pierwszej, brązowej, pomarszczonej przez prąd sadzawce upadli na kolana i pili, pili, i zanurzali w wodzie twarze, a potem ręce aż po łokcie.

— No, a teraz, co z tymi kanapkami? — odezwał się w końcu Edmund.

— Och, czy nie lepiej zachować je na później? — powiedziała Zuzanna. — Później mogą być jeszcze bardziej potrzebne.

— Jak by to było dobrze — wtrąciła Łucja — gdybyśmy teraz, kiedy już nie chce się nam pić, byli tak mało głodni jak wtedy, kiedy BYLIŚMY spragnieni...

— Tak, hm... ale co z tymi kanapkami? — powtórzył Edmund. — Będziemy je oszczędzać, aż się zepsują? Pamiętajcie, że tu jest o wiele cieplej niż w Anglii, a niesiemy je w kieszeniach od wielu godzin. Wyjęli więc dwie paczuski z kanapkami, które podzielili na cztery części. Nikt nie najadł się do syta, ale poczuli się teraz o wiele lepiej. Zaczęli dyskutować nad tym, jak zdobyć coś na następny posiłek. Łucja proponowała, by wrócić nad morze i nałowić krewetek, ale ktoś przypomniał, że nie mają przy sobie żadnej siatki. Edmund stwierdził, że trzeba nazbierać mewich jajek, ale kiedy zaczęli się nad tym zastanawiać, doszli do wniosku, że po pierwsze — nikt nie widział po drodze ani jednego jajka, a po drugie — jak je ugotować? Piotr pomyślał sobie, że jeśli tylko nie wydarzy się coś niezwykłego, to prawdopodobnie już niebawem nadejdzie czas, gdy z radością zjedliby i surowe jajka. Nie widział jednak sensu, by mówić o tym na głos. Zuzanna upierała się, że głupotą było zjedanie kanapek tak wcześnie. Zanosilo się na to, że jedno czy dwoje z nich za chwilę straci panowanie nad sobą. W końcu Edmund powiedział:

— Słuchajcie! Pozostaje nam tylko jedno. Musimy zbadać ten las. Pustelnicy, błędni rycerze i inni tacy zawsze jakoś potrafili wyżyć w puszczy. Jedli korzonki, jagody i różne takie rzeczy.

— Co to były za korzonki? — spytała Zuzanna.

— Zawsze myślałam, że chodziło o korzenie drzew — powiedziała Łucja.

— Dajcie spokój! — przerwał Piotr. — Edmund ma rację. Zresztą i tak coś trzeba robić. A chyba lepsze to niż powrót na oślepiające słońce.

Podnieśli się i zaczęli iść w górę strumienia. Nie był to lekki spacer. Musieli zginać się wpół pod nisko wiszącymi gałęziami, przełazić przez zagradzające drogę pnie i przedzierać się przez zbity gąszcz jakiegoś paskudnego zielska przypominającego rododendrony. Wkrótce wszyscy mieli podarte ubrania i przemoczone buty. Nikt się nie odzywał, słychać było tylko plusk strumienia i hałas, jaki sami robili, przedzierając się przez zarośla i raz po raz wpadając do wody. Byli już porządnie zmęczeni, kiedy nagle poczuli jakiś cudowny zapach, a potem dostrzegli coś jaskrawokolorowego, migającego wśród zieleni wysoko, na prawym brzegu strumienia.

— Hej! — krzyknęła Łucja. — Mogę się założyć, że to jabłoń.

Miała rację. Wspięli się na stromy brzeg, z trudem przedarli przez gąszcz jeżyn i stanęli przed wielkim, starym drzewem, uginającym się pod ciężarem złocistych jabłek, tak jędrnych i soczystych, jak tylko można sobie było wymarzyć.

— I to nie jest jedyne drzewo — zauważył Edmund z pełnymi ustami. — Spójrzcie tylko tam... i tam...

— Rzeczywiście, jest ich mnóstwo — powiedziała Zuzanna, odrzucając ogryzek pierwszego jabłka i zabierając się do drugiego. — Tu musiał być kiedyś sad, dawno, dawno temu, zanim całe to miejsce zdziczało i zarosło.

— A więc ta wyspa była kiedyś zamieszкана — zauważył Piotr.

— A cóż to takiego? — odezwała się nagle Łucja, wskazując przed siebie.

— Tam do smoka, to przecież mur! — zawołał Piotr — Stary, kamienny mur.

Torując sobie drogę wśród zwałów opadłych gałęzi, dotarli do muru. Był bardzo stary, miejscami wykruszony i popękany, porośnięty mchem i zielskiem, wciąż jednak wyższy niż największe z drzew. A kiedy podeszli jeszcze bliżej, stwierdzili, że w murze widnieje wielki łuk, który musiał być kiedyś zwieńczeniem bramy, wypełnionej teraz prawie całkowicie największą ze wszystkich jabłoni. Musieli wyłamać trochę gałęzi, aby dostać się do środka, a kiedy to zrobili, oślepiło ich nagle światło słońca. Znaleźli się na rozległej przestrzeni otoczonej murem. Nie było tu drzew, tylko trawa, stokrotki, bluszcz i szare mury. Było to miejsce jasne, lecz tajemnicze, ciche i nieco ponure. Doszli do samego środka, zadowoleni, że mogą wreszcie wyprostować plecy i poruszać swobodnie nogami.

Rozdział 2 STAROŻYTNY SKARBIEC

— To NIE BYŁ OGRÓD — powiedziała w końcu Zuzanna. — To był zamek, a tu, gdzie stoimy, na pewno był dziedziniec.

— Ależ tak, teraz to widzę — zgodził się Piotr.

— Tak, to resztki jakiejś wieży. A to musiały być schody wiodące na szczyt murów. I popatrzcie na tamte stopnie, te szerokie i niskie, prowadzące ku temu wejściu. To pewno było wejście do wielkiej sali.

— Przed wiekami, sądząc po wyglądzie — dodał Edmund.

— Tak, przed wiekami — powiedział Piotr. — Bardzo bym chciał wiedzieć, kim byli ludzie, którzy mieszkali w tym zamku, i kiedy to było.

— To wszystko budzi we mnie jakieś dziwne uczucie — powiedziała Łucja.

— Naprawdę, Łusiu? — zapytał Piotr, odwracając się i przyglądając się jej uważnie. — Bo widzisz, we mnie też... Czuję, że to najbardziej niesamowita rzecz, jaka nam się przytrafiła w ciągu tego niesamowitego dnia. Gdzie my jesteśmy i co to wszystko znaczy?

Tak rozmawiając przeszli przez dziedziniec, a potem przez drugą bramę, do której wiodły szerokie schody. Znaleźli się teraz w miejscu, które niewątpliwie było kiedyś wielką salą, choć obecnie niewiele różniło się od dziedzińca, gdyż sklepienie dawno temu się zapadło, a pośrodku rosła trawa i stokrotki. Tyle że przestrzeń była mniejsza, a mury wyższe. Na końcu znajdowało się coś w rodzaju podwyższenia.

— Zastanawiam się, czy to naprawdę była sala

— powiedziała Zuzanna — bo co ma oznaczać ten taras?

— Ależ nie bądź głupia, Zuziu — powiedział Piotr, który zdradzał objawy dziwnego podniecenia.

— Czy nic ci to nie przypomina? To przecież jest podwyższenie, gdzie stał wysoki stół, za którym zasiadał król i jego szlachetni baronowie. Mógłby kto pomyśleć, że już zapomniałaś, jak to było, gdy sami byliśmy królami i królowymi i siadaliśmy na podobnym podwyższeniu w naszej wielkiej sali królewskiej.

— W naszym zamku Ker-Paravel... — wpadła mu w słowo Zuzanna i ciągnęła dalej rozmarzonym, śpiewnym głosem: — W Narnii, u ujścia Wielkiej Rzeki. Jakżeby mogła zapomnieć?

— Jak to wszystko powraca... — powiedziała Łucja. — Możemy sobie wyobrazić, że jesteśmy w Ker-Paravelu. Ta sala musiała być rzeczywiście bardzo podobna do tej, w której ucztowaliśmy.

— Rzeczywiście, tyle że, niestety, nie widzę tu żadnej uczty — przerwał jej Edmund. — Robi się późno. Zobaczcie, jakie długie są cienie. I czy zauważyliście, że nie jest już tak gorąco?

— Trzeba będzie rozpalic ognisko, jeśli mamy tu spędzić noc — powiedział Piotr. — Mam zapalki. Chodźmy poszukać jakiegoś suchego drewna.

Dla każdego zabrzmiało to bardzo rozsądnie i przez następne pół godziny wszyscy mieli pełne ręce roboty. W sadzie, w którym byli wcześniej, nie znaleźli drewna na ogień, spróbowali więc szczęścia po drugiej stronie zamku. Wyszli z sali królewskiej przez małe boczne drzwi i znaleźli się w labiryncie kamiennych rumowisk i rozpadlin, które zapewne były kiedyś korytarzami i komnatami, ale teraz zarosły pokrzywami i dzikimi różami. Dotarli w końcu do murów zamku i znaleźli w nich dziurę na tyle szeroką, by przez nią przejść. Po drugiej stronie ciągnął się ciemny las, w którym pełno było martwych gałęzi, spróchniałych pni, zeschniętych liści i szyszek. Wracali tam kilka razy, aż na podwyższeniu w wielkiej sali zebrał się spory stos. Potem dziewczynki poszły narwać jabłek, a chłopcy przygotowali ognisko w samym rogu tarasu, pod murem, gdzie wydawało się najcieplej i najbardziej przytulnie.

Mieli trochę trudności przy rozpalaniu i zmarnowali sporo zapalek, ale w końcu im się udało i wszyscy zasiedli przy ogniu, opierając się plecami o kamienny mur. Próbowali piec jabłka nadziane na patyki, ale okazało się, że pieczone bez cukru nie są najlepsze; trudno też jeść gorące jabłka palcami, a kiedy ostygną — są gorsze od surowych. Musieli więc zadowolić się surowymi, co pozwoliło Edmundowi zauważyć, że kolacje w szkolnym internacie nie były w końcu takie złe.

— Nie miałbym nic przeciwko grubej pajdzie chleba z margaryną — dodał. Ale poczucie wielkiej przygody podniosło każdego na duchu i tak naprawdę nikt nie pragnął znaleźć się z powrotem w szkole.

Jak tylko znikło ostatnie jabłko, Zuzanna wyszła, by napić się wody ze studni. Kiedy wróciła, niosła

coś dziwnego w ręku.

— Patrzcie — powiedziała zdławionym głosem. — Znalazłam to przy studni.

Podala to coś Piotrowi i usiadła. Jej głos i mina zdradzały, że zaraz może się rozplakać. Edmund i Łucja podskoczyli do Piotra, aby zobaczyć, co ma w ręku: mały, jasny przedmiot, połyskujący w świetle ogniska.

— No nie, niech mnie dunder świśnie... — powiedział Piotr, a jego głos również zabrzmiał jakoś dziwnie. Potem podał przedmiot innym.

Teraz wszyscy zobaczyli, co to było: figurka konika szachowego, normalnej wielkości, lecz niezwykle ciężka, bo zrobiona z czystego złota. Oczywiście konika to były dwa małe rubiny — albo raczej jeden, ponieważ drugiego brakowało.

— Ale przecież — powiedziała Łucja — jest zupełnie taki sam, jak jeden z tych złotych koników, którymi graliśmy w szachy, gdy byliśmy królami i królowymi na Ker-Paravelu.

— Weź się w garść, Zuziu — powiedział Piotr do drugiej siostry.

— Nie mogę się opanować — odrzekła Zuzanna. — Wszystko staje mi znów przed oczami. Och, jakie to były cudowne czasy! Pamiętam, jak graliśmy w szachy z faunami i dobrymi olbrzymami... Pamiętam śpiew wodników i rusalek dochodzący z morza... i mojego wspaniałego konia... i... i...

— Słuchajcie — przerwał jej Piotr zupełnie innym głosem — najwyższy czas, żebyśmy wszyscy zrobili właściwy użytek z naszych mózgownic.

— O co ci chodzi? — zapytał Edmund.

— Czy nikt z was jeszcze nie zgadł, gdzie właściwie jesteśmy?

— Mów, mów dalej — powiedziała Łucja. — Już od dłuższego czasu czuję, że jakaś cudowna tajemnica wiąże się z tym miejscem.

— No to strzelaj, Piotrze — odezwał się Edmund. — Wszyscy słuchamy.

— Znajdujemy się w ruinach Ker-Paravelu — powiedział Piotr.

— Ale przecież... — zaczął Edmund i urwał. — Skąd ci to przyszło do głowy? Te ruiny są bardzo stare. Spójrz na te wszystkie wielkie drzewa rosnące aż do samej bramy. Spójrz na te kamienie. Przecież każdy widzi, że nikt tu nie mieszkał od setek lat.

— Wiem — powiedział Piotr. — Na tym polega cała trudność. Ale zapomnijmy o niej na chwilę. Chciałbym wam przedstawić moje argumenty, jeden po drugim. Punkt pierwszy: ta sala ma dokładnie takie same rozmiary i kształt jak nasza sala królewska w Ker-Paravelu. Wystarczy tylko sobie wyobrazić sufit, kolorową posadzkę zamiast trawy, tkaniny na ścianach i będziecie mieli naszą królewską salę bankietową. Nikt się nie odezwał.

— Punkt drugi: zamkowa studnia znajduje się w tym samym miejscu co nasza, nieco na południe od wielkiej sali, ma też dokładnie te same rozmiary i kształt.

I tym razem wszyscy milczeli.

— Punkt trzeci: Zuzanna znalazła przed chwilą jedną z naszych figur szachowych, albo coś tak podobnego, jak dwie krople wody.

Znowu nikt nie miał na to odpowiedzi.

— Punkt czwarty: przypomnijcie sobie dzień przed przybyciem posła od króla Kalormenów, czy nie pamiętacie, jak zakładaliśmy sad za północną bramą Ker-Paravelu? Sama Pomona, królowa drzewnych ludzi, przybyła, aby wypowiedzieć nad nim swoje życzliwe zaklęcia. A poczciwe krety wykonały wszystkie prace ziemne. Czy już zapomnieliście starego Liliaka Rękawicę, wodza kretów, jak wsparł się na swoim szpadlu i powiedział: „Niech mi wasza wysokość uwierzy, że będzie kiedyś wielki pożytek z tych jabłoni”. I niech mnie dunder świśnie, jeżeli się mylił.

— Pamiętam! Pamiętam! — zawołała Łucja, klaszcząc w dłonie.

— Ależ, Piotrze — powiedział Edmund — przecież to wszystko nie ma sensu. Zaczyna się od tego, że nie mogliśmy zaplanować takiego paradnego sadu tuż przed bramą. Przecież chyba mieliśmy trochę oleju w głowie.

— Masz świętą rację, tacy głupi nie byliśmy — odpowiedział Piotr. — Ale od tego czasu sad rozrósł się aż do bramy.

— A teraz druga sprawa — ciągnął Edmund. — Ker-Paravel nie leżał na wyspie.

— Tak, o tym też myślałem. Ale był to wówczas... jak to się nazywa... półwysp. Prawie jak wyspa. Czy od naszych czasów nie mógł stać się wyspą? Ktoś mógł przekopać kanał.

— Chwileczkę! — zawołał Edmund. — Powiedziałeś „od naszych czasów” . Ale przecież dopiero rok minął, odkąd wróciliśmy z Narnii. Chcesz nam wmówić, że w ciągu jednego roku zamki zamieniają się w kompletną ruinę, wielkie puszcze wyrastają tam, gdzie ich nie było, małe drzewka, które sami sadziliśmy, stają się wielkim, starym sadem i Bóg wie co jeszcze?

— Coś sobie przypominam — przerwała im Łucja. — Jeżeli to jest Ker-Paravel, to przy końcu królewskiego podium powinny być drzwi. Tak, powinniśmy siedzieć akurat przed tymi drzwiami. Pamiętajcie... drzwi prowadzące do skarbcza.

— Nie wydaje mi się, żeby tu były jakieś drzwi — powiedział Piotr i wstał.

Ściana pokryta była kaskadą bluszczu.

— Możemy się o tym zaraz przekonać — powiedział Edmund, chwytając jedną z gałęzi, które przynieśli z lasu na ognisko, i zaczął nią metodycznie walić w mur. Tap — tap — tap — odpowiadała ściana, i znowu: tap — tap — tap, aż nagle: bum — bum — bum — usłyszeli zupełnie inny dźwięk, pusty i drewniany.

— O holender! — krzyknął Edmund.

— Musimy oczyścić mur z tego bluszczu — powiedział Piotr.

— Och, dajcie teraz spokój — wtrąciła Zuzanna — Możemy to zrobić rano. Jeżeli mamy tu spędzić noc, to nie chcę mieć za plecami żadnych otwartych drzwi i wielkiej czarnej dziury, z której w każdej chwili może Bóg wie co wylecieć, nie mówiąc o przeciągu i wilgoci. I zaraz zrobi się ciemno.

— No wiesz, Zuzanno! Jak możesz! — powiedziała Łucja z wyrzutem. Ale obaj chłopcy byli zbyt podnieceni, aby zwracać uwagę na rady Zuzanny. Zabrali się do usuwania bluszczu rękami i scyzorykiem Piotra z takim zapałem, że bardzo szybko ostrze się złamało. Edmund wyciągnął swój scyzoryk. Wkrótce całą posadzkę w rogu podwyższenia pokrył bluszcz, a w ścianie wyraźnie ukazały się drzwi.

— Oczywiście zamknięte — powiedział Piotr.

— Ale drewno jest zbutwiałe — stwierdził Edmund. — W dwie minuty rozbijemy je na kawałki i będziemy mieli dodatkowy opał.

Zajął im to jednak więcej czasu, niż się spodziewali i zanim drzwi zostały otwarte, zapadł zmrok, a wysoko nad ich głowami pojawiły się pierwsze gwiazdy. Nie tylko Zuzanna poczuła lekki dreszcz, kiedy chłopcy stanęli wreszcie na stosie połupanego drewna, otrzepując ręce i patrząc w wiejący chłodem czarny otwór.

— Teraz potrzebna będzie pochodnia — powiedział Piotr.

— Och, po co to wszystko? — odezwała się Zuzanna. — I przecież sam Edzio mówił, że...

— Ale teraz mówię co innego — przerwał jej Edmund. — Wciąż tego nie rozumiem, ale wyjaśnimy to później. Mam nadzieję, Piotrze, że zamierzasz tam wejść?

— Musimy to zrobić — odpowiedział Piotr. — Weź się w garść, Zuzanno. Nie możemy się zachowywać jak dzieci, kiedy już jesteśmy z powrotem w Narnii. Tutaj jesteś królową. I przecież

nikt nie mógłby zasnąć, nie wyjaśniwszy takiej tajemnicy.

Próbowali zrobić pochodnie z długich patyków, ale nic z tego nie wyszło. Jeżeli się taki patyk trzyma płonącym końcem do góry, szybko gaśnie, a jeśli trzyma się go odwrotnie, płomień parzy w rękę, a dym gryzie w oczy. W końcu przypomnieli sobie o latarce Edmunda; na szczęście dostał ją na urodziny zaledwie przed tygodniem i bateria była prawie nowa. Zaczął schodzić pierwszy, oświetlając drogę. Potem szła Łucja, za nią Zuzanna, a Piotr zamykał pochód.

— Tu zaczynają się schody w dół — odezwał się Edmund.

— Licz stopnie — powiedział Piotr.

— Raz... dwa... trzy... — liczył Edmund, schodząc ostrożnie, aż doszedł do szesnastu. — To już koniec.

— A więc to musi być Ker-Paravel — powiedziała Łucja. — Tam było właśnie szesnaście stopni.

Nikt się nie odezwał. Stanęli wszyscy na dole, trzymając się blisko siebie. Edmund poświecił latarką wokoło.

— O — o — o — och! — wykrzyknęła cała czwórka zgodnym chórem.

Teraz bowiem wszyscy już wiedzieli, że naprawdę znajdują się w starożytnym skarbcu, w Ker-Paravelu, gdzie niegdyś byli królami i królowymi Narnii. Do środka komnaty wiodło coś w rodzaju ścieżki (podobnie jak to bywa w cieplarniach), a po każdej jej stronie i na rogach krzyżujących się przejść stały kompletne zbroje, wyglądające jak rycerze strzegący skarbów.

Pomiędzy zbrojami ciągnęły się po obu stronach półki z drogocennymi przedmiotami. Były tam naszyjniki i bransolety, pierścienie, złote misy, talerze i długie kły słoniowe, brosze, diademy i złote łańcuchy oraz całe stosy nie oprawionych drogich kamieni, leżących byle jak, jakby to były marmurowe kulki do gry lub kartofle: diamenty, rubiny, granaty, szmaragdy, topazy i ametysty. Pod półkami stały wielkie kufry z dębowego drewna wzmocnione żelaznymi okuciami i pozamykane na ciężkie kłódki. Było tu przeraźliwie zimno i tak cicho, że słyszeli swoje oddechy. Skarby pokrywała gruba warstwa kurzu. Gdyby nie byli pewni, gdzie się znajdują, i gdyby nie pamiętali wielu spośród tych przedmiotów, z trudnością rozpoznaliby, że są to skarby. To miejsce miało w sobie coś przygnębiającego i budzącego lęk: wszystko było przerażająco stare i zapomniane od wieków. Przez dobrą minutę nikt nic nie mówił.

Ale potem, rzecz jasna, zaczęły się rozmowy, buszowanie po skarbcu i odnajdywanie różnych znajomych przedmiotów. Przypominało to spotkanie z bardzo dawno nie widzianymi przyjaciółmi. Gdybyście tam byli, usłyszeliście, jak co chwilę ktoś woła: „Och, patrzcie! Nasze pierścienie koronacyjne... pamiętacie, jak włożyliśmy je po raz pierwszy? — O, przecież to jest ta broszka, o której wszyscy myśleli, że zginęła! — Hej, czy to nie jest zbroja, którą nosiłeś podczas wielkiego turnieju na Samotnych Wyspach? — A pamiętasz tego karła, który mi ją zrobił? — Pamiętacie, jak się piło z tego rogu? — Pamiętacie? — Pamiętacie?”

W końcu Edmund powiedział:

— Słuchajcie, powinniśmy oszczędzać baterię. Kto wie, ile razy będzie nam jeszcze potrzebna. Czy nie byłoby lepiej zabrać to, co chcemy, i wrócić na górę?

— Musimy wziąć nasze podarunki — powiedział Piotr. Dawno temu on, Zuzanna i Łucja dostali w Narnii pewne prezenty, które cenili bardziej niż całe królestwo. Edmund nie dostał nic, ponieważ w tym czasie nie było go z nimi. (Zresztą z jego własnej winy; możecie o tym przeczytać w innej książce, pod tytułem *Lew, Czarownica i stara szafa*.)

Wszyscy zgodzili się z Piotrem i poszli środkowym przejściem aż do odległego końca komnaty, gdzie — tak jak się spodziewali — na ścianie wisiały drogocenne dary. Najmniejszy należał do Łucji, a była nim niewielka buteleczka, zrobiona jednak nie ze szkła, lecz z diamentu, a wewnątrz

znajdowała się wciąż jeszcze ponad połowa magicznego płynu, który goił każdą ranę i leczył każdą chorobę. Łucja nic nie powiedziała, ale minę miała bardzo uroczystą, kiedy zdjęła swój dar i przewiesiła przez ramię rzemyk skórzanej pochewki. Tak zwykle ją nosiła w dawnych, dobrych czasach. Darem należącym do Zuzanny był łuk, kołczan ze strzałami i róg. Łuk wisiał na swoim miejscu wraz z kołczanem pełnym dobrze upierzonych strzał, ale...

— Och, Zuzanno — powiedziała Łucja — gdzie jest twój róg?

— A niech to licho! — zawołała Zuzanna po chwili namysłu. — Teraz mi się przypomniało. Miałam go ze sobą ostatniego dnia, gdy polowaliśmy na Białego Jelenia. Musiałam go zgubić, kiedy przedzieraliśmy się do tego innego miejsca... mam na myśli Anglię...

Edmund aż gwizdnął. Ta strata mogła się okazać najbardziej dotkliwa. Róg był zaczarowany: kiedykolwiek się na nim zagrało, było pewne, że zawsze nadejdzie jakaś pomoc, bez względu na miejsce i czas.

— To właśnie była taka rzecz, którą dobrze jest mieć pod ręką w miejscu takim jak to — powiedział Edmund.

— Nic na to nie poradzimy — odpowiedziała Zuzanna. — Zresztą mam jeszcze swój łuk. — I zdjęła go ze ściany.

— Czy aby cięciwa nie zbutwiała? — zapytał Piotr.

Ale czy to z powodu jakichś magicznych właściwości powietrza w skarbcu, czy też z innych przyczyn łuk był wciąż sprawny. W strzelaniu z łuku i w pływaniu Zuzanna była naprawdę dobra. W jednej chwili umocowała cięciwę, a następnie lekko ją odciągnęła i puściła. Rozległ się dźwięczny, wibrujący w powietrzu brzdęk. I ten krótki dźwięk przypomniał im dawne czasy bardziej i wyraźniej niż wszystko, co wydarzyło się do tej pory. Obrazy bitew, gonitw myśliwskich i uczt zaczęły się nagle tłoczyć jeden przez drugi przed ich oczami.

Zuzanna ponownie odwiązała cięciwę z jednego końca i zawiesiła kołczan u boku.

Teraz Piotr sięgnął po swoje dary: tarczę z wymalowanym na niej wielkim, czerwonym lwem i królewski miecz. Zdmuchnął kurz i stuknął nimi kilka razy w posadzkę. Umieścił tarczę na ramieniu i zawiesił miecz u boku. Trochę się bał, że klinga mogła zardzewieć i przywrzeć do wnętrza pochwy. Ale nie: jednym szybkim ruchem wy dobył miecz i wznosił do góry, a ostrze zaślniło w świetle latarki.

— To mój miecz Rindon, którym zabiłem wilka. — W jego głosie zabrzmiał teraz nowy ton i reszta rodzeństwa poczuła, że znowu jest Wielkim Królem Piotrem.

Ale wkrótce przypomnieli sobie, że trzeba oszczędzać baterię. Wspięli się po schodkach na górę, dorzucili sporo drewna do ogniska i położyli się jedno przy drugim, aby było ciepłej. Kamienna posadzka była twarda i niewygodna, ale w końcu wszyscy zasnęli.

Rozdział 3 KARZEŁ

W SPANIU POD GOŁYM NIEBEM najgorsze jest to, że człowiek budzi się tak okropnie wcześnie. A po przebudzeniu trzeba zaraz wstać, bo dopiero wtedy czuje się, jak było twardo i niewygodnie. Jeszcze gorzej, jeśli na śniadanie czekają nas tylko jabłka, zwłaszcza jeśli tylko jabłka były na wczorajszą kolację. Kiedy Łucja stwierdziła, że ranek jest cudowny — co zresztą było

prawdą — nikt nie kwapił się do rozwijania tego tematu. Wreszcie Edmund wypowiedział na głos to, o czym myśleli wszyscy:

— Nie ma co, musimy się jakoś wydostać z tej wyspy.

Napili się wody ze studni i ochlapali nią twarze, a potem poszli z powrotem brzegiem strumienia nad morze i popatrzyli na wąski przesmyk oddzielający ich od lądu.

— Będziemy musieli go przepłynąć — powiedział Edmund.

— Zuzannie na pewno nie sprawiłoby to większej trudności — zauważył Piotr — ale mam wątpliwości co do reszty.

Mówiąc o „reszcie” miał w rzeczywistości na myśli Edmunda, który nie potrafił jeszcze przepłynąć dwu długości szkolnego basenu, oraz Łucję, która w ogóle nie umiała pływać.

— A niezależnie od tego — dodała Zuzanna — mogą tu być silne prądy. Ojciec zawsze nam powtarzał, że nie powinno się pływać w miejscu, którego się nie zna.

— Ale posłuchaj, Piotrze — powiedziała Łucja. — Wiem, że nie mam pojęcia o pływaniu tam, u nas, to znaczy w Anglii. Czy jednak nie potrafiliśmy wszyscy pływać w dawnych czasach — czy to naprawdę tak dawno? — kiedy byliśmy królami i królowymi w Narnii? Jeździliśmy przecież konno i w ogóle robiliśmy różne rzeczy. Nie pomyślałeś o tym?

— Tak, ale wtedy byliśmy czymś w rodzaju dorosłych. Panowaliśmy przecież przez długie lata i nauczyliśmy się wielu rzeczy. A teraz chyba mamy swój prawdziwy wiek, czy nie?

— Och! — krzyknął Edmund w taki sposób, że wszyscy zamilkli i odwrócili się w jego stronę.

— Właśnie to wszystko zrozumiałem — oznajmił.

— Co rozumiałeś? — spytał Piotr.

— No, to wszystko. Pamiętacie, jak się wczoraj męczyliśmy nad zagadką, że zaledwie rok temu opuściliśmy Narnię, a wszystko wygląda tak, jakby nikt nie mieszkał w Ker-Paravelu od stuleci? No co, jeszcze nic nie rozumiecie? Pomyślcie trochę. Chociaż czas spędzony w Narnii wydawał się nam bardzo długi, to kiedy wróciliśmy do garderoby, wyglądało na to, że nie minęła nawet minuta.

— Mów dalej — wtrąciła Zuzanna. — Chyba zacznym rozumieć.

— A to znaczy — ciągnął Edmund — że kiedy się opuści Narnię, przestaje się mieć pojęcie o upływie narnijskiego czasu. Dlaczego nie miałyby upłynąć setki lat w Narnii, podczas gdy dla nas, w Anglii, minął zaledwie rok?

— Tam do smoka! — zawołał Piotr. — Wydaje mi się, że trafiłeś w dziesiątkę. No tak, w tym sensie rzeczywiście mogły upłynąć całe stulecia, odkąd mieszkaliśmy w Ker-Paravelu. A teraz wracamy do Narnii jak krzyżowcy albo Anglo-Saksonowie, albo starożytni Brytowie, albo jacyś inni dawni ludzie powracający do współczesnej Anglii!

— Ale będą zdziwieni, jak nas zobaczą — zaczęła Łucja, lecz nagle wszyscy pozostali krzyknęli:

— Hej, patrzcie! — i: — Ciiiiicho! — bo teraz zaczęło się coś dziać.

Na przeciwległym brzegu, nieco na prawo od nich, był zalesiony cypel i wszyscy przypuszczali, że tuż za nim musi być ujście rzeki. I oto teraz zza tego cypla wyłoniła się łódź. Kiedy minęła cypel, zmieniła kurs i zaczęła płynąć prosto w ich kierunku. W łodzi znajdowało się dwóch ludzi: jeden wiosłował, drugi siedział przy sterze i przytrzymał jakiś tłumok, który podskakiwał i wydymał się, jakby w nim było coś żywego. Obaj wyglądali na żołnierzy. Mieli na sobie stalowe kołpaki i lekkie kolczugi, a ich twarze były brodate i srogie. Dzieci schowały się szybko w zaroślach i zamarły bez ruchu, obserwując zbliżającą się łódź.

Kiedy była już naprzeciwko nich, usłyszeli głos żołnierza siedzącego przy sterze:

— Teraz to zrobimy.

— Może byłoby dobrze przywiązać mu kamień do nóg, kapralu? — zapytał drugi i przerwał wioślowanie.

— Gadanie! — warknął żołnierz nazwany kapralem. — Wcale nie musimy tego robić, a zresztą nie wzięliśmy kamienia. I tak pójdzie na dno, jeśli tylko węzły są dobrze zaciśnięte.

Po tych słowach wstał i podniósł swój dziwny toból. Piotr zobaczył teraz, że w rzeczywistości jest to żywy karzeł ze związanymi mocno rękami i nogami, wciąż wierzgający i walczący zaciekle w miarę możliwości. W następnej chwili usłyszał tuż obok siebie brzdęknięcie cięciwy i prawie jednocześnie żołnierz wyrzucił ręce do góry, upuszczając karła na dno łodzi, a sam wpadł do wody. Natychmiast jednak wynurzył się i zaczął brnąć w stronę przeciwnego brzegu. Piotr zrozumiał, że strzała Zuzanny ugodziła w hełm. Odwrócił głowę i zobaczył, że siostra pobladła, lecz opiera uż drugą strzałę na cięciwie. Nie musiała jej jednak wypuszczać. Gdy tylko drugi żołnierz zobaczył, co stało się z jego towarzyszem, wyskoczył z łodzi z dzikim wrzaskiem, przebrnął do brzegu przez płytką w tym miejscu wodę i zniknął w lesie.

— Szybko! Bo zniesie ją prąd! — krzyknął Piotr i wskoczył w ubraniu do wody. Za Piotrem skoczyła Zuzanna i zanim woda sięgnęła im do ramion, schwycili za burtę łodzi. Szybko doholowali ją do brzegu i wynieśli biednego karła na piasek, a Edmund zaczął się mozolić nad przecięciem krępujących go sznurów swoim scyzorykiem. (Miecz Piotra był na pewno ostrzejszy, ale miecze nie są najbardziej wygodnym narzędziem do przecinania więzów na czyimś ciele, gdyż trudno je trzymać za klingę.) Kiedy w końcu karzeł został uwolniony, usiadł, zaczął rozcierać ręce i nogi, po czym powiedział:

— Hm, cokolwiek by mówili, W DOTYKU wcale nie przypominacie duchów.

Jak większość karłów był bardzo krępy i przygarbiony. Gdyby stanął, nie miałby zapewne więcej niż metr wysokości, a ruda, zmierzwiona broda zakrywała mu prawie całą twarz, tak że prócz niej widać było tylko długi, haczykowaty nos i bystre, czarne oczy.

— Tak czy owak — ciągnął — duchy czy nie duchy, uratowaliście mi życie i jestem wam z tego powodu wielce zobowiązany.

— Dlaczego mielibyśmy być duchami? — zapytała Łucja.

— Przez całe życie powtarzano mi — odpowiedział karzeł — że w tych lasach na wybrzeżu jest tyle duchów, ile drzew. Tak w każdym razie opowiadają. Właśnie dlatego, kiedy chcą się kogoś pozbyć, zwykle go tu zabierają (tak jak zrobili ze mną) i mówią, że zostawią go na pastwę duchom. Prawdę mówiąc, zawsze podejrzewałem, że po prostu topią tu ludzi lub podrzynają im gardła. Nigdy tak do końca nie wierzyłem w duchy. Natomiast ci dwaj tchórze, których dopiero co ustrzeliliście, na pewno w nie wierzyli. Kiedy im kazano zaprowadzić mnie tu i uśmiercić, byli bardziej przerażeni ode mnie.

— Aha, więc to dlatego tak szybko uciekali — zauważyła Zuzanna.

— Co?! Co takiego? — zapytał karzeł.

— Uciekli — powiedział Edmund. — Na ład.

— Nie strzelałam, aby zabić — wyjaśniła Zuzanna. Nie chciała, by ktokolwiek pomyślał, że chybiła z tak małej odległości.

— Hm, to niedobrze — powiedział karzeł. — To może oznaczać, że będziemy mieć kłopoty. Chyba będą trzymać język za zębami dla swojego własnego dobra.

— Dlaczego właściwie zamierzali cię utopić? — zapytał Piotr.

— Och, jestem niebezpiecznym złoczyńcą, tak, tak... — odpowiedział karzeł drwiącym tonem. — Ale to długa historia. Na razie zastanawiałem się, czy nie zamierzacie przypadkiem zaprosić mnie na śniadanie. Nie macie pojęcia, jaki człowiek robi się głodny, kiedy mają na nim wykonać wyrok

śmierci.

— Mamy tylko jabłka — powiedziała Łucja melancholijnie.

— Lepsze to niż nic, ale nie tak dobre jak świeża ryba — zauważył karzeł. — Wygląda na to, że sam będę musiał zaprosić was na śniadanie. Widziałem jakieś przybory wędkarskie w łodzi. W każdym razie trzeba ją przeprowadzić na drugą stronę wyspy. Chyba nie zależy wam specjalnie na tym, by ją zobaczył ktoś z lądu?

— Powinienem o tym sam pomyśleć — powiedział Piotr.

Zeszli szybko na brzeg, nie bez trudu zepchnęli łódź do wody i wgramolili się do środka. Karzeł od razu przejął dowodzenie. Oczywiście wiosła były dla niego za duże, więc wziął się za nie Piotr, a karzeł usiadł przy sterze i poprowadził łódź na północ, wzdłuż cieśniny, a potem na wschód, wokół cypla wyspy. Stąd było już dobrze widać brzeg lądu: ujście rzeki, a za nim wszystkie zatoki i przylądki. Niektóre miejsca wydawały się im znajome, ale lasy, które rozrosły się od ich czasów, sprawiały, że wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Kiedy już opłynęli wyspę i znaleźli się na otwartym morzu, karzeł zabrał się do łowienia ryb. Udało mu się złapać sporo pawenderów: pięknych, bajecznie kolorowych ryb, które jadali w Ker-Paravelu za dawnych, dobrych czasów. Kiedy już ryb było dosyć, wprowadzili łódkę do niewielkiej zatoczki i przywiązali do drzewa. Karzeł, który okazał się bardzo uzdolnioną osobą (nigdy zresztą nie słyszałem o głupim karle, chociaż spotyka się karły złe), zręcznie ryby porozcinał, wypatroszył i oznajmił:

— A teraz będzie nam potrzebne drewno na ogień.

— Mamy go trochę w zamku — powiedział Edmund.

Karzeł zagwizdał.

— Na brody i brzeszczoty! — zawołał. — A więc jednak jest tu jakiś zamek?

— Teraz to tylko ruiny — powiedziała Łucja.

Karzeł popatrzył na nich z dziwnym wyrazem twarzy.

— A właściwie kim wy... — zaczął, lecz nagle rozmyślił się i powiedział: — Nieważne. Najpierw śniadanie. Mam tylko jedną prośbę, zanim się zabierzemy do jedzenia. Czy możecie mi powiedzieć, ale tak z ręką na sercu, że naprawdę jestem żywy? Czy jesteście pewni, że mnie nie utopiono i że wszyscy razem nie jesteśmy duchami?

Zapewnili go, że się nie myli, że naprawdę wciąż żyje. Powstał też problem, jak przenieść złowione ryby. Nie mieli koszyka, nie było ich na co nawlec i w końcu musieli użyć do tego czapki Edmunda (bo tylko on jeden miał czapkę). Pewnie nie zgodziłby się na to tak łatwo, gdyby sam nie był tak okropnie głodny.

Z początku karzeł nie wyglądał na zbyt uradowanego widokiem zamku. Rozglądał się dookoła, węszył i mruczał: „Hm, sprawia wrażenie, jakby tu naprawdę straszło. I czuć tu duchami”. Lecz gdy rozpalili ognisko nastrój mu się poprawił i zaczął im pokazywać, jak upiec ryby na żarzących się węglach. Jedzenie gorącej ryby bez widelców, gdy się ma tylko jeden scyzoryk na pięć osób, nie jest czynnością zbyt łatwą i czystą. Zanim skończyli jeść, było sporo poparzonych palców. Ale ponieważ minęła już dziewiąta, a tego dnia wstali o piątej, nikt się tym specjalnie nie przejmował. Kiedy zjedli ryby, popili wodą ze studni i zagryźli jabłkiem na deser, karzeł wydobył ogromną fajkę, napełnił ją, zapalił, wypuścił wielki kłęb wonnego dymu i powiedział:

— No, a teraz opowiadajcie.

— Opowiedz nam najpierw o sobie — powiedział Piotr — a potem my opowiemy ci naszą historię.

— Cóż, skoro uratowaliście mi życie, macie prawo wyboru. Nie wiem tylko, od czego zacząć. Przede wszystkim powinniście wiedzieć, że jestem wysłannikiem króla Kaspiana.

— Kim on jest? — zapytało równocześnie czworo dzieci.

— Kaspian Dziesiąty, król Narnii, oby nam długo panował! — odpowiedział karzeł. — Mówiąc ściślej, on powinien być królem Narnii, i mamy nadzieję, że nim kiedyś będzie. Na razie jest królem nas, Starych Narnijczyków...

— Co masz na myśli, mówiąc o STARYCH Narnijczykach? — zapytała Łucja.

— Jak to co? — zdziwił się karzeł. — To właśnie my. Jesteśmy, jeżeli tak można powiedzieć, powstańcami.

— Rozumiem — wtrącił Piotr. — A Kaspian jest najbardziej znamienitym wśród Starych Narnijczyków.

— Cóż, można by tak to ująć — powiedział karzeł, drapiąc się po głowie — ale tak naprawdę to on sam jest Nowym Narnijczykiem... Telmarem, jeśli wiecie, o co mi chodzi.

— Niestety nie — powiedział Edmund.

— To gorsze niż Wojna Dwu Róż — zauważyła Łucja.

— Moi drodzy — powiedział karzeł — zdaje mi się, że zupełnie źle zacząłem. Myślę, że będę musiał wrócić do początku i opowiedzieć wam, jak Kaspian wychowywał się na dworze swojego wuja i jak to się stało, że stanął po naszej stronie. Ale uprzedzam, że będzie to długa opowieść.

— Tym lepiej — powiedziała Łucja. — Kochamy takie opowieści.

Tak więc karzeł usadowił się wygodnie i opowiedział im całą historię. Nie będę jej tutaj powtarzał w całości, słowami, jakich użył, z dodatkiem wszystkich pytań zadawanych przez dzieci w trakcie opowiadania. Trwałoby to zbyt długo, a i tak pewne sprawy nie byłyby całkiem jasne, o wielu rzeczach bowiem dzieci dowiedziały się później. Przedstawię wam więc tylko samo sedno jego opowieści.

Rozdział 4 OPOWIEŚĆ KARŁA

KSIĄŻĘ KASPIAN mieszkał w wielkim zamku w samym środku Narnii ze swoim wujem Mirazem, królem Narnii, oraz swoją ciotką, która była ruda i nazywała się Pretensjonata. Rodzice Kaspiana już nie żyli, a osobą, którą kochał najbardziej, była jego niania. Będąc księciem miał mnóstwo wspaniałych zabawek, które mogły robić wszystko, prócz jednego: nie potrafiły rozmawiać. Z całego dnia najbardziej lubił ostatnią godzinę przed snem, kiedy wszystkie zabawki leżały już na swoich półkach, a niania opowiadała mu różne przedziwne historie.

Wuj i ciotka niewiele się Kaspianem zajmowali. Dwa razy w tygodniu wuj nakazywał przyprowadzać chłopca do siebie, by odbyć z nim półgodzinną przechadzkę po tarasie w południowej części zamku. Podczas jednej z takich przechadzek król powiedział:

— A więc, chłopcze, musimy cię teraz nauczyć jeździć konno i władać mieczem. Jak wiesz, nie mamy dzieci i wszystko wskazuje na to, że ty zostaniesz królem, kiedy mnie już nie będzie na tym świecie. Jak ci się to podoba?

— Nie wiem, wuju — odpowiedział Kaspian.

— Nie wiesz?... — zdziwił się Miraż. — Hm,

chciałbym wiedzieć, czego by można bardziej pragnąć! — A jednak JEST coś takiego, przynajmniej jeśli o mnie chodzi — powiedział Kaspian.

— Czego więc pragniesz? — zapytał król.

— No więc... chciałbym... chciałbym żyć w Dawnych Czasach — odpowiedział chłopiec czerwieniąc się.

Aż do tej chwili król Miraż mówił znudzonym głosem, jakim często przemawiają niektórzy dorośli i jaki pozwala sądzić, że to, co mówią, niewiele ich w rzeczywistości obchodzi. Teraz jednak spojrział na Kaspiana z uwagą.

— Co? O czym ty właściwie mówisz? — zapytał. — Jakie znowu dawne czasy masz na myśli?

— Och, wuju, czyżbyś nie wiedział? — odpowiedział chłopiec. — Mówię o czasach, kiedy wszystko było inaczej. Kiedy wszystkie zwierzęta potrafiły mówić, kiedy w strumieniach i drzewach żyły różne miłe stwory: najady i driady, tak je nazywano. Były również karły. I we wszystkich lasach były cudowne, małe fauny. Miały nogi zakończone kopytkami jak kozy. I...

— To wszystko są bajki dla małych dzieci — przerwał mu surowo król. — Dla dzieci, słyszysz? Jesteś już za duży na takie głupstwa. W twoim wieku powinno się myśleć o bitwach i rycerskich przygodach, a nie o bajkach.

— Ale przecież w tamtych czasach też były bitwy i przygody — powiedział Kaspian. — Wspaniałe przygody! Była raz Biała Czarownica i ona obwołała się królową całego kraju. I zrobiła tak, że zawsze była tylko zima. A potem przyszli skądś dwaj chłopcy i dwie dziewczynki i zabili Czarownicę, i to oni zostali królami i królowymi Narnii. Nazywali się: Piotr, Zuzanna, Edmund i Łucja. I panowali bardzo, bardzo długo, i każdy był bardzo szczęśliwy, a to wszystko dlatego, że Aslan...

— A któż *to* taki? — zapytał Miraż. Gdyby Kaspian był trochę starszy, ton głosu wuja ostrzegłby go, że nie powinien już nic więcej mówić. Ale chłopiec paplał dalej:

— Och, to ty nie wiesz, wuju? Aslan to wielki lew, który pochodzi z kraju za morzem.

— Kto ci naopowiadał tych wszystkich bzdur?! — zagrzmiął król.

Kaspian przestraszył się i nic nie odpowiedział.

— Wasza książęca mość! — zawołał król, zatrzymując się i puszczejąc rękę chłopca. — Nakazuję ci natychmiast odpowiedzieć na moje pytanie. Spójrz mi prosto w oczy. Kto ci naopowiadał tych wszystkich wyssanych z palca bajek?

— Nia... nia... niania — wyjąkał Kaspian i wybuchnął płaczem.

— Przestań! — powiedział jego wuj podniesionym głosem, chwycił chłopca za ramiona i mocno nim potrząsnął. — Przestań! I żebym już nigdy nie przyłapał cię na tym, że mówisz albo MYŚLISZ o tych wszystkich bzdurnych historiach. Nie było tu żadnych królów i królowych. Jak w ogóle mogło być dwu królów jednocześnie? I nie ma żadnego Aslana. Nie ma żadnych lwów. I nigdy nie było czasów, w których zwierzęta potrafiły mówić. Czy mnie słuchasz?

— Tak, wuju — wykrztusił Kaspian przez łzy.

— A więc przestańmy już rozmawiać na ten temat — powiedział król.

Potem zawołał jednego ze swoich zaufanych ludzi, oczekujących na rozkaz w dalekim końcu tarasu, i powiedział chłodnym głosem:

— Proszę zaprowadzić jego książęcą mość do jego apartamentów i przysłać mi tu NATYCHMIAST nianię jego książęcej mości.

Następnego dnia Kaspian zrozumiał, co zrobił, ponieważ niania zniknęła z zamku tak szybko, że nawet nie zdążyła się z nim pożegnać. Powiedziano mu też, że od tej pory będzie miał wychowawcę.

Kaspianowi bardzo brakowało niani i często z tego powodu popłakiwał. Teraz, kiedy był tak nieszczęśliwy, rozmyślał o opowieściach z Narnii częściej niż uprzednio. W każdą noc śnił o

karłach i driadach, a w dzień wychodził ze skóry, aby nauczyć mówić pałacowe psy i koty. Ale psy tylko merdały ogonami, a koty mruczały.

Kaspian sądził, że będzie nienawidził swojego wychowawcy, kiedy jednak ten przybył w tydzień później, okazał się osobą, której w żaden sposób nie można nie lubić. Był to najniższy, a także najgrubszy z ludzi, jakich Kaspian dotąd spotkał. Miał długą, srebrzystą, ostro zakończoną brodę opadającą aż do pasa, a jego brązowa, pokryta zmarszczkami twarz była bardzo mądra, bardzo brzydka i bardzo dobra. Głos miał tubalny, a oczy wesołe, także dopóki się go dobrze nie poznało, niełatwo było poznać, kiedy żartuje, a kiedy jest poważny. Nazywał się Doktor Kornelius.

Ze wszystkich lekcji z Doktorem Korneliusem Kaspian lubił najbardziej historię. Do tej pory, jeśli nie liczyć opowieści niani, niewiele wiedział o dziejach Narnii. Był bardzo zaskoczony, gdy dowiedział się, że królewska rodzina wcale nie pochodzi z Narnii.

— Przodek waszej książęcej mości, Kaspian Pierwszy — mówił Doktor Kornelius — podbił Narnię i uczynił ją swoim królestwem. To on przyprowadził tutaj cały wasz lud. Nie jesteście Narnijczykami z pochodzenia. Jesteście Telmarami, co oznacza, że wszyscy pochodzicie z Telmaru, kraju leżącego daleko poza Zachodnimi Górami. I dlatego Kaspian Pierwszy zwany jest również Kaspianem Zwycięzcą.

— Powiedz mi, Doktorze — zapytał Kaspian pewnego dnia — kto żył w Narnii, zanim przybyliśmy tutaj z Telmaru?

— Zanim Telmarowie zajęli Narnię — odpowiedział Doktor Kornelius — nie było tu ludzi, albo było ich bardzo niewiele.

— A więc co właściwie zwyciężył mój pra-pra-pradziadek?

— Nie CO, ale KOGO, wasza wysokość — powiedział Doktor. — Chyba już czas przejść od historii do gramatyki.

— Och, nie, jeszcze nie, proszę... — nalegał Kaspian — Chodzi mi o to, czy była wtedy jakaś bitwa? Dlaczego nazywano go Kaspianem Zwycięzcą, jeśli nie było tu nikogo, kto by z nim walczył?

— Powiedziałem, że było tu bardzo niewiele LUDZI — odpowiedział Doktor Kornelius, wpatrując się bardzo dziwnie w chłopca spoza swoich wielkich okularów.

Przez chwilę Kaspian nie wiedział, co ma znaczyć ta odpowiedź, ale nagle serce zaczęło mu bić mocniej.

— Czy chcesz przez to powiedzieć — wykrztusił — że żyły tu jakieś inne istoty? Czy to znaczy, że rzeczywiście było tak, jak opowiadała mi niania? Czy to były...

— Sza! — syknął Doktor Kornelius i nachylił się do Kaspiana. — Ani słowa więcej. Czy nie wiesz, że twoją nianię odesłano właśnie za to, że opowiadała ci o Starej Narnii? Król tego nie lubi. Gdyby się dowiedział, że wyjawiam ci te tajemnice, zostałbyś wychłostany, a ja zapewne utraciłbym głowę.

— Ale dlaczego?... — zapytał Kaspian.

— Już najwyższy czas, aby przejść do gramatyki

— oświadczył Doktor Kornelius, podnosząc głos. — Czy wasza wysokość zechciałby otworzyć Pulverulentusa Sikkusa na czwartej stronie jego *Ogrodu Gramatycznego albo Altany Przypadków Rozkosznie Otwartej dla Wrażliwych Mózgów?*

I zaczęły się rzeczowniki i czasowniki, i trwało to aż do obiadu, ale nie sądzę, by Kaspian wiele się nauczył. Był zbyt podniecony. Czuł, że Doktor Kornelius nie powiedziałby mu tak wiele, gdyby nie zamierza! — wcześniej czy później — powiedzieć mu więcej. Jego przecucia okazały się słuszne. Kilka dni później jego wychowawca powiedział:

— Dziś chciałbym ci udzielić lekcji astronomii. Kiedy noc zapadnie na dobre, dwie wspaniałe

planety,

Tarva i Alambil, zbliżą się do siebie na odległość jednego stopnia. Takie zbliżenie, a nazywamy to koniunkcją, zdarzyło się ostatni raz aż dwieście lat temu, kiedy waszej księżęcej mości jeszcze nie było na świecie. Najlepiej będzie, jeśli pójdziesz dziś spać nieco wcześniej niż zwykle. Kiedy zbliży się czas koniunkcji, przyjdę i obudzę cię.

Nic nie wskazywało na to, że gwiazdy mają coś wspólnego ze Starą Narnią, a tylko tego chciał słu-chać Kaspian, ale wstanie z łóżka w samym środku nocy zawsze jest interesujące, tak więc słowa Doktora trochę go zaciekały. Kiedy tego wieczora położył się do łóżka, myślał, że nie będzie mógł zasnąć, ale zmorzył go bardzo szybko. Wydawało mu się, że płynęło zaledwie kilka minut, gdy poczuł, jak ktoś lekko potrząsa. Otworzył oczy i zobaczył, że cały pokój zalany jest światłem księżyca. Tuż przy łóżku stał Doktor Kornelius otulony długim płaszczem z kapturem, z małą lampą w ręku. Kaspian przypomniał sobie od razu, co mają zrobić. Wyskoczył z łóżka i włożył coś na siebie. Pomimo lata noc była chłodniejsza, niż się spodziewał, i z wdzięcznością przyjął od Doktora podobny płaszcz z kapturem i wysokie buty z miękkiej skóry. W chwilę później, otuleni ciemnymi płaszczami, w kapturach na głowach, stąpając bezszelestnie na miękkich podszewkach, nauczyciel i jego uczeń opuścili komnatę.

Doktor prowadził go przez wiele korytarzy, tajemnych przejść i wąskich schodków, aż w końcu wyszli na płaski dach przez małe drzwi jakiejś wieżyczki strażniczej. Z jednej strony widniały blanki murów, z drugiej strony dach; poniżej, jak kobierzec utkany z cieni i migotliwych blasków, ogrody zamkowe, a nad nimi — gwiazdy i księżyc. Doszli teraz do innych drzwi, prowadzących do wnętrza wielkiej wieży pośrodku zamku. Doktor Kornelius otworzył je kluczem i zaczęli się wspinać po mrocznych schodach, wśród ponurych pogwizdywań wiatru. Kaspian nigdy jeszcze nie szedł tymi schodami. Były bardzo strome i wydawały się nie mieć końca, ale kiedy wreszcie dostali się na dach wieży i gdy złapał oddech, przekonał się, że to, co zobaczył, warte było trudu wspinaczki. Daleko, po prawej stronie, majaczyły Góry Zachodnie, po lewej lśniła w świetle księżyca Wielka Rzeka.

Cisza była tak głęboka, że mógł słyszeć daleki szum wodospadu przy Bobrowej Tamie, położonego o dobrą milę od zamku.

Nietrudno było odnaleźć na niebie dwie gwiazdy, które przyszli zobaczyć. Błyszczały dość nisko w południowej części nieba, prawie tak jasne jak dwa małe księżyce.

— Czy one się nie zderzą? — zapytał cicho chłopiec z lękiem w głosie.

— Nie, mój kochany książę — odpowiedział Doktor, również szeptem. — Wielcy księżęta wysokiego nieba zbyt dobrze znają kroki swego tańca. Przypatrz im się dobrze. To ich spotkanie jest szczęśliwym znakiem: oznacza, że jakieś wielkie dobro spłynie na smutną krainę Narnii. Tarva, Pan Zwycięstwa, pozdrawia Alambil, Panią Pokoju. Za chwilę znajdą się najbliżej siebie.

Szkoda, że te drzewa trochę zasłaniają — powiedział Kaspian. — Z Zachodniej Wieży byłoby lepiej widać, choć nie jest tak wysoka.

Doktor Kornelius nic na to nie odpowiedział, wciąż wpatrując się w Tarwę i Alambil. Wreszcie westchnął głęboko i zwrócił się do Kaspiana:

— Oto ujrzałeś coś, czego żaden z żyjących do dziś ludzi jeszcze nie widział i już nie zobaczy. I masz rację. Z niższej wieży widok byłby jeszcze lepszy. Przyprowaździłem cię tutaj z innego powodu.

Kaspian spojrział na niego, ale twarz wychowawcy ukryta była w cieniu kaptura.

— Przyprowaździłem cię tutaj, bo mamy teraz pod sobą sześć pustych komnat i wysokie schody, a drzwi na dole są zamknięte. Nikt nas tutaj nie podsłucha.

— Czy chcesz mi powiedzieć to, czego nie powiedziałeś mi tamtego dnia? — zapytał Kaspian.

— Tak — odpowiedział Doktor. — Ale pamiętaj: nie wolno nam nigdy i nigdzie rozmawiać o tych sprawach. Tylko tu, na szczycie Wielkiej Wieży.

— Oczywiście. Przrzekam — zapewnił go Kaspian. — Ale już mów, powiedz mi wszystko, błagam!

— A więc słuchaj. Wszystko, co usłyszałeś o Starej Narnii, jest prawdą. To nie jest kraj ludzi. To kraj Aslana, kraj przebudzonych drzew i widzialnych najad, kraj faunów i satyrów, karłów i olbrzymów, centaurów i mówiących zwierząt. To z nimi walczył Kaspian Pierwszy. To wy, Telmarowie, sprawiliście, że zwierzęta, drzewa i źródła leśne zamilkły. To wy wymordowaliście lub przepędziliście karły, fauny, i to wy próbujecie teraz pogrzebać pamięć o nich. Król nawet mówić o nich nie pozwala!

— Och, jakbym chciał, żeby tak nie było! — powiedział Kaspian. — I cieszę się, że to wszystko było kiedyś naprawdę, nawet jeśli już przeminęło.

— Wielu z twojej rasy w głębi serca myśli tak samo — powiedział Doktor Kornelius.

— Ależ, Doktorze — zdziwił się Kaspian — dlaczego mówisz o MOJEJ rasie? Przecież chyba ty też jesteś Telmarem?

— Tak myślisz?

— Przecież jesteś człowiekiem... — wyjąkał Kaspian.

— Tak myślisz? — powtórzył Doktor głośniejszym głosem i odrzucił kaptur, tak że chłopiec mógł teraz zobaczyć wyraźnie jego twarz w świetle księżyca.

Kaspian natychmiast zdał sobie sprawę ze swojej pomyłki i zdumiał się, że nie dostrzegł tego wcześniej. Doktor Kornelius był przecież tak niski, tak gruby i miał tak długą brodę! Dwie myśli zrodziły się w nim jednocześnie. Pierwsza napełniła go grozą: „Przecież to nie jest prawdziwy człowiek, to w ogóle nie jest człowiek, to KARZEŁ, który przyprowadził mnie tutaj po to, aby mnie zabić”. Ale druga myśl napełniła go słodyczą i szczęściem: „A więc są jeszcze prawdziwe karły i właśnie ja zobaczyłem w końcu jednego z nich!”

— A więc wreszcie się domyśliłeś — powiedział Doktor Kornelius — albo prawie się domyśliłeś. Nie jestem czystej krwi karłem; płynie we mnie również krew ludzka. Wielu karłów przeżyło Wielką Bitwę, uciekło i ukryło się między ludźmi. Obcięli brody, włożyli buty na wysokich obcasach i mieszały się z wami, Telmarami. Ja jestem jednym z ich potomków, półkarłów, a jeżeli jacyś moi krewniacy, prawdziwe karły, żyją jeszcze gdzieś na świecie, z pewnością gardziliby mną i nazwali zdrajcą. Ale my nigdy nie zapomnieliśmy o naszym pochodzeniu, o innych szczęśliwych mieszkańcach Starej Narnii i o utraconej wolności.

— Och, jak mi przykro, Doktorze — przerwał mu Kaspian. — Tak bardzo ci współczuję. Wiesz, że to nie moja wina.

— Nie mówię tego wszystkiego po to, aby cię oskarżać, drogi książę. Możesz jednak zapytać, po co ci to w ogóle mówię. Są dwa powody. Po pierwsze dlatego, że moje stare serce ukrywało te tajemnice już tak długo, że napełniło się bólem i prawie by pękło, gdybym ci ich w końcu nie wyjawiał. A po drugie, bo zrodziła się we mnie nadzieja, że gdy zostaniesz królem, możesz nam pomóc. Bo zobaczyłem, że ty, choć jesteś Telmarem, pokochałeś Dawne Czasy.

— Tak, i to bardzo — powiedział Kaspian. — Ale jak mógłbym wam pomóc?

— Możesz okazać swą życzliwość resztkom ludu karłów, takim jak ja. Możesz zgromadzić uczonych magów i spróbować odnaleźć sposób na ponowne obudzenie się drzew. Możesz przeszukać wszystkie zakątki i ustronia tego kraju, aby zobaczyć, czy nie żyją jeszcze gdzieś w ukryciu fauny, mówiące zwierzęta czy karły.

— Myślisz, że jeszcze gdzieś żyją? — zapytał Kaspian z nadzieją w głosie.

— Nie wiem, nie wiem — odpowiedział Doktor i westchnął głęboko. — Czasem ogarnia mnie lęk, że już jest za późno. Szukałem ich śladów przez całe życie. Czasem wydawało mi się, że słyszę bębny karłów gdzieś w górach. Czasem nocą, w lesie, wydawało mi się, że dostrzegam nagle gdzieś w oddali, pomiędzy drzewami, sylwetki tańczących faunów i satyrów, ale kiedy dochodziłem do tego miejsca, nie było tam nikogo. Wiele razy traciłem już wszelką nadzieję, ale zawsze zdarzało się coś, co pozwalało mi ją odzyskać. Nie wiem. Ale w każdym razie możesz spróbować być takim królem, jakim był kiedyś król Piotr, a nie takim jak twój wuj.

— A więc to wszystko prawda, te opowieści o królach i królowych, i może nawet o Białej Czarownicy? — zapytał Kaspian.

— Oczywiście. To wszystko prawda — powiedział Doktor. — Ich panowanie było Złotym Wiekiem Narnii. W tym kraju nigdy o nich nie zapomniano.

— Czy oni mieszkali w tym zamku?

— Nie, mój drogi. Ten zamek zbudował twój pra-pra-dziadek. Ale kiedy dwaj Synowie Adama i dwie Córki Ewy byli z woli samego Aslana królami i królowymi Narnii, ich siedzibą był zamek Ker-Paravel. Nikt z żyjących dziś ludzi nie widział tego błogosławionego miejsca i zapewne po zamku nie ma już nawet śladu. Utrzymuje się jednak przekonanie, że leżał on daleko stąd, u ujścia Wielkiej Rzeki, na samym brzegu morza.

— Och! — wzdrygnął się Kaspian. — W Czarnym Lesie? Tam, gdzie żyją te wszystkie... te... no wiesz, duchy?...

— Wasza książęca mość mówi tak, jak go nauczono — powiedział Doktor — ale to są wszystko kłamstwa. Nie ma tam żadnych duchów. To są bajki wymyślone przez Telmarów. Wasi monarchowie panicznie boją się morza, bo nie mogą zapomnieć, że we wszystkich starych opowieściach Aslan właśnie zza morza przybywa. Sami nie mają ochoty zbliżyć się do morza i nie chcą, aby ktokolwiek tam chodził. Pozwolili więc, by wyrosła tam wielka, gęsta puszcza, odcinająca od morza ich poddanych. Ci zaś boją się lasu, bo zawsze żyli w nieprzyjaźni z drzewami. A ponieważ boją się lasu, wyobrazili sobie, że tam straszy. I nawet królowie i baronowie, nienawidzący morza i lasu, po części sami wierzą w te opowieści o duchach, a po części specjalnie je rozgłaszają. Czują się bezpieczniej, jeśli nikt w Narnii nie ośmiela się zawędrować aż na wybrzeże i spojrzeć na morze — ku królestwu Aslana, ku porannej zorzy, ku wschodniemu krańcowi świata.

Przez kilka minut panowała głęboka cisza. Wreszcie Doktor Kornelius powiedział:

— Chodźmy. Jesteśmy tu już zbyt długo. Czas zejść na dół i kłaść się do łóżka.

— Naprawdę musimy? — żalił się Kaspian. — Mógłbym słuchać o tych rzeczach całymi godzinami.

— Ktoś mógłby zacząć nas szukać, gdybyśmy tu dłużej zostali — powiedział Doktor Kornelius.

Od TEGO CZASU KASPIAN i jego wychowawca mieli więcej takich potajemnych spotkań na szczycie Wielkiej Wieży, w czasie których chłopiec dowiadywał się coraz to nowych rzeczy o Starej Narnii. Marzenia i rozmyślenia o dawnych czasach wypełniały mu teraz wszystkie wolne chwile. A nie miał ich zbyt wiele. Uczył się władać mieczem i jeździć konno, pływać i nurkować, strzelać z łuku, grać na flecie i na lutni, tropić jelenia i oprować go po upolowaniu, nie mówiąc już o kosmografii, retoryce, heraldyce, wersyfikacji, no i oczywiście o historii, prawie, fizyce, alchemii i astronomii. Jeżeli chodzi o magię, to poznawał tylko teorię, ponieważ zdaniem Doktora Korneliusa wiedza praktyczna z tej dziedziny nie jest przeznaczona dla książąt. „Ja sam — dodał — jestem zaledwie początkującym magiem i potrafię przeprowadzić tylko najprostsze eksperymenty” . Nie uczył się też nawigacji („choć jest to szlachetna sztuka godna bohaterów” , mówił Doktor Kornelius), ponieważ król Miraż nie chciał nawet słyszeć o okrętach i morzu.

Kaspian nauczył się też robić użytek ze swoich oczu i uszu. Gdy był małym chłopcem, często zastanawiał się, dlaczego nie lubi swojej ciotki, królowej Pretensjonaty. Teraz zrozumiał przyczynę: po prostu królowa go nie lubiła. Zaczął także dostrzegać, że Narnia nie jest szczęśliwym krajem. Podatki były wysokie, prawa surowe, a Miraż był człowiekiem okrutnym.

Po upływie paru lat królowa zachorowała. Zaczęła się krzątanina i zamieszanie, przybywało wielu medyków, dworzanie szepotali między sobą po kątach. Było wczesne lato, kiedy Doktor Kornelius obudził Kaspiana w środku nocy, po kilku zaledwie godzinach snu.

— Czy będziemy przerabiać astronomię, Doktorze? — zapytał Kaspian.

— Sza! — uciszył go Doktor. — Zaufaj mi i rób to, co ci powiem. Ubierz się dobrze, czeka cię długa podróż.

Kaspian był zaskoczony, ale nauczył się już całkowicie ufać swemu wychowawcy, zaczął więc bez słowa wypełniać jego polecenie. Kiedy już był ubrany, Doktor powiedział:

— Mam tu dla ciebie torbę. Musimy pójść do drugiego pokoju i napełnić ją jedzeniem, które zostało z wczorajszej kolacji.

— Mogą tam być moi służący — zauważył Kaspian.

— Śpią twardo i nie tak łatwo się obudzą. Jestem tylko początkującym magiem, ale w końcu potrafię sprawić, by ktoś zdrowo zasnął.

Przeszli do sąsiedniej komnaty i tam, zgodnie z jego słowami, zastali dwu służących wyciągniętych w fotelach i chrapiących głośno. Doktor Kornelius złapał szybko kawałek zimnego kurczaka i kilkanaście płatów dziczyzny, trochę chleba, jabłko i małą butelkę dobrego wina i zapakował to do torby Kaspiana, którą chłopiec przewiesił przez ramię.

— Masz swój miecz? — zapytał Doktor. — Mam.

— Dobrze. Otul się płaszczem, tak aby ukryć torbę i miecz. W porządku. A teraz pójdziemy na Wielką Wieżę, aby spokojnie porozmawiać.

Noc była pochmurna, jakże różna od tej, podczas której obserwowali koniunkcję Tarvy i Alambil. Kiedy znaleźli się na szczycie wieży, Doktor Kornelius powiedział:

— Drogi książę, musisz natychmiast opuścić ten zamek i szukać szczęścia w szerokim świecie. Tutaj twojemu życiu zagraża niebezpieczeństwo.

— Dlaczego?

— Ponieważ jesteś prawdziwym królem Narnii, Kaspianem Dziesiątym, prawdziwym synem i dziadkiem Kaspiana Dziewiątego. Oby wasza królewska mość żyła jak najdłużej — i tu nagle, ku wielkiemu zdumieniu Kaspiana, ukląkł na jedno kolano i pocałował go w rękę.

— Co to wszystko ma znaczyć? Nic nie rozumiem — powiedział Kaspian.

— Dziwiłem się zawsze, dlaczego nigdy mnie o to nie pytasz — odpowiedział Doktor. — Dlaczego, będąc synem króla Kaspiana, sam nie jesteś królem Kaspianem? Każdy, prócz waszej królewskiej mości, wie, że Miraż jest uzurpatorem. Kiedy zdobył władzę, nawet on sam nie nazwał siebie królem tylko Wielkim Opiekunem. Ale potem zmarła twoja matka, dobra królowa, jedyna spośród Telmarów, która była mi życzliwa. A potem, jeden po drugim, zmarli lub gdzieś zniknęli wszyscy baronowie, którzy znali twojego ojca. Nie było to dzieło przypadku. To Miraż ich usunął. Belizar i Uwilas zginęli przeszyci strzałami na polowaniu; mówiło się, że to nieszczęśliwy wypadek. Cały wielki ród Pasarydów został wysłany nad północną granicę, aby walczyć z olbrzymami. Wszyscy po kolei zginęli Arian, Erimon i wielu innych zostali skazani i uśmierceni pod zarzutem spisku, oczywiście na podstawie fałszywych świadectw. Dwóch braci z Bobrowej Tamy kazał zabić jako szaleńców. W końcu namówił siedmiu szlachejnych baronów, jedynych spośród Telmarów, którzy nie bali się morza, aby pożeglowali przez Wschodni Ocean w poszukiwaniu nowych lądów. Żaden z nich nigdy nie powrócił i nietrudno się domyślić, że zostało to zaplanowane. A gdy już nie było nikogo, kto mógł przypomnieć o twoich prawach, wówczas jego poplecznicy zaczęli go błagać (zgodnie z jego życzeniem, rzecz jasna), aby obwołał się królem. Oczywiście zgodził się szybko.

— Sądzisz, że teraz chce zabić mnie? — zapytał Kaspian.

— To prawie pewne — odpowiedział Doktor Kornelius.

— Ale dlaczego dopiero teraz? Dlaczego nie zrobił tego wcześniej? I co takiego mu zrobiłem?

— Może przedtem tego nie chciał, ale teraz zmienił zdanie po tym, co zdarzyło się zaledwie dwie godziny temu. Królowa urodziła mu syna.

— Nie rozumiem, co to ma wspólnego z tym wszystkim — powiedział Kaspian.

— Nie rozumiesz! — zawołał Doktor. — Czyż bym na próżno uczył cię historii i polityki? Słuchaj więc. Dopóki nie miał swoich własnych dzieci, godził się na to, że zostaniesz królem, kiedy jego już nie będzie. Ty sam niewiele go obchodziłeś, ale na pewno wołał na tronie ciebie niż kogoś obcego. Teraz, kiedy już ma swego własnego syna, będzie z całą pewnością pragnął, aby to on został jego następcą. Czy nie rozumiesz, że jesteś przeszkodą?! Usunie cię z drogi.

— Czy on naprawdę jest taki zły? — zapytał Kaspian. — Czy naprawdę mógłby mnie zamordować?

— Zamordował twojego ojca — powiedział Doktor Kornelius.

Kaspianowi zrobiło się słabo i zamilkł.

— Kiedyś ci o tym opowiem — dodał po chwili Doktor. — Ale nie teraz. Teraz nie ma chwili do stracenia. Musisz natychmiast uciekać.

— Czy pójdziesz ze mną? — zapytał Kaspian.

— Obawiam się, że to niemożliwe. Byłbyś jeszcze bardziej zagrożony. Dwóch łatwiej wytropić niż jednego. Kochany książę, mój miły królu Kaspianie, musisz być bardzo dzielny. Musisz wyruszyć natychmiast i samotnie. Próbuj przedostać się przez południową granicę, na dwór króla Naina z Archenlandii. Przyjmie cię dobrze.

— Czy już nigdy cię nie zobaczę? — zapytał Kaspian załamującym się ze wzruszenia głosem.

— Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś zobaczymy, miły królu. Nie mam przecież na całym świecie żadnego przyjaciela prócz waszej królewskiej mości. Ale teraz, naprawdę, trzeba się bardzo spieszyć. To najważniejsze. Tu są dwie rzeczy, które mogą ci się przydać w drodze. Oto niewielka sakiewka ze złotem, niestety bardzo mała, choć zgodnie z prawem wszystkie skarby w tym zamku powinny należeć do ciebie. A tu jest coś znacznie lepszego.

Włożył Kaspianowi do ręki coś, czego królewicz nie mógł w ciemności zobaczyć, ale co musiało być niewielkim rogiem.

— To jest — powiedział Doktor — największy i najświętszy skarb w całej Narnii. Wiele wycierpiałem i wiele zaklęć wyszeptiałem, gdy byłem młody, aby go odnaleźć. To jest zaczarowany róg samej królowej Zuzanny. Zostawiła go po sobie, kiedy nagle zniknęła z Narnii pod koniec Złotego Wieku. Mówią, że ktokolwiek w niego zadmie, otrzyma niespodziewaną pomoc, a nikt nie może przewidzieć, jak dziwną i niespodziewaną. Róg posiada moc sprowadzenia tutaj z dalekiej przeszłości królowej Łucji i króla Edmunda, i królowej Zuzanny, i Wielkiego Króla Piotra, którzy z powrotem zaprowadzą prawo. Może na jego dźwięk przybędzie sam Aslan? Weź go, królu Kaspianie, ale pamiętaj: możesz go użyć tylko w ostatecznej potrzebie. A teraz szybko, szybko, szybko! Te małe drzwi na samym dole wieży, drzwi do ogrodu, są otwarte. Tam się rozstaniemy.

— Czy nie mógłbym przedtem wyprowadzić mojego Rumaka?

— Już jest osiodłany i czeka na ciebie w końcu sadu.

Kiedy schodzili po schodach pełnej wiatru wieży, Kornelius szeptał mu do ucha ostatnie rady i wskazówki. Serce Kaspiana przepęłniał smutek, ale starał się wszystko dobrze zrozumieć i zapamiętać. Zeszli wreszcie na sam dół i Doktor mocno uściśnął mu dłoń. Przebiegłszy przez trawniki, napotkał Rumaka radosnym rzeniem witającego swego pana — i oto król Kaspian Dziesiąty opuszczał już zamek swego ojca. Kiedy obejrzał się ostatni raz za siebie, zobaczył sztuczne ognie, którymi witano narodziny nowego królewicza.

Przez całą noc pędził na południe, trzymając się bocznych dróg i wąskich ścieżek leśnych tak długo, jak długo okolice były mu znajome; potem jechał już główną drogą. Rumak był równie podniecony jak jego pan tą niezwykłą nocną jazdą, a Kaspian, choć oczy miał pełne łez, gdy żegnał się z Doktorem Korneliusem, teraz czuł się dzielnie i był nawet — w pewien sposób — szczęśliwy jako król Kaspian pędzący na koniu w poszukiwaniu przygód, z mieczem u lewego boku i zaczarowanym rogiem królowej Zuzanny u prawego. O świcie przeleciał drobny deszczyk i królewicz, rozejrzawszy się dookoła siebie, zobaczył tylko nie znane sobie zupełnie lasy, dzikie wrzosowiska i błękitne szczyty gór. Pomyślał, że świat jest wielki i obcy. Poczul się w nim mały i zagubiony.

Kiedy zrobiło się już zupełnie jasno, zjechał z głównego traktu i znalazł zaciszną, porośniętą miękką trawą polankę. Rozsiodłał Rumaka i puścił go wolno, a sam zjadł kawałek zimnego kurczaka i popił winem. Wkrótce zmorzył go sen. Obudził się dopiero późnym popołudniem. Przełknął kilka kęsów chleba z mięsem i ruszył w dalszą wędrówkę. Jechał znowu bocznymi drogami, kierując się wciąż na południe. Znajdował się już wśród wzgórz i raz po raz przychodziło mu wspinać się na zbocza, to zjeżdżać w dół, wciąż jednak wyżej i wyżej. Z każdego kolejnego wzniesienia widział coraz wyraźniej szczyty gór. Pod wieczór dojechał już do ich niższych partii. Wiatr był coraz silniejszy, aż nagle spadły z nieba strumienie deszczu. Rumak włókł się niechętnie, zanosilo się na burzę. Mroczny sosnowy las, przez który jechał, wydawał się nie mieć końca. Przypomniały mu się wszystkie opowieści o nieprzyjaznych wobec ludzi drzewach. Zdał sobie sprawę z tego, że jest przecież Telmarem, jednym z rasy, która wycinała drzewa wszędzie, gdzie prowadziła walkę z pierwotnymi mieszkańcami Narnii, a chociaż on sam różnił się od swoich ziomków, trudno byłoby oczekiwać, że drzewa o tym wiedzą.

I nie wiedziały. Wichura przeszła w prawdziwą burzę, las napęłnił się hukiem i trzaskiem. Nagle, z przeraźliwym hałasem, olbrzymie drzewo upadło na drogę tuż za nim. „Spokojnie, Rumaku, spokojnie” , przemówił Kaspian do swego konia, głaszcząc go po szyi ale sam drżał ze strachu wiedząc, że był bliski śmierci. Zajaśniała błyskawica, a potem rozległ się ogłuszający grzmot, jakby

niebo pękło na dwie części tuż nad jego głową. Rumak skoczył do przodu i Kaspian, choć był dobrym jeźdźcem, nie potrafił go powstrzymać. Starał się tylko utrzymać w siodle, świadom, że podczas szalonej galopady, która teraz się zaczęła, jego życie wisi na włosku. Drzewa migwały mu przed oczami, raz po raz ocierał się o nie w wielkim pędzie. I nagle — a stało się to tak szybko i niespodziewanie, że nawet nie pomyślał o bólu i ranie (w rzeczywistości jednak naprawdę został zraniony) — coś uderzyło go w czoło. Stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, stwierdził, że leży w kręgu światła rzucanego przez ognisko, cały potłuczony i posiniaczony, a głowa pęka mu z bólu. Tuż obok siebie usłyszał przyciszone głosy.

— A teraz — mówił jeden — zanim się przebudzi, trzeba postanowić, co z nim zrobimy.

— Trzeba go zabić — odezwał się drugi głos. — Nie możemy darować mu życia. Mógłby nas wydać.

— Trzeba go było od razu zabić albo zostawić — przemówił trzeci głos. — Nie możemy go zabić teraz, kiedy już go stamtąd zabraliśmy i opatrzyliśmy. To tak jakby zabić gościa.

Szlachetni panowie — odezwał się Kaspian słali m głosem — cokolwiek zrobicie ze mną, miejcie litość dla mojego biednego konia.

— Twój koń uciekł na długo przedtem, zanim cię znaleźliśmy — odpowiedział pierwszy głos, wyjątkowo ochryply i prostacki.

— Nie możemy pozwolić, aby nas omamił słodkimi słówkami — powiedział drugi głos. — Powtarzam...

— Na rogi i rosomaki! — zawołał trzeci głos.

— Przecież nie możemy go zabić! Wstydz się, Nikabriku. Jak myślisz, Truflogonie, co z nim zrobić? — Przede wszystkim dajmy mu pić — odpowiedział pierwszy głos, należący — jak można było przypuszczać — do Truflogona. Kaspian zobaczył ciemną postać zbliżającą się do niego, a potem poczuł ramię wsuwające mu się pod plecy — jeśli to było naprawdę ramię. Wyczuwał coś dziwnego w tej postaci, choć nie widział jej dokładnie. Twarz, która się nad nim pochylała, była również dziwna. Wydawało mu się, że jest bardzo zarośnięta, z długim nosem i dziwnymi białymi smugami po bokach. „To pewno coś w rodzaju maski — pomyślał Kaspian — albo może mam gorączkę i majacze”. Poczul na wargach coś gorącego i słodkiego. Wypił i w tej samej chwili ktoś rozgarnął drwa w ognisku. Buchnął płomień i Kaspian ledwo się powstrzymał od okrzyku na widok oblicza, które się nad nim nachylało. Nie była to bowiem wcale twarz człowieka, lecz borsuka, choć większa i bardziej przyjazna niż u jakiegokolwiek borsuka, którego przedtem widział. Nie ulegało też wątpliwości, że ten borsuk mówił!

Kaspian stwierdził teraz, że leży na posłaniu z wrzosu w jakiejś jaskini. Przy ognisku siedziało dwóch brodaczy, o wiele bardziej dzikich, zarośniętych i korpulentnych niż Doktor Kornelius. Domyślił się od razu, że są to karły ze starodawnej rasy, prawdziwe karły bez kropli ludzkiej krwi w żyłach. Teraz wiedział już, że wreszcie spotkał Starych Narnijczyków! A potem wszystko rozplynęło się we mgle: ponownie stracił przytomność.

W ciągu kilku następnych dni nauczył się imion swoich nowych towarzyszy. Borsuka nazywano Truflogonem; był najstarszy i najbardziej mu życzliwy. Karzeł, który chciał go zabić, należał do Czarnych Karłów (a więc włosy miał czarne, grube i sztywne jak końska grzywa) i nazywał się Nikabrik. Drugi był Czerwonym Karłem (o włosach rudych jak u lisa) i zwał się Zuchon.

— A teraz — powiedział Nikabrik pewnego wieczoru, kiedy Kaspian czuł się już tak dobrze, że mógł usiąść i mówić — teraz musimy w końcu postanowić, co zrobić z tym ludzkim pomiotem. Wam dwóm wciąż się wydaje, że zrobiliście coś wspaniałego nie pozwalając mi go zabić. A skutek jest taki, że teraz trzeba by go gdzieś uwięzić na całe życie. Ja w każdym razie nie mam zamiaru

puścić go wolno, żeby wrócił do swoich i wydał nas wszystkich.

— Na pikle i poduchy, Nikabriku! — zawołał Zuchon. — Czy musisz zawsze wygadywać takie okropieństwa? Co winne jest to stworzenie, że rozbiło sobie głowę o gałąź akurat przed naszą pieczarą? Czy tak, według ciebie, wygląda szpieg?

— Słuchajcie — odezwał się Kaspian — przecież nawet mnie nie zapytaliście, czy JA CHCĘ wrócić. A wcale tego nie chcę. Chcę zostać z wami, jeśli mi tylko pozwolicie. Takich jak wy szukałem przez całe życie.

— To nawet niezła bajeczka — warknął Nikabrik. — Jesteś Telmarem i człowiekiem, może nie? To przecież jasne, że musisz chcieć wrócić do swoich.

— Gdybym nawet tego chciał, nie mogę — powiedział Kaspian. — Wypadek z gałęzią przydarzył mi się, kiedy uciekałem, ratując swe życie. Król chce mnie zabić. Jeżeli wy mnie zabijecie, zrobicie coś, co go bardzo ucieszy.

— Ejże, to nie do wiary! — powiedział Truflogon.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał Zuchon. — Cóż takiego zrobiłeś, człowieku, że będąc jeszcze chłopcem stanąłeś na drodze Mirażowi?

— To mój wuj... — zaczął Kaspian, na co Nikabrik podskoczył i wyciągnął sztylet.

— Tu cię mamy! — krzyknął. — Nie tylko Telmar, ale jeszcze do tego bliski krewniak naszego największego wroga! Trzeba być szaleńcem, żeby puścić tę kreaturę z życiem! — I rzucił się na Kaspiana z nożem. Gdyby go borsuk i Zuchon nie przytrzymali, byłoby już po wszystkim.

— Nikabriku, raz i na zawsze — powiedział Zuchon — przyrzeknij, że będziesz nad sobą panował, chyba że chcesz, byśmy ci usiedli na głowie.

Karzeł wydusił z siebie przyrzeczenie, a borsuk poprosił chłopca, aby im opowiedział swoją historię. Kiedy Kaspian skończył, zapadło długie milczenie.

— To najdziwniejsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałem — powiedział w końcu Zuchon.

— A mnie się to wciąż nie podoba — warknął Nikabrik. — Nie wiedziałem, że ludzie wciąż sobie o nas opowiadają. Im mniej o nas wiedzą, tym lepiej.

I ta stara niania... Byłoby lepiej, żeby trzymała język za zębami. A ten wychowawca, jeden z tych karłów-zdrajców... Nienawidzę ich. Nienawidzę ich bardziej od ludzi. Zapamiętajcie sobie moje słowa: nic dobrego z tego nie wyniknie.

— Nie powinieneś tyle gadać o sprawach, których nie rozumiesz, Nikabriku — powiedział Truflogon. — Wy, karły, macie tak krótką pamięć jak sami ludzie i tak samo łatwo zmieniacie zdanie. Ja zaś jestem zwierzęciem i do tego borsukiem. My się tak szybko nie zmieniamy. Jestem pewien, że to początek jakiejś wielkiej, dobrej sprawy. Oto mamy wśród nas prawdziwego króla Narnii, prawdziwego króla wracającego do prawdziwej Narnii. A my, zwierzęta, pamiętamy, jeśli nawet karły o tym zapomniały, że w Narnii wtedy było dobrze, gdy panował nad nią Syn Adama.

— Na raki i rosomaki, Truflogonie! — zawołał

Zuchon. — Nie chciałbyś chyba oddać Narnii ludziom? — Nic takiego nie mówiłem — odpowiedział borsuk. — To nie jest kraj ludzi (a kto może o tym wiedzieć lepiej ode mnie?), ale to jest kraj, w którym człowiek ma być królem. My, borsuki, mamy wystarczająco dobrą pamięć, aby o tym wiedzieć. Cóż, do diaska, czyż Wielki Król Piotr nie był człowiekiem?

— Wierzysz w te wszystkie starodawne opowieści? — zapytał Zuchon.

— Powiedziałem wam: my, zwierzęta, mamy dobrą pamięć i nie zmieniamy się tak łatwo — odpowiedział Truflogon. — Wierzę w Wielkiego Króla Piotra i innych ludzi, którzy panowali na Ker-Paravelu, wierzę tak mocno, jak wierzę w samego Aslana.

— Tak mocno jak w TO? — wtrącił Zuchon z przekąsem. — A kto dziś wierzy w Aslana?

— Ja wierzę — powiedział Kaspian. — A gdybym nie wierzył już w niego przedtem, uwierzyłbym teraz. Tam, wśród ludzi, wielu jest takich, co śmieją się z Aslana, ale to są ci, którzy śmieją się również, gdy im ktoś opowiada o mówiących zwierzętach i karłach. Czasami i ja zastanawiałem się, czy naprawdę mogą istnieć takie istoty jak wy. A jednak wy istniejecie.

— Racja — powiedział Truflogon. — Masz rację, królu Kaspianie. I dopóki będziesz wierny Starej Narnii, będziesz MOIM królem, cokolwiek by różni tacy mówili. Niech nam wasza królewska mość długo żyje!

— Niedobrze mi się robi, jak tego słucham — warknął Nikabrik. — Wielki Król Piotr i jego towarzysze mogli być ludźmi, ale to był zupełnie inny rodzaj ludzi. A to jest jeden z tych przeklętych Telmarów. Na pewno polował na zwierzęta dla samej przyjemności. Co, może nie mam racji? — dodał, odwracając się nagle do Kaspiana.

— No cóż, jeśli mam być szczery, polowałem — odpowiedział Kaspian. — Ale to nie były mówiące zwierzęta.

— To niczego nie zmienia — warknął Nikabrik.

— Nie, nie, nie — wtrącił się Truflogon. — Wiesz dobrze, że tak nie jest. W dzisiejszej Narnii zwierzęta są zupełnie inne. To biedne, nieme, otepiałe stworzenia, takie jak w Kalormenie czy Telmarze. Są też o wiele mniejsze. Różnią się od nas bardziej niż półkarły od was.

Rozmowa trwała jeszcze długo i zakończyła się ogólną zgodą na to, by Kaspian pozostał z nimi, a nawet obietnicą, że gdy tylko będzie zdrow, zabiorą go na spotkanie z „innymi”, jak się wyraził Zuchon. Dla Kaspiana stało się teraz jasne, że w tych dzikich okolicach żyją wciąż w ukryciu wszystkie rodzaje istot ze Starej Narnii.

Rozdział 6

LUD MIESZKAJĄCY W UKRYCIU

Teraz rozpoczęły się dla Kaspiana najszcześniejsze w jego życiu dni. Pewnego cudownego letniego ranka, gdy rosa lśniła jeszcze na murawie, wyruszyli z borsukiem i dwoma karłami przez las. Wspięli się na przełęcz położoną wysoko w górach, a potem zeszli po ich południowych zboczach, skąd widać już było zielone wzgórza Archenlandii.

— Najpierw odwiedzimy Trzy Brzuchate Niedźwiedzie — oznajmił Zuchon.

Doszli do starego, zmurszałego dębu, pokrytego mchem i najwidoczniej pustego w środku, ponieważ Truflogon zapukał w pień trzy razy. Nie było jednak żadnej odpowiedzi. Zapukał ponownie i wówczas usłyszeli zaspany, wełnisty głos:

— Dajcie nam spokój. Jeszcze nie czas wstawać. Ale kiedy zapukał jeszcze raz, wewnątrz rozległ się dziwny hałas, przypominający małe trzęsienie ziemi, potem otworzyło się coś w rodzaju drzwi i jeden po drugim wyszły z drzewa trzy brązowe misie, rzeczywiście bardzo brzuchate i bardzo zaspane. A kiedy już wszystko im wyjaśniono (co trwało bardzo długo), zgodziły się z Truflogonem, że Syn Adama powinien być królem Narnii, ucałowały Kaspiana — a były to bardzo mokre i sapiące pocałunki — i ofiarowały mu trochę miodu. Kaspian nie miał wielkiej ochoty na miód — bez chleba i o tej porze — ale pomyślał, że nie byłoby grzecznie odmawiać. Wiele czasu upłynęło, zanim ręce przestały mu się kleić.

Ruszyli w dalszą drogę, aż doszli do wysokiego bukowego lasu i tu Truflogon zawołał:

— Trajkowitko! Trajkowitko! — I prawie natychmiast, skacząc z gałęzi na gałąź, aż zawisła tuż nad ich głowami, pojawiła się najwspanialsza ruda wiewiórka, jaką Kaspian kiedykolwiek widział. Była o wiele większa niż zwykle nieme wiewiórki, które spotykał czasem w ogrodzie zamkowym — mniej więcej rozmiarów małego psa teriera — i wystarczyło na nią spojrzeć, aby wiedzieć, że potrafi mówić. I to jak! Najtrudniejsze okazało się skłonienie jej do chwili milczenia, bo — jak wszystkie wiewiórki — była okropną gadułą. Od razu powitała Kaspiana z radością i zapytała, czy nie miałby ochoty na orzeszka. Królewicz odpowiedział, że o niczym innym nie marzy, lecz kiedy smyrnęła szybko w górę, Truflogon szepnął mu do ucha:

— Tylko nie patrz teraz na nią. Patrz w zupełnie innym kierunku. Wśród wiewiórek uważa się za wielki nietakt, gdy ktoś chce zobaczyć, gdzie są ich spiżarnie lub sprawia wrażenie, że chce się tego dowiedzieć.

Trajkowitzka wróciła z orzechem, a kiedy Kaspian go zjadł, zapytała, czy chcą może przekazać komuś jakąś wiadomość.

— Przedostanę się wszędzie bez dotykania stopą ziemi — dodała.

Uznali to za dobry pomysł i poprosili ją, aby wezwała mieszkańców lasu na ucztę i naradę, która odbędzie się za trzy noce w Tanecznym Uroczysku.

— I zaprosz też Trzy Brzuchate Niedźwiedzie — dodał Zuchon — bo zapomnieliśmy im o tym powiedzieć.

Potem odwiedzili Siedmiu Braci z Posępnego Boru. Zuchon poprowadził ich z powrotem do wysokiej przełęczy, a potem na wschód, po północnym zboczu gór, aż doszli do nieco ponurego miejsca wśród skał i jodeł. Szli w całkowitej ciszy i nagle Kaspian poczuł, że ziemia pod nim drży, jakby ktoś siedział w środku i walił w coś ciężkim młotem. Zuchon podszedł do płaskiego kamienia wielkości pokrywy sporej beczki i tupnął weń nogą. Po dłuższej chwili kamień poruszył się i ktoś odsunął go na bok. W skale pojawiła się czarna dziura, z której buchnęła gorąca para, a w dziurze ukazała się głowa karła bardzo podobnego do Zuchona. Rozmowa trwała długo, bo karzeł okazał się bardziej podejrzliwy niż Trzy Brzuchate Niedźwiedzie i Trajkowitzka, ale w końcu zaproszono ich do środka. Zeszli pod ziemię po ciemnych, wykutych w kamieniu schodkach. Na dnie było całkiem jasno: blask bił od wielkiego pieca, gdyż podziemna pieczara okazała się wielką kuźnią. Płynął tu podziemny strumień. Dwóch karłów obsługiwało miech, trzeci trzymał długimi obcęgi na kowadłe kawał rozpalonego do czerwoności żelaza, a czwarty bił w nie wielkim młotem. Dwu innych wyszło im na spotkanie, wycierając ręce w usmolone fartuchy.

Sporo czasu zajęło wyjaśnianie im, że Kaspian nie jest ich wrogiem, lecz przyjacielem, ale kiedy w końcu zrozumieli, zawołali „Niech żyje król!” i wręczyli im podarunki: stalowe kolczugi, hełmy i miecze dla Kaspiana, Zuchona i Nikabrika. Borsuk mógł również otrzymać taki wojenny ekwipunek, ale odmówił, twierdząc, że jest zwierzęciem, tak, zwierzęciem, i jeśli pazury i zęby nie wystarczą mu do obrony własnej skóry, to nie warto jej bronić. Uzbrojenie wykonane było po mistrzowsku i Kaspian chętnie zamienił swój miecz, który wydał mu się teraz dziecinną zabawką. Siedmiu Braci (wszyscy byli Czerwonymi Karłami) przyrzekło swój udział w uczcie w Tanecznym Uroczysku.

Nieco dalej, w suchym, skalistym wąwozie, znajdowała się jaskinia pięciu Czarnych Karłów. Przyglądali się Kaspianowi podejrzliwie, ale w końcu najstarszy z nich powiedział:

— Jeżeli on jest przeciw Mirażowi, to może być naszym królem.

A drugi dodał:

— Chcecie, żebyśmy was zaprowadzili wyżej, aż do turni? Mieszka tam jeden wilkołak, a może i dwóch, a także wiedźma. Możemy was przedstawić.

— Bardzo dziękujemy, ale chyba... — zaczął szybko Kaspian i zająknął się, a Truflogon skrzywił się i powiedział:

— Myślę, że nie skorzystamy z tej propozycji. Nie chcemy mieć żadnych takich po naszej stronie. Nikabrik był innego zdania, ale został przegłosowany przez borsuka i Zuchona. Kaspian ledwo swym oczom i uszom wierzył, przekonując się, że rzeczywiście żyją jeszcze w Narnii potomkowie strasznych i dziwnych istot, znanych mu dotąd tylko z opowieści starej niani.

— Aslan nie byłby po naszej stronie, gdybyśmy zabrali całą tę hałastę — zauważył Truflogon, kiedy schodzili w dół, wracając z jaskini Czarnych Karłów.

— Och, znowu ten Aslan! — prychnął Zuchon pogardliwie. — Ważniejsze, że wtedy i ze mnie musielibyście zrezygnować.

— A ty wierzysz w Aslana? — zapytał Kaspian Nikabrika.

— Wierzę w każdego i we wszystko — odpowiedział karzeł — kto i co będzie walczyć z tymi przekłętymi telmarskimi barbarzyńcami i pomoże nam rozerwać ich na strzępy albo wyrzucić z Narnii. W każdego i we wszystko, w Aslana czy w Białą Czarownicę, rozumiesz?

— Spokojnie, spokojnie — wtrącił Truflogon. — Sam nie wiesz, co mówisz. Ona jest gorsza od Miraza i całej jego rasy.

— Ale nie dla karłów — odpowiedział hardo Nikabrik.

Następna wizyta była bardziej przyjemna. Kiedy zeszli w dół, góry rozstały się, tworząc rozległą, leśną dolinę, po której dnie płynęła bystra rzeczka. Nad jej brzegiem drzewa ustąpiły miejsca zacisznej polance, porośniętej naparstnicami i dzikimi różami.

— Grom oj arze! Gromojarze! — zawołał Truflogon i po chwili Kaspian usłyszał w oddali tętent kopyt, który zbliżał się i potężniał, aż cała dolina zaczęła drżeć, i w końcu, łamiąc i tratując zarośla, pojawiły się najszlachetniejsze stworzenia, jakie Kaspian kiedykolwiek widział: wielki centaur Gromojar ze swoimi trzema synami. Jego boki lśniły jak świeżo obłupane ze skórki kasztany, a długa broda, spływająca na piersi, miała kolor czerwonego złota. Gromojar był prorokiem i potrafił czytać w gwiazdach, więc nie musieli mu niczego tłumaczyć.

— Niech żyje król! — zawołał. — Ja i moi synowie jesteśmy gotowi do wojny. Kiedy będzie bitwa?

Aż do tej chwili ani Kaspian, ani jego towarzysze nie myśleli poważnie o wojnie. Wyobrażali sobie mgliście, że można — na przykład — dokonać wypadu na jakąś ludzką zagrodę albo zaatakować grupę myśliwych, gdyby zapędzili się za daleko w południowe dzikie ostępy. Na ogół myśleli jednak raczej o życiu wśród lasów i gór, o próbie odbudowania Starej Narnii z dala od ludzi. Kiedy Gromojar przemówił, poczuli nagle, że cała sprawa jest bardziej poważna, niż im się wydawało.

— Masz na myśli prawdziwą wojnę, aż do wypchnięcia Miraza i jego ludu z Narnii? — zapytał Kaspian.

— A cóż by innego? — odpowiedział centaur.

— Po cóż by wasza królewska mość wkładał hełm i kolczugę i zawieszał miecz u boku?

— Ale czy to może się udać, Gromojarze? — zapytał borsuk.

— Już nadszedł czas — odpowiedział Gromojar.

— Do mnie, jak wiesz, należy pilne badanie gwiazd, tak jak do ciebie pamiętanie o wszystkim. Tarva i Alambil spotkały się na wysokim niebie, a na ziemi narodził się raz jeszcze Syn Adama, który ma nazwać po imieniu wszystkie stworzenia i rządzić nad nimi w pokoju. Godzina wybiła. Nasza narada w Tanecznym Uroczysku musi być naradą wojenną.

Gromojar przemawiał takim tonem, że ani Kaspian, ani jego towarzysze nawet nie pomyśleli o tym, że można mu zaprzeczyć. Uwierzyli teraz w możliwość zwycięstwa. To, że wojnę trzeba rozpocząć,

nie budziło już w nikim żadnej wątpliwości.

Minęło już południe, więc zatrzymali się dłużej nad rzeczka, aby odpocząć i zjeść to, czym ich mogli ugościć centaury: owsiankę, jabłka, różne zioła, wino i ser.

Zanim dotarli do kolejnej siedziby, porządnie się zmęczyli, bo chociaż samo miejsce nie było odległe, musieli nadłożyć kawał drogi, aby obejść tereny zamieszkałe przez ludzi. Dopiero późnym popołudniem znaleźli się wśród zacisznych pól, poprzecinanych żywopłotami. Tutaj Truflogon nachylił się nad wejściem do niewielkiej nory w zielonym zboczu, a kiedy zawołał, wynurzyło się coś, czego się Kaspian najmniej spodziewał: mówiąca mysz. Była oczywiście większa niż zwykła mysz; kiedy stanęła na tylnych łapach, mogła mieć sporo ponad trzydzieści centymetrów, a kiedy dodało się uszy, długie jak u królika (ale o wiele szersze), sprawiało to imponujące wrażenie. Był to Ryczypisk, wesoły i wojowniczo usposobiony jegomość, ze szpadą u boku i z długimi wąsami, które raz po raz podkręcał zawadiacko.

— Jest tu nas dwunastu, miłościwy panie — oznajmił, kłaniając się szarmancko — i oddaję wszystkie siły mojego ludu do całkowitej dyspozycji waszej królewskiej mości.

Kaspian zrobił wszystko, aby nie wybuchnąć śmiechem, ale pomyślał, że Ryczypiska z całym „jego ludem” można by z łatwością zmieścić w koszu na bieliznę i zanieść na plecach do domu.

Zajęłoby nam zbyt wiele czasu wyliczanie wszystkich dziwnych stworzeń, które odwiedzili tego dnia. Był tam kret Gburak Łopata, trzech Twardziaków (którzy byli borsukami, jak Truflogon), zając Kamillo i jeź Szczotosław. Wreszcie zatrzymali się, aby odpocząć przy źródelku na skraju przestronnego i płaskiego kręgu murawy, otoczonego wysokimi wiązami. Cienie drzew były długie, bo słońce już zachodziło; stokrotki tuliły płatki, a gawrony wracały do swoich gniazd. Zjedli na kolację to, co zabrali ze sobą, i Zuchon wyciągnął fajkę (Nikabrik w ogóle nie palił).

— Gdybyśmy jeszcze potrafili obudzić duchy tych drzew i tego źródelka — powiedział borsuk — to mielibyśmy za sobą kawał dobrej roboty.

— A nie potrafimy? — zapytał Kaspian.

— Nie — odpowiedział Truflogon. — Nie mamy nad nimi władzy. Kiedy zjawili się ludzie, wyrabując lasy i plugawiąc strumienie, driady i najady zapadły w głęboki sen. Kto wie, czy w ogóle kiedyś się przebudzą? A to dla nas wielka strata. Telmarowie piekielnie się boją lasu i gdyby tylko drzewa powstały przeciw nim w całym swym gniewie, nasi wrogowie zmykaliby z Narnii w popłochu ile tylko sił w nogach.

— Ależ wy, zwierzęta, macie wyobraźnię! — zakpił Zuchon, który nie wierzył w takie rzeczy. — Dlaczego tylko drzewa i wody? Nie byłoby piękniej, gdyby i kamienie same rzucały się na starego Miraza?

Borsuk zamruczał coś pod nosem, a potem zapadła taka cisza, że Kaspian zaczął już powoli zasypiać, gdy nagle wydało mu się, iż słyszy delikatne, melodyjne dźwięki dochodzące z lasu za jego plecami. Pomyślał, że to zaczął się już jakiś sen, i przewrócił się z boku na bok, ale gdy tylko dotknął uchem murawy, poczuł albo posłyszał (trudno to było właściwie rozróżnić) ciche brzdąkanie lub bębnienie. Podniósł głowę. Bębnienie ucichło, ale dziwna muzyka powróciła, jeszcze bardziej wyraźna. Zobaczył, że Truflogon też usiadł i wpatruje się w ciemny las. Księżyc świecił teraz jasno i Kaspian pomyślał, że musiał spać dłużej, niż sądził. Muzyka zdawała się przybliżać: coraz głośniejsze i wyraźniejsze brzmiała dziwna, dzika i jednocześnie senna melodia, a towarzyszył jej jakby odgłos wielu stóp. I nagle z ciemnego lasu, w krąg polany zalanej księżycową poświatą, zaczęły się wynurzać zwiewne tańczące kształty, właśnie takie, jakie Kaspian widział w swoich snach, gdy jako mały chłopiec śnił o spotkaniach ze Starą Narnią. Leśne istoty nie były wyższe od karłów, ale o wiele szczuplejsze i pełne wdzięku. Z głowy wyrastały im małe różki,

górną część ciała lśniła nagością w bladym świetle księżyca, a ich nogi przypominały zakończone kopytkami nogi kozłów.

— Fauny! — krzyknął Kaspian i zerwał się na nogi, a dziwne istoty otoczyły go ze wszystkich stron. Nie marnowali czasu na wyjaśnianie całej sytuacji. Nim się Kaspian spostrzegł, już tańczył razem z nimi, za chwilę dołączył do nich Zuchon, podskakując ciężko, lecz ochoczo, i nawet Truflogon zaczął podrygiwać i przytupywać, dając z siebie wszystko, na co go było stać. Tylko Nikabrik nie ruszył się z miejsca, przypatrując się temu wszystkiemu w milczeniu. Fauny utworzyły krąg wokół Kaspiana, tańcząc i przygrywając na trzciniowych fletach, a ich dziwne twarze, smutne i wesołe zarazem, jaśniały w blasku księżyca. Był tam Mentius i Obentinus, Dumnus, Voluns, Voltinus, Girbius i Nimienus, Nausus i Oskuns. A wszystkich przysłała tu Trajkowitka.

Kiedy Kaspian obudził się następnego dnia, trudno mu było uwierzyć, że to dziwne nocne spotkanie nie było snem. A jednak całą polanę pokrywały ślady małych, rozdzielonych w środku kopytek.

Rozdział 7

STARA NARNIA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Miejscem, w którym spotkali się z faunami, było oczywiście Taneczne Uroczysko. Pozostali tu aż do nocy Wielkiej Rady. Były to dla Kaspiana niezwykle przeżycia: spać pod gwiazdami, pić wodę ze źródła, jeść tylko orzechy i dzikie owoce — po długich latach spania na jedwabnej pościeli w obwieszanej drogimi tkaninami komnacie zamkowej, ze służącymi czekającymi na jego wezwanie w sąsiednim pokoju, gdzie stał zawsze nakryty stół z wymyślnymi potrawami na złotej i srebrnej zastawie. Nigdy jednak nie czuł się tak szczęśliwy jak teraz. Nigdy przedtem nie budził się tak wypoczęty i rześki, nigdy jedzenie nie smakowało mu tak jak owe proste owoce lasów i pól. W krótkim czasie zmęźniał, a jego twarz nabrała królewskiego wyglądu.

I wreszcie nadeszła wielka noc. Księżyc był już w pełni i Kaspianowi serce rosło, gdy widział, jak z ciemnego lasu wynurzają się jego najdziwniejsi poddani, pojedynczo, po dwóch, po trzech, po sześciu i siedmiu. Było ich wielu, a wszyscy składali przed nim pokłon jak przed królem. Zeszli się wszyscy, których już spotkał: Trzy Brzuchate Niedźwiedzie, Czerwone i Czarne Karty, krety i borsuki, zające i jeże. Przybyło też wielu, których jeszcze nie widział: pięciu rudych jak lisy satyrów, cały oddział mówiących myszy, uzbrojonych po zęby i poprzedzanych przenikliwym wrzaskiem trąbki, trochę sów, stary kruk z Kruczego Urwiska. Na samym końcu, razem z centaurami, przybył nie największy, ale najprawdziwszy olbrzym, Świdrogrzmot ze Wzgórza Wisielca, niosący na plecach kosz pełen karłów z wyraźnymi oznakami choroby morskiej.

Brzuchate Niedźwiedzie nalegały, aby rozpocząć od uczty, a naradę odłożyć na potem, najlepiej do następnego dnia. Ryczypisk, przemawiający w imieniu całego swego oddziału, oświadczył, że i ucztę, i naradę można odłożyć na później, a teraz, nie czekając poranka, trzeba zaatakować Miraza w jego zamku. Trajkowitka i inne wiewiórki stwierdziły, że można przecież jeść i mówić jednocześnie, dlaczego więc nie połączyć narady z ucztą? Krety radziły wykopać fortyfikacje ziemne wokół uroczyska, zanim cokolwiek się postanowi. Fauny proponowały rozpocząć od uroczystego tańca. Stary kruk, zgadzając się w zasadzie z niedźwiedziami, że trudno byłoby czekać z kolacją, aż skończy się narada, błagał o pozwolenie wygłoszenia krótkiego przemówienia wstępnego. Wreszcie zabrały głos centaury, karły, a na końcu sam Kaspian i wszyscy zgodzili się z

nimi, że trzeba natychmiast zacząć prawdziwą wojenną naradę.

Z pewnym trudem zdołano wreszcie skłonić wszystkich, aby zasiedli w wielkim kręgu wokół Kaspiana. Najtrudniejsze okazało się uspokojenie Trajkowitki, która biegła tu i tam, pokrzykując: „Cisza! Cisza! Król chce przemówić!” , ale w końcu i to się udało. Kaspian powstał, czując lekkie ściskanie w dołku.

— Narnijczycy! — zaczął, ale na tym jego przemówienie się skończyło, bo gdy tylko wypowiedział pierwsze słowo, zając Kamillo zapiszczał:

— Ciiiiicho! Gdzieś w pobliżu jest człowiek! Mieszkańcom leśnych ostępów, przyzwyczajonym do ukrywania się i ucieczki przed nagonką, nie trzeba było nic więcej mówić. Wszyscy zamarli jak posągi. Zwierzęta zwróciły nosy we wskazanym przez Kamilla kierunku.

— Czuć człowiekiem, ale tak jakby niezupełnie... — szepnął Truflogon.

— Jest coraz bliżej — pisnął Kamillo.

— Dwa borsuki i trzy karły z łukami gotowymi do strzału! — rozkazał półgłosem Kaspian. — Pojść po cichu i rozpoznać!

— Zaraz go załatwimy — mruknął jeden z Czarnych Karłów, opierając koniec strzały na cięciwie.

— Nie strzelać, jeżeli jest sam — powiedział Kaspian. — Trzeba go schwycić żywego.

— Dlaczego? — zapytał karzeł.

— Rób, jak ci powiedziano — odezwał się centaur Gromojar.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu, podczas gdy trzy karły i dwa borsuki popęzły ku drzewom na północno-zachodnim skraju polany. Potem rozległ się ostry krzyk karła:

— Stój! Kto tu jest?

Trzasnęły gałęzie i w chwilę później dał się słyszeć głos, który Kaspian rozpoznał od razu:

— W porządku, w porządku, nie mam broni. Trzymajcie mnie za rękawy, szlachetne borsuki, ale nie przegryźcie ich, jeśli łaska. Chcę mówić z królem.

— Doktor Kornelius! — zawołał Kaspian z radością i pobiegł, aby spotkać się ze swoim starym wychowawcą. Wszyscy otoczyli ich ciasnym kręgiem.

— Tfu! — splunął z obrzydzeniem Nikabrik. — To karzeł-zdrajca! Mieszaniec. Czy mogę mu przejechać nożem po gardle?

— Siedź spokojnie, Nikabriku! — zagrzemiał Zuchon. — To stworzenie nie wybierało sobie przodków.

— To mój największy przyjaciel, który uratował mi życie — powiedział Kaspian. — Jeżeli komuś nie podoba się jego towarzystwo, może opuścić szeregi mojej armii i to zaraz. Kochany Doktorze, jakże się cieszę, że znowu cię widzę. Jak nas odnalazłeś?

— Za pomocą najprostszej magii, wasza królewska mość — odparł Doktor, wciąż jeszcze dysząc i sapiąc po szybkim marszu. — Ale nie ma teraz czasu, by o tym opowiadać. Musimy wszyscy natychmiast opuścić to miejsce. Zostaliście zdradzeni i Miraż już tu wyruszył. Zanim nastanie południe, będziecie otoczeni.

— Zdradzeni! — krzyknął Kaspian. — Przez kogo?

— Na pewno przez jakiegoś innego karła-mieszkańca — warknął Nikabrik.

— Przez twojego Rumaka, najjaśniejszy panie — powiedział Doktor Kornelius. — Oczywiście biedne zwierzę nie wiedziało, co robi. Kiedy spadłeś ze swego konia, powrócił do stajni w zamku i w ten sposób twoja ucieczka przestała być tajemnicą. Nie miałem ochoty na odwiedzin w sali tortur i natychmiast czmychnąłem z zamku. Moja kryształowa kula powiedziała mi, gdzie mam szukać swojego króla. Przez cały dzień, to znaczy przedwczoraj, widziałem jednak tu i tam zwiadowców Miraza. Wczoraj dowiedziałem się, że jego armia już wyruszyła. Niestety, nie wydaje

mi się, aby niektórzy z twoich... hm... czystej krwi karłów potrafili zachować się w lesie tak, jak by tego należało oczekiwać. Zostawiliście wszędzie mnóstwo śladów. To wielka nieostrożność! W każdym razie Miraż wie już, że Stara Narnia wcale nie jest tak martwa i głucha, jak mu się wydawało. Idzie tu z całym swym wojskiem.

— Hurra! — wrzasnęło coś przenikliwie w okolicach butów Doktora. — Niech tylko tu przyjdą! Wszystko, czego potrzeba mnie i moim ludziom, to zezwolenie na walkę w pierwszych szeregach.

— Cóż to takiego, do licha? — zdziwił się Doktor Kornelius. — Czy wasza miłość ma w swojej armii koniki polne albo komary? — Nachylił się, popatrzył uważnie przez swe okulary i wybuchnął śmiechem.

— Na Wielkiego Lwa! To przecież mysz. Panie Myszu, bardzo bym pragnął poznać pana bliżej. Wielki to dla mnie zaszczyt spotkać tak dzielne zwierzę.

— Możesz liczyć na moją przyjaźń, uczony człowieku — zapiszczał Rycypisk. — A każdy karzeł albo olbrzym, który obrazi cię niegrzecznym słowem, zapozna się z końcem mojej szpady.

— Czy to odpowiedni czas na takie błazenady? — zapytał Nikabrik. — Jakie są nasze plany? Bitwa czy ucieczka?

— Jeżeli zajdzie potrzeba, będzie i bitwa — powiedział Zuchon — ale na razie nie jesteśmy do niej wcale przygotowani. I nie jest to najlepsze miejsce do obrony.

— Nie bardzo mi się podoba pomysł ucieczki — zauważył Kaspian.

— Słuchajcie króla! Słuchajcie króla! — zaryczały Brzuchate Niedźwiedzie. — Cokolwiek zrobimy, niech to nie będzie UCIECZKA. A zwłaszcza nie przed kolacją i nie zaraz po niej.

— Ci, którzy uciekają pierwsi, nie zawsze uciekają ostatni — zauważył centaur. — Dlaczego mamy pozwolić, by wróg decydował o naszych pozycjach, zamiast wybrać je sami? Musimy znaleźć jakieś bardziej umocnione miejsce.

— To mądre słowa, wasza królewska mość, mądre słowa — powiedział Truflogon.

— Ale dokąd możemy iść? — zapytało jednocześnie kilka głosów.

— Wasza królewska mość — odezwał się Doktor Kornelius — i wy, wszystkie rodzaje leśnych stworzeń! Myślę, że powinniśmy udać się na wschód, wzdłuż rzeki, aż do Wielkiej Puszczy. Telmarowie źle się czują w tych okolicach. Zawsze bali się morza i tego, co może zza morza nadejść. Właśnie dlatego pozwolili, aby wyrosła tam Wielka Puszcza. Jeśli stare podania mówią prawdę, to tam, u ujścia Rzeki, był niegdyś Ker-Paravel. Cała ta okolica będzie przyjazna nam, a wroga Telmarom. Musimy się przedostać do Kopca Aslana.

— Kopiec Aslana? — rozległy się głosy. — A gdzie to jest?

— Na skraju Wielkiej Puszczy. Jest to wielki kopiec usypany przez starożytnych Narnijczyków na zaczarowanym miejscu, tam, gdzie stał, a być może stoi do dzisiaj, magiczny Kamień. Wewnątrz Kopca jest mnóstwo korytarzy i pieczar, a sam Kamień znajduje się w największej z nich. Jest tam dość miejsca na zgromadzenie zapasów oraz dla tych, którzy najbardziej potrzebują osłony, a są nawykli do życia pod ziemią. Reszta zalegnie w lesie. W razie potrzeby wszyscy, prócz tego dzielnego olbrzyma, mogą szukać schronienia w Kopcu, gdzie nic nam nie grozi, prócz głodu.

— Dobra to rzecz mieć wśród siebie takiego uczonego człowieka — powiedział Truflogon, ale Zuchon mruknął:

— Na sery i selery! Wolalbym, żeby nasi wodzowie przestali się zajmować opowieściami starych ciotek i zajęli się poważnie zaopatrzeniem i uzbrojeniem.

Wszyscy jednak zgodzili się na propozycję Korneliusa i tej samej nocy byli już w drodze. Przed wschodem słońca dotarli do Kopca Aslana.

Było to bez wątpienia miejsce wzbudzające grozę: kolisty, zielony kopiec na szczycie większego

wzgórza, od dawna gęsto zarośniętego drzewami. Do wnętrza prowadziło tylko jedno niewielkie wejście. Korytarze tworzyły prawdziwy labirynt, w którym łatwo było zabłądzić, dopóki się go dobrze nie poznało. Ściany i sklepienia korytarzy wyłożono kamiennymi, gładkimi płytami, a na nich majaczyły w słabym świetle jakieś dziwne litery i wiły się ornamenty, wśród których raz po raz powtarzała się postać lwa. Napisy wyglądały na bardzo stare. Kaspian pomyślał, że mogą pochodzić z czasów dawniejszych niż Stara Narnia, o której opowiadała mu niania.

Ale gdy już zakwaterowali się wewnątrz Kopca i naokoło niego, szczęście zaczęło się od nich odwracać. Zwiadowcy króla Miraza wkrótce odkryli ich nową pozycję i niewiele czasu minęło, gdy jego armia dotarła do brzegu Wielkiej Puszczy. Jak to się często zdarza, siły wroga okazały się o wiele większe, niż sądzili na podstawie dotychczasowych doniesień. Otucha powoli topniała w sercu Kaspiana, kiedy ze skraju lasu patrzył na przybywające wciąż nowe i nowe kompanie. A chociaż było prawdą, że ludzie Miraza odczuwali widoczny lęk przed wejściem do lasu, to jeszcze bardziej bali się samego Miraza. Walczyli więc pod jego wodzą i w głębi puszczy, niekiedy dochodząc nawet do samego wzgórza. Kaspian i jego dowódcy nie ograniczali się do obrony i dokonywali wielu wypadów z lasu na otwarte pole. I tak walka ciągnęła się przez całe dni, a czasem i w nocy; w sumie jednak wojska Kaspiana ponosiły większe straty.

W końcu nadeszła najgorsza noc. Po padającym przez cały dzień deszczu zrobiło się bardzo zimno. Tego ranka Kaspian zdecydował się stoczyć największą, decydującą bitwę. On sam, na czele większości karłów, miał uderzyć o świcie na prawe skrzydło armii Miraza, starając się ściągnąć na siebie jak największą liczbę przeciwników. W tym samym czasie olbrzym Świdrogrzmot z centaurami i największymi zwierzętami mieli przełamać linię wroga w innym miejscu i odciąć prawe skrzydło królewskiej armii. Ale nic z tego nie wyszło. Nikt nie ostrzegł Kaspiana (bo też nikt już o tym w owych czasach nie pamiętał), że olbrzymy nie są najmądrzejsze. Poczciwy Świdrogrzmot nie był pod tym względem wyjątkiem, choć nie brakowało mu odwagi i męstwa. Zaatakował linię wroga w zupełnie innym miejscu i o innym czasie, niż to było umówione, co spowodowało, że zarówno jego oddział, jak i grupa dowodzona przez Kaspiana poniosły ciężkie straty i nie wykonały swoich zadań. Najsilniejszy z niedźwiedzi został lekko ranny, jeden z centaurów bardzo ciężko, a w oddziale Kaspiana niewielu było takich, którzy ran nie odnieśli.

Niewesoło wyglądało wojsko, gdy zebrało się wieczorem, by spożyć skąpą kolację pod ociekającymi deszczem drzewami.

Najbardziej ponury był olbrzym Świdrogrzmot, ponieważ już zrozumiał, że to jego wina. Siedział załamany, roniąc wielkie łzy, które zbierały mu się na czubku nosa, a potem spadały z głośnym pluskiem wprost na biwak oddziału myszy, którym właśnie zaczęło być ciepło i sennie. Myszy skoczyły na równe nogi, wytrząsając wodę z uszu i wyzymając swoje kocyki, po czym cienkimi, lecz stanowczymi głosami zapytały olbrzyma, czy sądzi, że nie dość jeszcze przemokły w ciągu całego dnia.

Wtedy obudzili się inni i zwrócili uwagę myszom, że miały pełnić rolę wywiadowców, a nie orkiestry. Świdrogrzmot poczłapał w inne miejsce, by w samotności rozpaczać nad swym losem, lecz niechcący nadepnął na czyjś ogon i ten ktoś (mówiono później, że to był lis) ugryzł go w nogę. I w ten sposób wszyscy stracili humor do końca, jeżeli go w ogóle przedtem mieli.

W tym samym czasie król Kaspian, Kornelius, borsuk, Nikabrik i Zuchon odbywali wojenną naradę w tajemnej i magicznej komnacie w mym sercu Kopca.

Strop komnaty podparty był starodawnej roboty kolumnami. Pośrodku znajdował się Kamień — kamienny stół, pęknięty w poprzek i pokryty śladami jakichś napisów, które zostały wymyte i zatarte przez stulecia wiatrów, deszczu i śniegu, kiedy to Kamienny Stół wznosił się na szczycie

wzgórza i kiedy nie było jeszcze zbudowanego nad nim później Kopca. Nie ośmielili się, oczywiście, użyć Stołu ani nawet przy nim zasiąść; był na to zbyt tajemniczy i zaczarowany. Zasiadli opodal, na przyniesionych z lasu pniakach, przy szorstkim drewnianym stole, na którym stała zwykła gliniana lampka, oświetlająca ich blade twarze i rzucająca długie cienie na ściany.

— Jeżeli wasza królewska wysokość zamierza kiedykolwiek użyć rogu królowej Zuzanny — powiedział Truflogon — to myślę, że przyszedł na to czas. — Kaspian powiedział im kilka dni temu o swym drogocennym skarbie.

— Z całą pewnością jesteśmy w wielkiej potrzebie — odpowiedział Kaspian — ale trudno stwierdzić, czy w największej. Co będzie, jeśli nadejdą jeszcze gorsze chwile po tym, jak już zrobimy z niego użytek?

— Tak rozumując — wtrącił się Nikabrik — wasza królewska mość nigdy nie użyje tego rogu lub zrobi to wtedy, gdy już będzie za późno.

— Zgadzam się z tym — powiedział Doktor Kornelius.

— A co ty o tym myślisz, Zuchonie? — zapytał Kaspian.

— Och, jeśli chodzi o mnie — odparł Czerwony Karzeł spokojnie — to wasza królewska wysokość wie, co myślę o tym rogu, a także o tym kawale pokruszonego kamienia, i o waszym królu Piotrze, i o jego Lwie Aslanie, wszystko to są opowieści starej cioci. Jest mi zupełnie obojętne, kiedy wasza miłość zadmie w ten róg. Nalegałbym tylko, aby nasza armia o tym się nie dowiedziała. Nie byłoby dobrze wzniecać nadzieję na magiczną pomoc, która, jak myślę, nigdy nie nadejdzie.

— A więc, w imię Aslana, zadmiemy w róg królowej Zuzanny — powiedział uroczyście Kaspian.

— Jest jeszcze jedna rzecz, mój panie — dodał Doktor Kornelius — którą powinno się chyba przedtem zrobić. Nie wiemy, jaką formę przybierze pomoc. Może to być sam Aslan, wezwany przez nas zza morza, choć sądzę, że będzie to raczej Wielki Król Piotr i jego potężni towarzysze wezwani przez nas z dalekiej przeszłości. Ale bez względu na to, jaka to będzie pomoc, nie wiemy, czy nadejdzie dokładnie w to miejsce, w którym się znajdujemy.

— To najmądrzejsza rzecz, jaką powiedziałeś — wtrącił Zuchon.

— Myślę — ciągnął uczony — że oni albo on powrócą do jednego ze starożytnych miejsc w Narnii. To, w którym jesteśmy, jest najbardziej starożytne i z pewnością najbardziej zaczarowane ze wszystkich. Ale są jeszcze dwa inne. Jedno to Latarniane Pustkowie, w górze Rzeki, na zachód od Bobrowej Tamy, gdzie, jak mówią kroniki, Królewskie Dzieci po raz pierwszy pojawiły się w Narnii. Drugie leży u ujścia Rzeki, tam, gdzie stał niegdyś ich zamek Ker-Paravel. A jeśli przybędzie sam Aslan, właśnie to miejsce będzie najodpowiedniejsze, by go spotkać, ponieważ każdy wie, że jest on synem wielkiego Władcy-zza-Morza, a więc będzie musiał przebyć morze. Najlepiej byłoby wysłać kogoś do obu miejsc, do Pustkowie i do ujścia Rzeki, aby powitać ich albo jego, albo to coś.

— Tak jak myślałem — mruknął Zuchon. — Pierwszym skutkiem tych wszystkich głupot jest nie tyle pomoc, co pozbawienie nas przynajmniej dwóch żołnierzy.

— Kogo powinniśmy wysłać, Doktorze Korneliusie? — zapytał Kaspian.

— Wiewiórki są najlepsze, jeśli chodzi o niepostrzeżone przejście przez linię wroga — powiedział Truflogon.

— Wszystkie nasze wiewiórki, a nie mamy ich wiele, wtrącił Nikabrik — są dość waleczne. Jedyną, której powierzyłbym takie zadanie, jest Trajkowitka.

— A więc niech będzie Trajkowitka — powiedział król Kaspian. — A kto ma być drugim wysłańcem? Wiem, że ty byś poszedł, Truflogonie, ale chyba nie jesteś wystarczająco szybki. Ani ty, Doktorze Korneliusie.

— Ja nie pójdę — oznajmił Nikabrik. — Z tymi wszystkimi zwierzętami, no i z ludźmi, musi być jakiś karzeł, który przypilnuje, by jego krewniaków traktowano jak należy.

— Na grzmoty i grzechotniki! — krzyknął Zuchon. — Czy tak się mówi do króla? Poślij mnie, panie, ja pójdę.

— Sądziłem, że nie wierzysz w zaczarowany róg, Zuchonie — powiedział Kaspian.

— Ani trochę, wasza królewska mość. Ale co to ma do rzeczy? Mogę równie dobrze zginąć, polując na dzikie gęsi, jak tutaj. Ty jesteś moim królem. Znam różnicę między dawaniem dobrych rad a słuchaniem rozkazów. Udzieliłem ci rady, teraz jest czas na spełnienie rozkazu.

— Nigdy ci tego nie zapomnę, Zuchonie — powiedział Kaspian. — Poślijcie po Trajkowitkę. Kiedy mam zadać w róg?

— Poczekałbym na wschód słońca, wasza królewska wysokość — powiedział Doktor Kornelius. — Ta pora sprzyja Białej Magii.

W kilka minut później przybyła Trajkowitka i wyjaśniono jej, na czym polega zadanie. Jak większość wiewiórek była odważna, szybka, energiczna, pełna zapału i zarozumiała, tak więc gotowa była do drogi, zanim jeszcze usłyszała wszystko do końca. Postanowiono, że uda się do Latarnianego Pustkowiec, a Zuchon pójdzie do ujścia Rzeki. Zjedli coś w pośpiechu i ruszyli w drogę, żegnani serdecznymi podziękowaniami i dobrymi życzeniami króla, borsuka i Korneliusa.

Rozdział 8

JAK WYDOSTALI SIĘ Z WYSPY

— I W TEN SPOSÓB — zakończył Zuchon (ponieważ, jak się chyba domyśliliście, to on opowiadał czwórce dzieci całą tę historię, siedząc na trawie w ruinach wielkiej sali Ker-Paravelu) — i w ten sposób wsadziłem do kieszeni jedną czy dwie kromki chleba, zostawiłem swój miecz, zachowawszy jedynie sztylet, i o szarym brzasku zanurzyłem się w puszcę. Przedzierałem się przez gąszcze wiele godzin, gdy nagle rozległ się dźwięk, jakiego nigdy jeszcze w życiu nie słyszałem. Ech, nigdy go nie zapomnę! Ten dźwięk wypełnił cały las, donośny jak grzmot, lecz o wiele bardziej przeciągły, zimny i zarazem słodki, jak muzyka płynąca znad rzeki, a jednocześnie tak potężny, że drzewa od niego drżały. I powiedziałem sobie: jeżeli to nie jest ten zaczarowany róg, to możecie mnie nazwać królikiem. A w chwilę później zacząłem rozmyślać, dlaczego król zagrał na nim tak późno.

— O której to było? — zapytał Edmund.

— Między dziewiątą a dziesiątą — odpowiedział Zuchon.

— Właśnie wtedy, gdy siedzieliśmy na stacji! — wykrzyknęły dzieci i popatrzyły po sobie, a oczy im płonęły.

— Opowiadaj dalej — poprosiła Łucja.

— A więc, jako się rzekło, dziwiłem się, dlaczego róg zabrzmiał tak późno, ale pędziłem naprzód, ile tylko sił w nogach. Wędrowałem całą noc, aż w końcu, tuż przed świtem, zrobiłem coś, co mógłby równie dobrze zrobić jakiś olbrzym. Zaryzykowałem skrócenie drogi przez niezalesiony teren między zakolem rzeki i zostałem schwytyany. I to wcale nie przez regularne wojsko, ale przez ludzi jakiegoś napuszonego starego głupca, siedzącego w małej twierdzy, ostatniej od strony wybrzeża warowni Miraza. Nie potrzebuję wam mówić, że nie wyciągnęli ze mnie ani słóweczka,

ale w końcu jestem karłem i to im wystarczyło. Ale — na raki i robaki! — całe szczęście, że ów kasztelan był takim nadętym głupcem! Każdy inny kazałby po prostu od razu poderżnąć mi gardło. A ten nie mógł sobie odmówić paradnej egzekucji, no i z całym ceremoniałem wysłał mnie tu, „do duchów” . A potem ta młoda pani — tu skłonił się w stronę Zuzanny — pokazała nam trochę sztuki łuczniczej, to był niezły strzał, muszę przyznać, i oto jestem. Bez broni, bo oczywiście mi ją odebrali. — Wystukał popiół z fajki i napełnił ją ponownie.

— O holender! — zawołał Piotr. — A więc to róg, twój róg, Zuziu, ściągnął nas z tej ławki na peronie wczoraj rano! Aż trudno w to uwierzyć, ale wszystko do siebie pasuje.

— Nie rozumiem, dlaczego nie miałbyś w to uwierzyć — powiedziała Łucja — jeśli w ogóle wierzysz w czary. Czy nie słyszałeś mnóstwa historii o czarach przenoszących ludzi z jednego miejsca... z jednego świata... w inne? Na przykład w *Bajkach z tysiąca i jednej nocy*, kiedy mag wezwał dzina i ten natychmiast się pojawił. Tak samo i my musieliśmy wrócić.

— Tak — powiedział Piotr. — Tylko wydaje się to dziwne, bo w tych opowieściach wzywającym jest zawsze ktoś z naszego świata. Nie zastanawiamy się nigdy, SKĄD dzin przychodzi.

— A teraz wiemy już, jak czuje się taki dzin — powiedział Edmund chichocząc. — Ojej! To niesamowite, wiedzieć, że to MY możemy być w ten sposób WYTRĄBIENI w każdej chwili. To chyba jeszcze gorsze od tego, o czym myśli tata, gdy mówi, że jest ofiarą telefonu.

— No, ale my przecież chcemy tutaj być, no nie?

— powiedziała Łucja. — Przecież Aslan nas potrzebuje.

— Tak czy owak — wtrącił się do rozmowy karzeł

— trzeba zdecydować, co dalej. Chyba nie pozostaje mi nic innego, jak wrócić do króla Kaspiana i powiedzieć mu, że niestety, żadna pomoc nie nadeszła.

— Nie nadeszła? — powtórzyła Zuzanna. — Przecież róg nas ściągnął!

— Hm... Tak, z pewnością. To widać — powiedział karzeł, sprawiając wrażenie, jakby był bardzo zajęty swoją fajką. — Ale... hm... chodzi mi o to, że...

— Czy jeszcze nie rozumiesz, kim jesteśmy? — zawołała Łucja. — Jesteś naprawdę głupi.

— Przypuszczam, że jesteście tą czwórką dzieci ze starych opowieści — powiedział Zuchon — i bardzo się cieszę, że was spotkałem. I wszystko to jest bardzo niezwykle. Ale... bez obrazy... — i znowu urwał.

— Weź się w garść i powiedz wreszcie to, co chcesz powiedzieć — odezwał się Edmund.

— A więc... bez obrazy — powiedział Zuchon — ale, rozumiecie, król, Truflogon i Doktor Kornelius oczekują, jak by to powiedzieć, pomocy. Inaczej mówiąc, myślę, że wyobrażali sobie was jako wielkich rycerzy. A okazuje się... oczywiście my strasznie lubimy dzieci... ale właśnie teraz, w środku wojny... no, jestem pewien, że sami rozumiecie...

— Chcesz powiedzieć, że my nie bardzo się nadajemy — powiedział Edmund czerwony na twarzy jak borsuk.

— Błagam was, nie czujcie się urażeni — przerwał mu karzeł. — Zapewniam was, moi mali przyjaciele...

— „Mali” w twoich ustach to już naprawdę za wiele! — zawołał Edmund, zrywając się na nogi. — Pewno nie wierzysz, że to właśnie my zwyciężyliśmy w bitwie pod Beruną? No cóż, możesz sobie mówić, co chcesz, ale i tak...

— Nie ma co nawzajem się denerwować — uciął Piotr. — Dajmy mu nowy rynsztunek ze skarbcza, uzbroimy się sami i wtedy porozmawiamy.

— Nie bardzo rozumiem, co chcesz przez to osiągnąć — powiedział Edmund, ale Łucja szepnęła mu do ucha:

— Lepiej zrobmy tak, jak chce Piotr. Przecież jest Wielkim Królem. Jestem pewna, że ma jakiś pomysł.

Edmund zgodził się i korzystając z jego latarki wszyscy, łącznie z Zuchonem, zeszli ponownie po schodach na dół, w ciemny chłód i zakurzony przepych zanikowego skarbcza.

Karłowi oczy się zaświeciły, gdy zobaczył całe to bogactwo leżące na półkach (choć musiał się wspinać na palce, aby je zobaczyć).

— Nigdy bym nie pozwolił, żeby Nikabrik to zobaczył, nigdy — wymamrotał pod nosem.

Znaleźli dla niego żelazną kolczugę, miecz, hełm, tarczę, łuk i kołczan ze strzałami — wszystko dopasowane do jego wzrostu. Hełm był z brązu, wysadzany rubinami, a miecz miał złotą rękojeść. Zuchon nigdy jeszcze nie widział — a tym bardziej nie miał na sobie — takich bogactw. Dzieci również nałożyły kolczugi i hełmy, znaleziono miecz i tarczę dla Edmunda oraz łuk dla Łucji. Piotr i Zuzanna byli już uzbrojeni w swoje bożonarodzeniowe podarunki. Kiedy wracali po schodach na górę, dzwoniąc ryszunkiem i czując się teraz bardziej prawdziwymi Narnijczykami niż dziećmi, chłopcy zostali nieco w tyle, najwidoczniej omawiając między sobą jakiś plan. Łucja usłyszała słowa Edmunda:

— Zostaw to mnie. Tym większa będzie jego porażka, jeśli zwyciężę, i tym mniejsza hańba dla nas wszystkich, jeśli przegram.

— W porządku, Edziu — zgodził się Piotr. Kiedy wyszli na światło dzienne, Edmund skłonił się grzecznie przed karłem i powiedział:

— Mam do ciebie prośbę. Takie dzieciaki jak my nieczęsto mają sposobność spotkania tak wielkiego rycerza jak ty. Czy moglibyśmy się zmierzyć? Byłoby to bardzo uprzejme z twojej strony.

— Ależ, chłopcze — odparł Zuchon — te miecze są ostre.

— Wiem — powiedział Edmund — ale będę się starał nie podchodzić blisko do ciebie, a ty z pewnością łatwo rozbiorisz mnie bez wyrządzania mi krzywdy.

— To niebezpieczna zabawa — powiedział Zuchon — ale skoro tak ci na tym zależy, chętnie sobie przypomnę parę sztuchów.

Dobyli mieczy, a trójka pozostałych dzieci zeskoczyła z podium i stanęła, przyglądając się pojedynekowi. A było na co popatrzeć. Nie przypominało to w niczym walenia pałaszem o pałasz na teatralnej scenie ani nawet walki na szpady między dwoma dobrymi zawodnikami. Była to prawdziwa walka na miecze. Najbardziej skuteczne jest tu cięcie przeciwnika w nogi, jedyną część ciała, która nie jest osłonięta tarczą lub zbroją. Najlepszą obroną przed takim cięciem jest błyskawiczny podskok do góry, tak aby ostrze przeszło pod ugiętymi w kolanach nogami. Dawało to przewagę karłowi, ponieważ Edmund, o wiele od niego wyższy, musiał się wciąż zginać i przysiądać. Nie sądzę, by Edmund miał jakieś szansę, gdyby mu przyszło walczyć z Zuchonem dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Ale od czasu, gdy znaleźli się na wyspie, atmosfera Narnii zrobiła swoje i przypomniały mu się stare pojedynki i walki, a ramiona i palce odnalazły dawny styl. Znowu był królem Edmundem. Krążyli wokół siebie, zmieniali pozycję, miecz z trzaskiem zatrzymywał miecz. W pewnej chwili Zuzanna (która nigdy nie potrafiła polubić rycerskich zabaw) krzyknęła: „Och! Uwważaj!” I w chwilę później tak szybko, że nikt (prócz Piotra, który znał tę sztuczkę) nie zauważył, jak to się właściwie stało, Edmund zakręcił klingą w szczególny sposób, miecz karła wyleciał w powietrze i oto Zuchon stał, rozcierając pustą dłoń, jak to się czasem robi po zbyt mocnym uderzeniu przy grze w palanta.

— Chyba cię nie zraniłem, mój mały przyjacielu? — zapytał Edmund lekko zdyszany i włożył swój miecz do pochwy.

— Teraz rozumiem — powiedział z przekąsem Zuchon. — Znasz jakiś chytry sztych, którego się nie uczyłem.

— Święta prawda — wtrącił Piotr. — Nawet najlepszy na świecie rycerz może zostać rozbrojony za pomocą sztychu, którego nie zna. Myślę, że powinniśmy dać Zuchonowi szansę na jakimś innym polu. A może odpowiadają ci małe zawody w strzelaniu z łuku? Moja siostra chętnie się z tobą zmierzy. Jak wiesz, przy strzelaniu z łuku nie ma miejsca na żadne chytre sztuczki.

— Ach, niezłe z was dowcipnisie — odpowiedział karzeł. — Zaczynam rozumieć. Tak jakbym nie wiedział, że ona potrafi strzelać, po *tym, co* się wydarzyło dzisiaj rano! Ale chętnie spróbuję. — Starał się zachować spokój, choć oczy mu płonęły, ponieważ cieszył się sławą jednego z najlepszych łuczników wśród Czerwonych Karłów.

Przeszli na dziedziniec.

— Do czego będziecie strzelali? — zapytał Piotr.

— Myślę, że jedno z tych jabłek wiszących nad murami będzie znakomitym celem — powiedziała Zuzanna.

— Doskonale, panienko — wycedził Zuchon. — Masz na myśli to żółte, niedaleko środka łuku bramy?

— Nie, nie to — odparła Zuzanna. — To czerwone, nieco wyżej.

Karłowi mina nieco zrzędła. „Bardziej przypomina czereśnię niż jabłko” , mruknął do siebie pod nosem, ale głośno nie powiedział nic.

Zagrali w orła i reszkę, kto ma strzelać pierwszy (przede wszystkim aby zaspokoić ciekawość Zuchona, który po raz pierwszy widział losowanie za pomocą monety) i Zuzanna przegrała. Umówili się, że będą strzelać ze szczytu schodów wiodących z wielkiej sali na dziedziniec. Ze sposobu, w jaki karzeł stanął i uchwycił łuk, nietrudno było się domyślić, że dobrze wie, co robi.

Cięciwa brzęknęła krótko. Był to świetny strzał. Małe jabłuszko zadrzało, gdy strzała musnęła je w locie, a na ziemię upadł listek, który wyrastał z jego ogonka. Teraz Zuzanna stanęła na szczycie schodów i napięła swój łuk. Nie cieszyła się z tych zawodów tak jak Edmund ze swojego pojedynku; nie dlatego, by nie była zupełnie pewna, że trafi w jabłko, ale dlatego, że miała bardzo miękkie serce i nie lubiła wygrywać z kimś, kto już raz przegrał. W chwilę później, prawie równocześnie z lekkim, matowym stęknieniem cięciwy, jabłko spadło na ziemię, przeszyte strzałą dokładnie w samym środku — Dobra robota, Zuziu! — rozległy się krzyki pozostałych dzieci.

— Twój strzał był równie dobry — powiedziała Zuzanna do Zuchona. — Wydaje mi się, że kiedy strzelałeś, akurat powiał boczny wiatr.

— Nie, nie było żadnego wiatru — powiedział Zuchon. — Nie musisz mi mówić takich rzeczy. Wiem, kiedy przegrywam w uczciwym pojedynku. Nie wspomnę nawet, że ostatnia rana trochę mi doskwiera, kiedy wyciągnę łokieć mocno do tyłu...

— Och, jesteś ranny? — zapytała Łucja. — Pozwól, że zobaczę.

— To nie jest widok dla małych dziewczynek — zaczął Zuchon, lecz nagle urwał i potrząsnął głową. — Znowu mówię jak głupiec. Założę się, że jesteś tak dobrym chirurgiem, jak twój brat we władaniu mieczem, a twoja siostra w strzelaniu z łuku.

Usiadł na schodach, odpiął kolczugę i zsunął koszulę, obnażając swoje małe, lecz owłosione i muskularne jak u żeglarza ramię. Pod spodem widniał brudny bandaż, który Łucja rozwinęła ostrożnie, odsłaniając paskudną ranę i sporych rozmiarów opuchnięcie nad łopatką.

— Och, biedny mały Zuchonie — rozczuliła się Łucja. — Jakie to okropne! — Potem ostrożnie kapnęła na ranę kropelkę cudownego leku ze swojej buteleczki.

— Hej! Co mi zrobiłaś? — zawołał Zuchon. Wykręcał głowę, zezował i wicherzył sobie brodę we

wszystkie strony, ale nie mógł zobaczyć swojego ramienia. Sięgnął więc drugą ręką, wyginając ją dziwacznie, jak to się robi, gdy się chce podrapać po plecach. Zgiął ją, wyprostował, pomacał mięśnie i w końcu skoczył na równe nogi, krzycząc:

— Dobre, jak nowe! — A potem wybuchnął wielkim śmiechem i w końcu powiedział: — No tak, chyba jeszcze nigdy żaden karzeł nie pozwolił zrobić z siebie takiego głupca. Nie obraziliście się chyba na mnie? Pokorny sługa waszych królewskich wysokości, pokorny sługa. I stokrotne dzięki za uratowanie mi życia, za wyleczenie ręki, za śniadanie... no i za parę lekcji.

Dzieci zapewniły go, że wszystko jest w porządku i że nie ma o czym mówić.

— A teraz — powiedział Piotr — jeśli już naprawdę zdecydowałaś się w nas uwierzyć...

— Wierzę — przerwał mu karzeł.

— W takim razie wiemy, co trzeba zrobić. Musimy jak najszybciej dołączyć do króla Kaspiana.

— Im wcześniej, tym lepiej — zgodził się Zuchon. — I tak już zmarnowaliśmy całą godzinę przez moją głupotę.

— Droga, którą ty szedłeś, zajmie nam około dwu dni marszu — powiedział Piotr. — Mam tu na myśli nas czworo: nie jesteśmy w stanie maszerować bez przerwy cały dzień i całą noc, jak wy, karły.

Odwrócił się do reszty rodzeństwa.

— To, co Zuchon nazywa Kopcem Aslana, to oczywiście Kamienny Stół. Pamiętacie, stamtąd do Brodu Beruny...

— Most Beruny, tak to teraz nazywamy — wtrącił Zuchon.

— Za naszych czasów jeszcze nie było mostu. A więc od Kamiennego Stołu do Brodu Beruny było jakieś pół dnia drogi albo trochę mniej, a z Beruny do Ker-Paravelu dzień i trochę. Idąc spacerkiem, wracaliśmy zawsze na podwieczorek następnego dnia. Szybkim marszem można przejść całą trasę w jakieś półtora dnia.

— Pamiętaj, że teraz wszędzie są gęste lasy — zauważył Zuchon — i trzeba się będzie strzec, aby nie wpaść w ręce wroga.

— Czy musimy koniecznie iść tą samą drogą, jaką trafił tu nasz Kochany Mały Przyjaciel? — zapytał Edmund z przekąsem.

— Nie wspominajmy już tego więcej, wasza królewska mość, błagam — jęknął karzeł.

— Świetnie — powiedział Edmund. — Czy KMP będzie brzmiało lepiej?

— Och, Edmundzie — odezwała się Zuzanna — czy nie mógłbyś się od niego odczepić?

— Nic nie szkodzi, panienko... to znaczy wasza królewska wysokość — powiedział Zuchon chichocząc. — Kpina nie zostawia bąbli.

I odtąd często nazywali go KMP, aż prawie zapomnieli, co ten skrót oznacza.

— A więc, jak powiedziałem — ciągnął dalej Edmund — nie musimy wcale iść tą drogą. Dlaczego nie moglibyśmy popłynąć morzem na południe, aż do Zatoki Szklanej Wody, a potem w głąb niej? Znajdziemy się wówczas dość blisko wzgórza Kamiennego Stołu, a na morzu będziemy bezpieczni. Jeżeli wyruszymy natychmiast, możemy dopłynąć do brzegu, zanim się ściemni, przespać się parę godzin i dołączyć do Kaspiana wczesnym rankiem.

— Dobrze jest znać wybrzeże — zauważył Zuchon. — Nikt z nas nawet nie słyszał o Szklanej Wodzie.

— A co z jedzeniem? — zapytała Zuzanna.

— Będziemy się musieli zadowolić jabłkami — odpowiedziała Łucja. — Ruszajmy w drogę. Jesteśmy tu już dwa dni, a jeszcze niczego nie zrobiliśmy.

— W każdym razie, niech nikt już nie myśli o użyciu mojej czapki jako koszyka na ryby —

oświadczył Edmund.

Z jednej peleryny zrobili coś w rodzaju worka i zebrali tyle jabłek, ile się tylko zmieściło. Potem każdy napił się do syta wody ze studni (wiedzieli, że nie będą mieli słodkiej wody aż do wylądowania w zatoce) i zeszli na brzeg, do łodzi. Dzieciom zrobiło się trochę żal na myśl o tym, że opuszczają Ker-Paravel, w którym — choć był w ruinach — zaczęły się już czuć jak w domu.

— Niech KMP siądzie przy sterze — powiedział Piotr — a my z Edmundem weźmiemy się za wiosła. Aha, jeszcze jedno. Zdejmijmy lepiej kolczugi, będzie nam ciepło. Dziewczeta niech zajmą miejsce na dziobie i wskazują KMP kierunek, bo nie zna drogi. Zanim opłyniemy wyspę, lepiej będzie trzymać się z dala od brzegu.

Wkrótce zielone, lesiste brzegi wyspy zaczęły się od nich oddalać, a jej zatoczki i skaliste przylądki stawały się coraz mniejsze i mniejsze, aż łódź wypłynęła na pełne morze, wznosząc się i opadając na łagodnej fali. Morze wokoło zrobiło się jeszcze bardziej niebieskie, a tuż przy łodzi zielone i pienne. Pachniało solą, a w ciszy słychać było tylko delikatny szum fal, miarowy chłupot wody o burty, pluskanie wiosel i skrzypienie dulek. Słońce przygrzewało coraz mocniej.

Cudownie było siedzieć na dziobie, przechylając się przez burtę i próbując dotknąć palcami spienionej fali. A głęboko pod wodą jaśniało czyste, białe dno, poznaczone od czasu do czasu purpurowymi smugami wodorostów.

— Jak za dawnych dobrych czasów — powiedziała cicho Łucja do siostry. — Pamiętasz naszą podróż do Terebintu i do Galmy, i do Siedmiu Wysp, i do Samotnych Wysp?

— Tak — odpowiedziała Zuzanna. — I nasz wielki okręt „Blask szmaragdu” z głową łabędzia na dziobie i z wyrzeźbionymi skrzydłami, odchylonymi do tyłu wzdłuż obu burt?

— I jedwabne żagle, i wielkie latarnie na rufie...

— I uczty na pokładzie rufowym, i muzykę...

— A pamiętasz, jak fleciści wdrapali się wysoko na maszty i przygrywali z wysoka, jakby to była muzyka z nieba?

Potem Zuzanna zmieniła Edmunda przy wiosle, a on przeszedł na dziób do Łucji. Minęli już wyspę i płynęli teraz bliżej brzegu, opuszczonego i zarośniętego gęstym lasem. Może i wydałby się im piękny, gdyby nie pamiętali czasów, w których całe to wybrzeże było zamieszkane przez ich wesołych przyjaciół, a morza nie dzieliła od reszty kraju nieprzebyta, mroczna puszcza.

— Uch, to wiosłowanie daje porządnie w kość — wysapał Piotr.

— Może cię zmienić? — zapytała Łucja.

— Wiosła są dla ciebie za duże — uciął sprawę Piotr, nie dlatego, by był na nią zły, lecz dlatego, że nie chciał marnować sił na dalszą rozmowę.

Rozdział 9 CO ZOBACZYŁA ŁUCJA

ZUZANNA I CHŁOPCY byli już porządnie zmęczeni wiosłowaniem, gdy okrążyli ostatni cypel i wpłynęli wreszcie do Zatoki Szklanej Wody. Łucję rozboleła głowa od słońca i długiego wpatrywania się w migoczącą wodę. Nawet Zuchon miał już dość morskiej podróży. Ławeczka przy sterze nie była przystosowana do wzrostu karłów, tylko ludzi, co sprawiało, że jego stopy wisały przez cały czas w powietrzu; każdy wie, jakie to niewygodne, nawet przez dziesięć minut.

Im mocniej odczuwali zmęczenie, tym bardziej tracili otuchę. Dotąd dzieci myślały tylko o tym, jak dotrzeć do Kaspiana. Teraz zaczynały się zastanawiać, co zrobią, gdy go wreszcie odnajdą. W jaki sposób garstka karłów i leśnych stworzeń może zwyciężyć armię dorosłych ludzi? Zapadał już zmierzch, gdy powoli płynęli w głąb krętej Zatoki Szklanej Wody. Zatoka stawała się coraz węższa i robiło się coraz ciemniej, aż w końcu zwieszające się z obu brzegów gałęzie prawie połączyły się nad ich głowami. Szum morza oddalał się; aż nadszedł czas, gdy ucichł zupełnie. Teraz słyszeli tylko pluskanie strumyków biegnących przez las i wpływających do zatoki.

Kiedy wreszcie dopłynęli do brzegu, byli zbyt zmęczeni, aby rozpalić ognisko, i nawet perspektywa kolacji złożonej z samych jabłek (choć nikt nie mógł już na nie patrzeć) wydawała się im lepsza od myśli o złowieniu lub ustrzeleniu czegoś do jedzenia. Schrupali w milczeniu po jabłku i rzucili się na posłanie z mchu i zeschniętych liści pod czterema wielkimi drzewami. Wkrótce spali już wszyscy — oprócz Łucji.

Łucja była najmniej zmęczona i dlatego bardziej od innych odczuwała wszystkie niewygody tego leśnego noclegu. Przekonała się też bardzo szybko, że w tym, co się mówi o chrapaniu karłów, nie ma żadnej przesady: chrapią naprawdę wyjątkowo głośno. Wiedziała, że jeśli ktoś nie może zasnąć, powinien przestać o tym myśleć, leżała więc cicho z otwartymi oczami. Przez szczelinę między gałęziami drzew i liśćmi paproci widziała wodę zatoki i kawałek nieba. Nagle, z przejmującym dreszczem wzruszenia, przypomniała sobie wygląd i nazwy narnijskich gwiazdozbiorów. Kiedyś, przed laty, znała je lepiej niż gwiazdy ziemskiego nieba, ponieważ jako królowa Narnii nie musiała kłaść się do łóżka tak wcześnie jak dzieci w Anglii. I oto widziała je znowu, a w każdym razie trzy letnie konstelacje: Okręt, Młot i Leoparda. „Kochany, stary Leopard” , zamruczała do siebie w ciemności, szczęśliwa z powrotu wspomnień.

Leżała tak już dość długo, sen wciąż nie przychodził — przeciwnie, przenikało ją poczucie dziwnego rozbudzenia i rozmarzenia, jakie zdarza się tylko w nocy. Z miejsca, w którym leżeli, nie widziała księżycy, ale jaśniejące coraz bardziej wody zatoki świadczyły o tym, że była pełnia. I kiedy tak leżała w ciemności wśród paproci, poczuła nagle, że cały las rozbudza się, podobnie jak ona. Nie bardzo wiedząc, czemu to robi, wstała i odeszła nieco od nocnego obozowiska.

— Och, jak cudownie! — powiedziała cicho do siebie. Powietrze było chłodne i orzeźwiające, pełne dolatujących zewsząd delikatnych zapachów. Gdzieś w pobliżu zaczął wyśpiewywać swoje trele słowik, potem przerwał i znowu zaczął, jakby próbował znaleźć właściwy ton. Przed nią, za drzewami, było nieco jaśniej. Poszła w tamtym kierunku i wkrótce znalazła się w miejscu, w którym drzewa rosły o wiele rzadziej. Było tu dość jasno, ale jaskrawe plamy księżycowego światła mieszały się z cieniami tak, że trudno było cokolwiek rozpoznać. W tej samej chwili słowik uznał, że znalazł wreszcie odpowiedni ton, i zaczął śpiewać swoją nocną serenadę.

Oczy Łucji przyzwyczały się powoli do księżycowej poświaty i mogła teraz dostrzec wyraźniej najbliższe drzewa. Znowu zatęskniła za dawnymi narnijskimi czasami, gdy drzewa potrafiły mówić. Pamiętała bardzo dobrze, jak przemawia każdy rodzaj drzew i jaką ludzką postać przybiera. Gdyby tylko mogła je przebudzić! Spojrzała na srebrną brzozę: przebudzona, mówiłaby miękkim, szemrzącym głosem, a wyglądałaby jak wysmukłe, rwące się do tańca dziewczę o włosach opadających na twarz. Popatrzyła na dąb: przebudzony, przybrałby postać pomarszczonego, ale krzepkiego jeszcze starca z kędzierzawą brodą i owłosionymi naroślami na twarzy i rękach. Spojrzała na drzewo buku, pod którym stała. Ach, ono byłoby najwspanialsze! Byłoby pełną wdzięku i godności gładkolicą boginką, panią lasu.

— Och, drzewa, drzewa, drzewa! — powiedziała głośno Łucja (choć wcale nie zamierzała mówić).

— Och, drzewa, obudźcie się, obudźcie się! Nie pamiętacie tego? Nie pamiętacie MNIE? Driady i hamadriady, wyjdźcie, przyjdźcie do mnie!

Nie było najłżejszego wiatru, a jednak wszystkie drzewa wokół niej nagle poruszyły się, a szelest liści zabrzmiał jak słowa. Słowik urwał swoją pieśń, jak gdyby się wsłuchał w ich szum. Łucja poczuła, że jeszcze chwila i zacznie rozumieć, co drzewa chcą jej powiedzieć. Ale ta chwila nie nadeszła. Szelest liści ucichł, słowik znowu zaczął śpiewać. Drzewa nawet w świetle księżyca znowu wyglądały bardzo zwyczajnie. A jednak Łucja miała takie uczucie, jakie się miewa czasami, kiedy się próbuje przywołać w pamięci jakieś imię lub datę i już, już ma się je wypowiedzieć, gdy nagle to poszukiwane słowo znika. Było tak, jakby przemówiła do drzew o jedną sekundę za wcześnie lub za późno, albo jakby wypowiedziała o jedno słowo za mało, albo jakby w tym, co powiedziała, jakieś jedno słowo nie było właściwe.

Nagle poczuła zmęczenie. Wróciła do obozowiska, wśliznęła się między Zuzannę i Piotra i w kilka minut później już spała.

Przebudzenie nie należało do najprzyjemniejszych momentów w ich życiu. Było zimno i ponuro, a w głuchej ciszy szary świt sączył się między drzewami; słońce jeszcze nie wzeszło.

— Hej, hej, jabłuszka! — zawołał Zuchon, szczerząc zęby w nieco ponurym uśmiechu. — Muszę przyznać, że wy, starożytni monarchowie, potraficie zadbać o to, aby wasi dworzanie się nie przejadali.

Wstali, wstrząsając się z zimna i rozglądając dookoła. Grube drzewa rosły tak gęsto, że trudno było cokolwiek zobaczyć dalej niż na kilka metrów.

— Mam nadzieję, że wasze wysokości dobrze znają drogę? — zapytał karzeł.

— Ja nie znam — powiedziała Zuzanna. — Nigdy w życiu nie byłam w tym lesie. Jeżeli już o to chodzi, to od początku wydawało mi się, że powinniśmy popłynąć w górę Rzeki.

— Mogłaś przynajmniej powiedzieć nam o tym we właściwym czasie — zauważył Piotr uszczypliwie.

— Och, nie zwracaj na nią uwagi — wtrącił Edmund. — Zawsze lubi wylewać na nas kubek zimnej wody. Masz swój kieszonkowy kompas? No, to jesteśmy w domu. Musimy tylko trzymać kurs na północny zachód, aż dojdziemy do tej małej rzeczki, jak jej tam, Bystrej czy...

— Wiem — przerwał mu Piotr. — Do tej, co wpada do Wielkiej Rzeki przy Brodach Bemny albo Moście Beruny, jak to się teraz, według KMP, nazywa.

— No właśnie. Trzeba przejść przez rzeczkę, wspiąć się pod górę i już będziemy przy Kamiennym Stole, to znaczy przy Kopcu Aslana. O ósmej lub dziewiątej powinniśmy być na miejscu. Mam nadzieję, że król Kaspian poczęstuje nas dobrym śniadaniem!

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — powiedziała Zuzanna. — Jeśli o mnie chodzi, to mam kompletną pustkę w głowie.

— To jest właśnie najgorsze z dziewczynami — powiedział Edmund do Piotra i karła. — Nigdy nie mają mapy w głowie.

— To dlatego, że my już coś w głowach mamy — odezwała się Łucja.

Z początku wszystko wydawało się bardzo proste. Sądziła nawet, że trafili na jakąś starą ścieżkę, ale jeśli macie jakie takie pojęcie o lesie, to dobrze wiecie, że zawsze się znajduje jakaś nie istniejąca w rzeczywistości ścieżka. Niestety, ścieżka taka zwykle znika po pięciu minutach. Potem zdaje się wam, że znaleźliście inną (i macie nadzieję, że to dalszy ciąg tej pierwszej), a potem ona znowu znika i kiedy już dawno zgubiliście właściwy kierunek, przychodzi wam do głowy, że tak naprawdę żadnej ścieżki nie było. Chłopcy i karzeł byli jednak przyzwyczajeni do leśnych wędrówek i nie dawali się nabierać na takie leśne kawały dłużej niż przez kilka minut.

Brnęli tak przez las około pół godziny, gdy nagle Zuchon szepnął: „Stać!” i wszyscy się zatrzymali.

— Coś za nami idzie — wyjaśnił karzeł stłumionym głosem. — Albo raczej coś trzyma się blisko nas, raz po jednej stronie, raz po drugiej.

Zamarli bez ruchu, nasłuchując i wytrzeszczając oczy.

— Lepiej nałóżmy strzały na cięciwy — szepnęła Zuzanna do Zuchona.

Karzeł kiwnął głową i kiedy oboje przygotowali swoje łuki do strzału, wszyscy ruszyli w dalszą drogę. Przeszli jakieś kilkadziesiąt metrów przez dość rzadki las, rozglądając się wciąż bacznie wokół, aż dotarli do miejsca, w którym poszycie zgęstniało. Przechodzili właśnie tuż obok gęstej kępy zarośli, gdy nagle rozległ się głośny trzask łamanych gałęzi i coś wyskoczyło z nich jak piorun, warcząc i błyskając bielą kłów. Łucję zważyło z nóg, a kiedy już leżała na ziemi, usłyszała krótkie brzęknięcie cięciwy. Gdy znowu przyszła do siebie, zobaczyła wielkiego, groźnie wyglądającego niedźwiedzia, leżącego bez życia na mchu, ze strzałą Zuchona wbitą głęboko w bok.

— Tym razem KMP był od ciebie lepszy, Zuziu — powiedział Piotr, zmuszając się do czegoś w rodzaju uśmiechu. Nawet on był wstrząśnięty tą przygodą.

— Ja... ja... ja napięłam łuk za późno — wyjąkała Zuzanna, wyraźnie zawstydzona. — Tak się bałam, że to może być jeden z naszych niedźwiedzi, no wiecie, jeden z tych mówiących niedźwiedzi.

Wszyscy wiedzieli, że nie lubiła zabijać żadnych stworzeń.

— To zawsze sprawia kłopot — powiedział Zuchon — od kiedy większość zwierząt stała się naszymi wrogami i przestała mówić, a tylko niektóre się nie zmieniły. Nigdy się tego nie wie, a nie zawsze jest czas, aby się dowiedzieć.

— Biedny stary miś — powiedziała Zuzanna. — Nie sądzisz, że właśnie on mógł być jednym z tych, które mówią?

— Nie on — zapewnił ją karzeł. — Już ja widziałem ten pysk i słyszałem ten ryk. Ten chciał tylko schrupać na śniadanie małą dziewczynkę. A jeśli już mowa o śniadaniu, to nie chciałbym bynajmniej osłabiać nadziei waszych wysokości na to, czym nas poczęstuje król Kaspian, ale świeże mięso przyda się w każdym obozie. A na tym niedźwiedziu jest sporo dobrego jedzenia. Wstyd by było zostawić je i nie wziąć chociaż części ze sobą. Nie zajmie nam to więcej niż pół godziny. Ośmielam się mieć nadzieję, że wy, młodzieńcy, to znaczy królowie, ma się rozumieć, wiecie, jak się oprawia niedźwiedzia?

— Chodźmy stąd i usiądźmy gdzieś z dala od tych okropności — powiedziała Zuzanna do Łucji. Łucja wstrząsnęła się z odrazą i skwapliwie kiwnęła głową. Kiedy usiadły opodal, powiedziała:

— Wiesz, Zuziu, okropna myśl przyszła mi do głowy.

— Co takiego?

— Czy to nie byłoby straszne, gdyby pewnego dnia w naszym świecie, na Ziemi, ludzie zdziczeli w środku jak te zwierzęta tu, w Narnii, a z zewnątrz wyglądałoby nadal jak zwykli ludzie, tak że nigdy by się nie wiedziało, z kim się ma do czynienia?

— Mamy dosyć spraw na głowie tu i teraz, w Narnii, żeby się martwić takimi sprawami — odpowiedziała zawsze praktyczna Zuzanna.

Kiedy wróciły do chłopców i karła, mięso — a przynajmniej tyle mięsa, ile mogli zabrać ze sobą, i to najlepsze kawałki — było już poćwiartowane. Surowe mięso nie jest zbyt przyjemną rzeczą, zwłaszcza jeśli trzeba je nieść w kieszeniach, ale zawinęli je w świeże liście i starali się o tym nie myśleć. Byli zresztą zbyt doświadczeni, żeby nie wiedzieć, że te niemile w dotyku, miękkie paczki staną się bardziej miłe, kiedy po długiej wędrówce odezwie się prawdziwy głód.

Ruszyli naprzód (zatrzymali się tylko przy najbliższym strumieniu, żeby chłopcy i karzeł mogli

umyc ręce), a tymczasem słońce już weszło i ptaki się rozśpiewały, a wśród paproci pojawiły się roje bzyczących much. Zesztywniałe po wczorajszym wiosłowaniu ręce i plecy powoli się rozluźniały. Wszystkim nastrój się poprawił. Słońce grzało coraz mocniej; wkrótce pozdejmowali hełmy i nieśli je w rękach.

— Mam nadzieję, że idziemy w dobrym kierunku? — zapytał Edmund jakieś pół godziny później.

— Nie bardzo widzę, jak moglibyśmy zabłądzić, jeżeli tylko nie zboczymy zbyt w lewo — powiedział Piotr. — Jeśli nawet zejdziemy ze szlaku trochę w prawo, to najwyżej dojdziemy do Wielkiej Rzeki za wcześnie i nie zyskamy na czasie, jak planowaliśmy, chcąc przeciąć jej zakole.

I znowu szli dalej w całkowitej ciszy, przerywanej jedynie odgłosem kroków i podzwanianiem żelaznych koszulek.

— Gdzie jest ta piekielna Bystra, do pioruna! — odezwał się Edmund po jakimś czasie.

— Byłem przekonany, że już do niej dochodzimy — odpowiedział Piotr. — I tak przecież musimy iść naprzód. — Obaj wiedzieli, że od pewnego czasu karzeł spogląda na nich z niepokojem, choć nic nie mówi.

Szli dalej, a żelazne kolczugi zaczęły się robić coraz bardziej gorące i ciężkie.

— A cóż to takiego, do licha! — wykrzyknął nagle Piotr, który szedł pierwszy.

Doszli prawie na sam skraj niezbyt głębokiej górskiej przepaści. W dole ciemniał stromy wąwóz, a na jego dnie płynęła jakaś rzeczka. Przeciwny brzeg wąwozu był o wiele wyższy i jeszcze bardziej stromy. Prócz Edmunda (i może Zuchona) żadne z nich nie miało wielkiego doświadczenia w górskiej wspinaczce.

— Bardzo mi przykro — powiedział Piotr. — To moja wina, to ja wybrałem tę drogę. Zabłądziliśmy. Widzę te okolice po raz pierwszy w życiu.

Karzeł zagwizdał cicho przez zęby.

— Och, wracajmy i idźmy tamtą inną drogą — powiedziała Zuzanna. — Od dawna wiedziałam, że zgubiliśmy się w tych lasach.

— Zuzanno! — odezwała się Łucja z wyrzutem w głosie. — Mogłabyś nie dokuczać Piotrowi. Mamy po prostu pecha, a on chciał jak najlepiej.

— A ty z kolei nie czepiaj się Zuzanny — wtrącił Edmund. — W końcu ma rację, jeżeli chcesz znać moje zdanie.

— Na matnie i manowce! — wykrzyknął Zuchon. — Jeżeli już zabłądziliśmy, jaką mamy szansę znalezienia drogi powrotnej? A jeśli mamy wrócić na wyspę i zaczynać od początku, jeśli w ogóle tam dotrzemy, możemy równie dobrze dać sobie spokój z tym wszystkim. Miraż skończy z Kaspianem, zanim się z nim spotkamy.

— Myślisz, że powinniśmy iść dalej naprzód? — zapytała Łucja.

— Wcale nie jestem pewien, czy Wielki Król naprawdę zabłądził — odpowiedział Zuchon. — Kto powiedział, że ta rzeczka w dole nie może być Bystrą?

— Bystra nie płynie wąwozem — powiedział Piotr, starając się mówić spokojnie.

— Wasza wysokość mówi PŁYNIE — zauważył Zuchon — ale czy nie byłoby poprawniej powiedzieć PŁYNEŁA? Zналиście ten kraj setki, a może nawet tysiące lat temu. Czy nie mógł się przez ten czas zmienić? Przecież jakieś potężne osunięcie ziemi mogło oderwać połowę zbocza tego wzgórza i obnażyć nagą skałę, i już mamy ścianę tej przepaści po drugiej stronie wąwozu. Bystra mogła żłobić coraz głębsze koryto, aż powstało to mniejsze urwisko po naszej stronie. Mogło też być trzęsienie ziemi. Wszystko mogło się zdarzyć.

— Nigdy o tym nie pomyślałem — powiedział Piotr.

— A w każdym razie — ciągnął Zuchon — nawet gdyby to nie była Bystra, płynie na północ, a

więc musi wpadać do Wielkiej Rzeki. Teraz sobie przypominam, że idąc do was, na wybrzeże, chyba przeprowiałem się przez coś takiego. Jeśli pójdziemy w prawo, z biegiem tego strumienia, dojdziemy wreszcie do Wielkiej Rzeki. Może niezupełnie w tym miejscu, w którym chcieliśmy, ale w końcu nie będzie to droga dłuższa od tej, którą ja szedłem.

— Zuchonie, widzę, że z tobą nie zginiemy — powiedział Piotr. — Dalej, schodzimy w dół, do wąwozu.

— Patrzcie! Patrzcie! — zawołała Łucja.

— Gdzie? Co?!

— Lew! Sam Aslan. Nie widzicie? — Jej twarz zmieniła się, a oczy płonęły.

— Czy ty naprawdę... — zaczął Piotr.

— Gdzie go, jak sądzisz, zobaczyłaś? — zapytała Zuzanna.

— Przestańcie mówić jak dorośli — powiedziała Łucja, tupiąc nogą. — Nie SĄDZĘ, że go widziałam. Ja go WIDZIAŁAM.

— Ale gdzie, Łusiu? — spytał Piotr.

— Tam, między tymi dwoma górskimi jesionami. Nie, nie tam, po tej stronie wąwozu. I wyżej, nie tak nisko. Akurat z przeciwnej strony drogi, którą chcecie iść. Chciał, żebyśmy szli tam, gdzie on stał, o tam, w górę rzeki!

— Skąd wiesz, czego on od nas chciał? — zapytał Edmund.

— On... ja... ja to po prostu wiem — powiedziała Łucja. — Z jego twarzy.

Pozostała czwórka popatrzyła po sobie w milczeniu.

— Wasza wysokość mogła w istocie widzieć lwa — odezwał się w końcu Zuchon. — Mówiono mi, że w tych lasach ich nie brakuje. Ale nie musiał to być koniecznie lew bardziej przyjazny i mówiący od tego niedźwiedzia, który chciał cię porwać.

— Och, nie pleć takich bzdur — powiedziała Łucja. — Myślisz, że nie poznałabym Aslana?

— Hm... Musi być teraz dość stary — zauważył Zuchon — jeżeli to ten sam, którego znaliście, gdy byliście tu po raz pierwszy. A jeżeli to ten sam, to czy nie mogło się równie dobrze zdarzyć, że zdziczał i otepiał jak wiele innych lwów?

Łucja zrobiła się purpurowa i chyba by się rzuciła na Zuchona, gdyby Piotr nie położył jej ręki na ramieniu.

— KMP tego nie rozumie, bo i jak? Zuchonie, musisz się z tym pogodzić: my naprawdę wiemy coś o Aslanie, nie wszystko, rzecz jasna, ale coś jednak o nim wiemy. I nie powinieneś o nim więcej mówić w taki sposób, jak przed chwilą. Po prostu zgódź się z tym, że dla jednych to wszystko mogą być bzdury, ale dla innych może to znaczyć wiele. A czy Aslan naprawdę tu był, to już rzeczywiście inny problem.

— Ale ja wiem, że to był on — powiedziała Łucja, a w jej oczach pojawiły się łzy.

— Tak, Łusiu, ty wiesz, ale my nie wiemy, rozumiesz? — powiedział Piotr.

— Trudno, trzeba głosować — odezwał się Edmund.

— Dobrze — zgodził się Piotr. — KMP, jesteś wśród nas najstarszy. Za czym głosujesz? Idziemy w górę, czy w dół?

— W dół — odpowiedział karzeł. — Nie wiem nic o Aslanie. Ale wiem, że jeśli pójdziemy w lewo, w górę tej rzeczki, możemy iść cały dzień, zanim znajdziemy miejsce, w którym można się będzie przeprowić na drugą stronę. A jeśli pójdziemy w prawo, w dół wąwozu, musimy dojść do Wielkiej Rzeki za parę godzin. I jeżeli tu rzeczywiście SĄ jakieś prawdziwe lwy, to powinniśmy raczej trzymać się od nich z daleka.

— A co ty powiesz, Zuzanno?

— Nie gniewaj się na mnie, Łucjo — powiedziała Zuzanna — ale myślę, że powinniśmy iść w dół. Jestem okropnie zmęczona. Wydostańmy się wreszcie z tego przeklętego lasu na otwartą przestrzeń. A poza tym nikt z nas, prócz ciebie, NICZEGO nie widział.

— Edmund? — zapytał Piotr.

— No więc tak — zaczął Edmund, trochę się jękając i czerwieniąc. — Kiedy po raz pierwszy odkryliśmy Narnię rok temu albo tysiąc lat temu, jeśli wolicie... to właśnie Łucja pierwsza tu trafiła i żadne z nas nie chciało jej uwierzyć, a ja byłem w tym wszystkim najgorszy. A jednak w końcu okazało się, że to ona miała rację. Czy nie byłoby słuszne uwierzyć jej i teraz? Głosuję za pójściem w lewo.

— Och, Edziu! — zawołała Łucja i ścisnęła mu rękę.

— A teraz twoja kolej, Piotrze — powiedziała Zuzanna — i mam nadzieję...

— Och, przestań tyle gadać i pozwól mi pomyśleć — przerwał jej Piotr. — Naprawdę, wolałbym raczej nie głosować.

— Jesteś Wielkim Królem — powiedział Zuchon z powagą.

— A więc w dół — odezwał się Piotr po długiej chwili milczenia. — Wiem, że w końcu Łucja może mieć rację, ale nic na to teraz nie poradzę. Możemy zrobić tylko jedno albo drugie.

Tak więc ruszyli wzdłuż brzegu urwiska, kierując się w prawo, z biegiem rzeczki. A Łucja szła na samym końcu, gorzko płacząc.

Rozdział 10 POWRÓT LWA

Trzymanie się krawędzi wąwozu nie było jednak tak łatwe, jak myśleli. Po krótkim marszu napotkali młody jodłowy las, rosnący aż do samego brzegu skalnego urwiska. Kiedy zaczęli się przezeń przedzierać — zatrzymując się co chwila i znów atakując splątaną, kłującą gęstwinię — szybko doszli do wniosku, że w ten sposób zrobią zaledwie milę w ciągu godziny. Wycofali się więc i postanowili las obejść. Trwało to o wiele dłużej, niż przypuszczali. Wkrótce nie tylko stracili z oczu skalną grań po drugiej stronie wąwozu, ale nawet przestali słyszeć szum potoku. Zaczęli się już obawiać, że do niego nie trafią. Nikt nie wiedział, która godzina, ale z pewnością zbliżała się najgorętsza pora dnia.

W końcu jednak obeszli młodniak i powrócili do brzegu wąwozu o jakąś milę w dół od miejsca, z którego wyruszyli. Skalne urwisko było tu o wiele niższe i poprzecinane jęzorami ziemi. Wkrótce znaleźli zejście na dno wąwozu i dalej szli brzegiem rzeczki. Nikt nie wspominał już o śniadaniu — a nawet o obiedzie

— u króla Kaspiana.

Wędrowanie wzdłuż Bystrej wydawało się dobrym pomysłem. Mieli teraz pewność, że idą we właściwym kierunku, a od czasu próby sforsowania jodłowego lasku bali się zgubić w lesie, gdyby jakaś nowa przeszkoda kazała im znowu odejść od wąwozu. Wokół była dziewicza puszcza, bez śladu leśnych dróg czy ścieżek. W takim lesie spotyka się raz po raz wielkie kępy beznadziejnie splątanych jeżyn, przewrócone drzewa, bagna i całe połacie gęstwiny nie do przebycia; nawet z kompasem trudno utrzymać właściwy kierunek. Ale i wąwóz Bystrej nie należał do najprzyjemniejszych miejsc, oczywiście dla kogoś, komu się spieszy. Na południowy piknik,

wieńczący niedzielną wycieczkę, było to miejsce wręcz wymarzone.

Było tu wszystko, czego się zwykle przy takich okazjach oczekuje: grzmiące wodospady, srebrzyste kaskady, głębokie rozlewiska o barwie bursztynu, omszałe skały, miękki mech, w który zapadało się po kostki, najrozmaitsze gatunki paproci, ważki mieniące się jak drogie kamienie. Czasem pojawiał się nad wąwozem jastrząb, a raz (według Piotra i Zuchona) prawdziwy orzeł. Ale, oczywiście, tym, co dzieci i karzeł chcieli zobaczyć najbardziej, były: Wielka Rzeka, Beruna i droga do Kopca Aslana.

Bystra stawała się coraz bardziej rwąca i dzika. Coraz rzadziej napotykali miejsca, w których można było maszerować w miarę swobodnie, coraz częściej musieli wspinać się na strome skały z niebezpiecznymi uskokami i ziejącymi czernią rozpadlinami, z gniewnym rykiem strumienia na dnie przepaści.

Możecie być pewni, że przez cały czas pilnie obserwowali zbocze po drugiej stronie, szukając jakiegoś przełomu lub choćby bardziej dogodnego do wspinaczki miejsca. Ale skalne urwisko wciąż wystrzelało w górę nagą, bezlitosną ścianą. Dręczyło ich poczucie własnej bezsilności, byli bowiem prawie pewni, że gdyby tylko mogli wspiąć się na tamten brzeg, wystarczyłoby zejść po łagodnym zboczu i po krótkim marszu dojść w okolice pozycji Kaspiana.

Chłopcy i karzeł zaczęli częściej namawiać do rozpalenia ogniska i upieczenia paru kawałków niedźwiedziego mięsa. Zuzanna nie chciała o tym słyszeć; jedyne, o czym myślała, to — jak w końcu powiedziała — „iść naprzód, i skończyć z tym, i wydostać się wreszcie z tych przeklętych lasów”. Łucja była zbyt zmęczona i nieszczęśliwa, aby mieć swoje zdanie na jakikolwiek temat. Ale i tak nigdzie nie było widać suchego drewna i wobec tego nie bardzo się liczyło, co kto myśli o ognisku. Chłopcy zaczęli się zastanawiać, czy surowe mięso jest rzeczywiście tak okropne, jak im zawsze mówiono. Zuchon zapewnił jednak, że mówiono im szczerą prawdę.

Gdyby im przyszło podjąć taką wędrówkę kilka dni temu, w Anglii, z całą pewnością już dawno daliby za wygraną. Ale mówiłem wam już, jak odmieniła ich Narnia. Nawet Łucja była teraz, jeśli tak można powiedzieć, tylko w jednej trzeciej dziewczynką idącą po raz pierwszy do normalnej szkoły: w dwu trzecich była już królową Łucją z Narnii.

— Nareszcie! — krzyknęła nagle Zuzanna.

— Och, hurra! Hurra! — zawołał Piotr.

W tym miejscu wąwóz raptownie zakręcał i kiedy minęli załom, roztoczył się przed nimi wspaniały widok. Hen, aż do horyzontu, rozpościerała się zielona, otwarta przestrzeń, przecięta szeroką, srebrną wstęgą Wielkiej Rzeki. W jednym miejscu Rzeka wydawała się płytsza, a jej brzegi spięte były długim mostem, wspartym na wielu przesłach. Przy moście, na drugim brzegu, widać było jakieś miasteczko.

— Tam do smoka! — zawołał Edmund. — Czy pamiętacie bitwę pod Beruną? Walczyliśmy dokładnie na tym miejscu, gdzie teraz jest to miasteczko!

To wspomnienie jeszcze bardziej podniosło chłopców na duchu. Trudno nie poczuć się lepiej, kiedy się patrzy na miejsce, na którym stoczyło się niegdyś zwycięską bitwę. Nie minęła chwila, a już Piotr i Edmund rozprawiali o bitwie z takim zapałem, że zapomnieli o poobcieranych nogach i ciężarze kolczug na ramionach. Karzeł przysłuchiwał się im z zainteresowaniem.

Ruszyli dalej żwawo, zwłaszcza że droga nie była już tak uciążliwa. Skalne urwisko po drugiej stronie rzeczki ciągnęło się dalej, jednakże po tej stronie brzeg wyraźnie się obniżył, aż w końcu wąwóz zmienił się w dolinę. Bystra płynęła wolniej i bardziej rozlewnie, skończyły się też górskie wodospady. Znaleźli się znowu wśród gęstego lasu.

Nagle rozległ się krótki, metaliczny świst, a potem stuk, jakby dzięcioł uderzył dziobem w pień.

Dzieci zastanawiały się jeszcze, gdzie i kiedy (chyba całe wieki temu) słyszały podobny dźwięk i dlaczego nie kojarzył się im z niczym przyjemnym, gdy Zuchon krzyknął: „Padnij!” i pociągnął gwałtownie Łucję (która była akurat najbliżej) w dół, między paprocie. Piotr, który właśnie rozglądał się za jakąś wiewiórką, zobaczył, co to było: długa, groźna strzała, tkwiąca teraz w pniu drzewa tuż nad jego głową. Kiedy przewrócił Zuzannę i sam padł na ziemię, następna strzała świsnęła nad jego ramieniem i utkwiała w ziemi tuż koło jego boku.

— Szybko! Szybko! Cofamy się! Pełzaniem! — wy dyszał Zuchon.

Zaczęli się czołgać w górę zbocza, klucząc między paprociami, wśród rojów brzęczących natrętnie much. Wokół nich świstały strzały. Jedna uderzyła w hełm Zuzanny z głośnym szczękiem i ześliznęła się w bok. Czołgali się coraz szybciej, spoceni jak myszy, a potem zaczęli pędzić wielkimi susami, trzymając miecze w rękach, aby ich nie pogubić.

Była to rozpacзлиwa ucieczka — i to w dodatku z powrotem, tam, skąd przyszli. Kiedy poczuli, że już dłużej nie mogą biec, nawet za cenę życia, padli na wilgotny mech pomiędzy jakimś wodospadem i wielkim głazem, dysząc ciężko. Sami byli zaskoczeni, widząc, jak daleko uciekli w tak krótkim czasie.

Nasłuchiwali w milczeniu, ale z dołu nie dochodził żaden odgłos pogoni.

— A więc udało się! — odezwał się wreszcie Zuchon, biorąc głęboki oddech. — Nie zamierzają przeszukiwać lasu. Mam nadzieję, że to tylko wartownicy.

To by oznaczało, że Miraż wystawił tu wysuniętą placówkę. Na gardy i halabardy! Ale było gorąco!

— Powinienem dostać po głowie za to, że przyprowadziłem was tą drogą — powiedział Piotr.

— Przeciwnie, wasza królewska mość — odpowiedział Zuchon. — Po pierwsze, to nie był pomysł waszej królewskiej mości, lecz waszego królewskiego brata, króla Edmunda. To on doradził nam drogę przez Szklaną Wodę.

— Obawiam się, że KMP ma rację — wtrącił Edmund, który naprawdę o tym zapomniał, jak tylko zaczęły się kłopoty.

— A po drugie — ciągnął Zuchon — nawet gdybyśmy szli moją drogą, to najpewniej też wpadlibyśmy na tę nową placówkę, tyle że z drugiej strony, i w najlepszym razie mielibyśmy tyle samo kłopotów, co teraz. Sądzę, że droga przez Szklaną Wodę okazała się jednak najlepsza.

— Szczęście w nieszczęściu — odezwała się Zuzanna.

— W nieszczęściach! — poprawił ją Edmund.

— Chyba będziemy musieli znowu wrócić do wąwozu — zauważyła Łucja.

— Łusiu, jesteś prawdziwym bohaterem — powiedział Piotr. — Miałaś teraz wszelkie powody, aby nam powiedzieć: „A nie mówiłam?” No cóż, wracamy.

— A jak tylko będziemy głęboko w lesie — dodał Zuchon — zamierzam rozpalić ognisko i zrobić kolację, bez względu na to, co kto o tym myśli. Musimy jednak odejść o wiele dalej.

Nie trzeba opisywać drogi powrotnej do wąwozu. Nie było to ani łatwe, ani przyjemne, ale — rzecz dziwna — czuli się bardziej dziarsko niż przedtem. Złapali drugi oddech, no i samo słowo KOLACJA zrobiło swoje.

Zanim zapadł zmierzch, dotarli do jodłowego młodnika, który sprawił im tyle kłopotu. Na jego skraju, w małej kotlinie rozbili obozowisko. Zbieranie suchego drewna nie było najbardziej ciekawym zajęciem, ale w końcu nadeszła wielka chwila: płomień strzelił w górę. Wydobyli wilgotne i rozlazłe zawiniątka z niedźwiedzim mięsem, które z całą pewnością nie wzbudziłyby zachwyty w kimś, kto spędził cały dzień w zaciszu domowym. Karzeł miał wspaniałe pomysły kucharskie. Mieli jeszcze trochę jabłek i idąc za jego radą zawinęli każdy owoc w płat mięsa (jakby

to były knedle z jabłkami, tyle że ciasto zostało zastąpione mięsem), a następnie nadziali je na zastrzone patyki i upiekli.

Sok z jabłek nasycił mięso tak, jak sos jabłkowy przenika pieczoną wieprzowinę. Niedźwiedzie żywiące się głównie innymi zwierzętami nie mają zbyt smacznego mięsa, ale te, które karmią się leśnymi owocami i miodem, mają mięso wprost wyśmienite. Wszystko wskazywało na to, że ustrzelony przez Zuchona niedźwiedź należał do tej drugiej kategorii. Był to naprawdę królewski posiłek. W dodatku nie musieli myśleć o zmywaniu: po jedzeniu każdy rozłożył się wygodnie na mchu, wyciągając z rozkoszą zbolale nogi. Karzeł zapalił swoją fajkę i zaczęły się wieczorne gawędy. Teraz wydawało im się całkiem prawdopodobne, że już jutro rano odnajdą króla Kaspiana i wraz z nim pobiją Miraza w ciągu kilku dni. Te nadzieje mogły być pozbawione większego sensu, ale wszyscy szczerze je odczuwali. Gawędzili tak przez jakiś czas, aż jedno po drugim wyłączało się z rozmowy bez specjalnych zapowiedzi i wkrótce wszyscy już spali.

Łucja przebudziła się z głębokiego snu z uczuciem, że głos, głos najdroższy w świecie, wypowiada jej imię. Najpierw pomyślała, że to głos ojca, ale wkrótce doszła do wniosku, że chyba się myli. Potem pomyślała, że to Piotr, ale i tę myśl szybko odrzuciła. Wcale nie chciało się jej wstawać; nie dlatego, by była wciąż zmęczona — przeciwnie, czuła się cudownie wypoczęta i kości przestały ją zupełnie boleć — ale dlatego, że było jej bardzo dobrze i wygodnie. Patrzyła prosto na narnijski księżyc (o wiele większy niż nasz) i rozgwieżdżone niebo, gdyż miejsce, w którym rozbili obóz, nie było specjalnie zarośnięte.

— Łucjo! — rozległ się znowu ten głos, który nie był głosem ani ojca, ani Piotra. Usiadła, drżąc nie ze strachu, ale ze wzruszenia. Księżyc świecił tak jasno, że cały leśny krajobraz widziała wyraźnie jak w dzień, tyle że wszystko wydawało się bardziej dzikie i niesamowite. Za sobą miała jodłowy las, po prawej stronie bieląca skalna ściana drugiej strony wąwozu, przed nią rozpościerała się łąka, za którą na odległość strzału z łuku wyrastała kępa drzew. Łucja wpatrzyła się z uwagą w drzewa.

— Aż trudno uwierzyć, ale przecież one się ruszają! — powiedziała do siebie zdumiona. — Chodzą sobie!

Zerwała się na nogi, a serce biło jej mocno, i ruszyła w stronę drzew. Od leśnej kępy dochodził dziwny, śpiewny odgłos, jaki wydają drzewa na wielkim wietrze: dziwny, bo tej nocy żadnego wiatru nie było, a przy tym były to niesamowite dźwięki. Wydawało się Łucji, że składają się na jakąś melodię, ale nie potrafiła jej uchwycić, tak jak poprzedniej nocy nie mogła uchwycić słów, które zdawały się do niej szeptać drzewa. Ale wyczuwała rytm, temu nie mogła zaprzeczyć, bo jej nogi same zaczęły tańczyć, gdy zbliżyła się jeszcze bardziej. I teraz nie miała już żadnej wątpliwości, że drzewa naprawdę się poruszają, okręcają wokół siebie i zamieniają miejscami, jak w jakimś skomplikowanym tańcu ludowym. („I jestem pewna — pomyślała Łucja — że kiedy drzewa tańczą, to nie może być nic innego, tylko bardzo, bardzo ludowy taniec” .) A teraz była już między nimi.

Pierwsze drzewo, na które spojrzała, wydawało się na pierwszy rzut oka wysokim mężczyzną ze zmierzwioną brodą i długimi, poskręcanyimi włosami. Łucja nie bała się, widziała już takie rzeczy. Kiedy spojrzała po raz drugi, dziwna istota znowu była drzewem, chociaż nadal się poruszała. Nie mogła dostrzec, czy ma stopy, czy też korzenie, bo kiedy drzewa chodzą, to oczywiście nie stawiają kroków po powierzchni ziemi, tylko brodzą w niej, jak my w śniegu. To samo działo się ze wszystkimi innymi drzewami, na które spojrzała. Raz wydawały się przyjaznymi, dobrymi olbrzymami, obudzonymi do pełnego życia przez jakieś czary, a w chwilę później wyglądały znowu jak drzewa. Kiedy wyglądały jak drzewa, były to dziwnie ludzkie drzewa, a kiedy wyglądały jak ludzie, były to dziwnie gałęziaste i liściaste postacie. I przez cały czas rozlegał się ów niesamowity,

rytmiczny, szeleszczący, chłodny — lecz wesoły — dźwięk.

— Już prawie się rozbudziły, ale jeszcze nie do końca — powiedziała do siebie Łucja. Sama czuła się rozbudzona bardziej, niż to jest zwykle możliwe.

Posuwała się wśród drzew bez lęku, tańcząc, podskakując i starając się w tańcu nie wejść w drogę swym wielkim partnerom. Ale to nie drzewa ciągnęły ją najbardziej. Prawdę mówiąc, chciała już wydostać się z ich kręgu, chciała minąć je i dotrzeć tam, skąd wcześniej słyszała ukochany głos.

I wkrótce wydostała się spomiędzy drzew, nie bardzo wiedząc, czy w tej dziwnej wędrownicy wyciągała ręce po to, aby rozchylić gałęzie, czy po to, aby uchwycić inne ręce w wielkim korowodzie olbrzymich tancerzy, wyginających się, by dosięgnąć jej rąk. Okazało się, że drzewa tworzyły krąg wokół rozległej polany. Łucja wysliznęła się z objęć ruchomej mieszaniny cudownych blasków i cieni i przystanęła na skraju polany zalanej światłem księżyca. Zobaczyła krąg murawy, miękkiej i równej jak najwspanialszy trawnik, otoczony ze wszystkich stron roztańczonym korowodem drzew. A potem — cóż za radość! Tam był ON: potężny Lew jaśniejący bielą księżycowego blasku, odcinający się ostro od czerni swego cienia.

Gdyby nie lekki ruch ogona, mógł się wydawać kamiennym posągim. Ale Łucja nawet o tym nie pomyślała. Nie zastanawiała się też nawet przez chwilę, czy to lew przyjazny, czy dziki. Pobiegła ku niemu. Czuła, że serce jej pęknie, jeśli zmarnuje jeszcze choćby sekundę. I w chwilę później uświadomiła sobie, że całuje go, zarzuca mu ręce na szyję i zanurza twarz w cudownej, bogatej jedwabistości jego grzywy.

— Aslan... Aslan... Kochany Aslan — powtarzała płacząc. — W końcu jesteś...

Wielkie zwierzę przewróciło się na bok, tak że Łucja znalazła się między jego przednimi łapami, pół siedząc, pół Jeżąc. Pochylił łeb i dotknął językiem jej nosa. Owionął ją ciepły oddech. Wpatrywała się w jego wielką, mądrą twarz.

— Witaj, moje dziecko — powiedział Lew.

— Aslanie — powiedziała Łucja — jesteś większy.

— To dlatego, że ty jesteś starsza, maleńka — odpowiedział.

— A nie dlatego, że ty jesteś starszy?

— Nie jestem starszy. Im bardziej będziesz rosła, tym bardziej będę dla ciebie większy.

Przez jakiś czas była tak szczęśliwa, że nie chciała nic mówić. Ale przemówił Aslan.

— Łucjo, nie możemy tutaj dłużej leżeć. Macie wiele do zrobienia, a już dużo czasu dziś straciliście.

— Tak, czy to nie wstyd? — powiedziała Łucja. — Przecież cię widziałam. A oni mi nie uwierzyli. Oni naprawdę są tak...

Gdzieś w samym środku Aslana rozległo się coś, co było niewątpliwie leciutką zapowiedzią ryku.

— Och, przebacz mi — powiedziała Łucja, która potrafiła odczytywać jego nastroje. — Nie chciałam na nich skarżyć. Ale to przecież nie była moja wina, prawda?

Lew patrzył jej prosto w oczy.

— Och, Aslanie, przecież nie myślisz, że to moja wina! Jakżebym mogła... no, nie mogłam ich zostawić i pójść sama do ciebie... Nie patrz tak na mnie... och, no dobrze, więc chyba MOGŁAM. Tak, i nie byłabym sama, wiem, byłabym z tobą. Ale co by to dało?

Aslan milczał.

— Chcesz powiedzieć — głos Łucji był nieco słabszy — że w jakiś sposób wyszłoby na dobre? Ale jak? Aslanie, proszę cię! Czy mam o tym nie wiedzieć?

— Wiedzieć, co BY się stało, moje dziecko? — powiedział Aslan. — Nie. Tego nikt nie wie.

— Och, kochany... — zaczęła znowu Łucja.

— Ale każdy może się przekonać, co się STANIE — mówił Aslan. — Jeżeli wrócisz teraz do reszty, obudzisz ich i opowiesz, że znowu mnie widziałas i że wszyscy musicie natychmiast wstawać i pójść za mną

— co się wtedy stanie? Jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

— I tego właśnie ode mnie oczekujesz? — wyszeptała Łucja.

— Tak, maleńka — odpowiedział Aslan.

— A czy inni też ciebie zobaczą?

— Teraz — na pewno nie. Później — to zależy.

— Ale oni mi nie uwierzą! — zawołała Łucja.

— To nie ma znaczenia — powiedział Aslan.

— Och, kochany, drogi Aslanie! A tak się ucieszyłam, że ciebie odnalazłam. I myślałam, że pozwolisz mi zostać ze sobą. I myślałam, że zaczniesz ryczeć i przepędzisz wszystkich wrogów... tak jak wtedy. A teraz wszystko zaczyna wyglądać okropnie.

— Wiem, że jest ci ciężko — powiedział Aslan

— ale nic nie dzieje się dwukrotnie w ten sam sposób. Nam wszystkim w Narnii też było bardzo ciężko.

Łucja schowała twarz w jego grzywie, aby ukryć się przed jego spojrzeniem. Ale w tej grzywie musiały być jakieś czary, bo natychmiast poczuła, jakby ją napełniła lwia siła. Podniosła się.

— Przepraszam, Aslanie. Jestem już gotowa.

— Teraz jesteś jak mała lwica — rzekł Aslan. — I teraz cała Narnia zostanie odnowiona. Ale chodźmy już. Nie mamy czasu do stracenia.

Lew podniósł się i zaczął iść swym bezszelestnym, majestatycznym krokiem ku tańczącym drzewom. Łucja szła obok, trzymając się jego grzywy drżącą trochę ręką. Drzewa rozstały się przed nimi i przez chwilę przybrały całkowicie ludzką postać. Łucja zdążyła zobaczyć całą gromadę cudownych leśnych bożków i leśnych boginek nisko kłaniających się Lwu. Po chwili znów były drzewami, ale wciąż jeszcze pochylonymi w tak wdzięcznym wygięciu gałęzi i pni, że sam ten pokłon wydawał się taneczną figurą.

— A teraz, moje dziecko — powiedział Aslan, kiedy już przeszli za pierścień drzew — będę na ciebie tutaj czekał. Idź i obudź swoich towarzyszy, i powiedz im, aby do mnie przyszli. Jeśli tego nie zrobią, musisz przyjść sama.

Czekało ją okropne zadanie: obudzić cztery osoby, starsze od niej i bardzo zmęczone, aby powiedzieć im coś, w co prawdopodobnie nie uwierzą, i skłonić je do zrobienia czegoś, czego z pewnością nie będą chciały zrobić. „Muszę coś wymyślić, muszę to zrobić” , powtarzała sobie Łucja, zbliżając się do obozowiska.

Zaczęła od Piotra. Potrząsnęła nim i szepnęła mu do ucha:

— Piotrze, obudź się. Szybko. Aslan jest blisko. Mówi, że musimy natychmiast za nim iść.

— Tak, tak, Łusiu. Zrobię, co zechcesz — wymamrotał Piotr. Zabrzmiało to zachęcająco, ale w tej samej chwili przewrócił się na drugi bok i zasnął ponownie.

Spróbowała z Zuzanną. Siostra przebudziła się, ale tylko po to, aby oświadczyć swoim najbardziej nudnym, dorosłym głosem:

— Śniło ci się, Łucjo. Kładź się i śpij. Zaczęła tarmosić Edmunda. Nielatwo było wyrwać go ze snu, ale kiedy się to w końcu udało, usiadł całkowicie rozbudzony.

— He? — mruknął gderliwie. — Co ty opowiadasz?

Łucja usiadła obok niego i jeszcze raz wszystko mu opowiedziała. To właśnie było najgorsze, bo za każdym razem cała historia brzmiała coraz bardziej niewiarygodnie.

— Aslan! — zawołał Edmund podskakując. — Hurra! Gdzie?
Łucja odwróciła się i pokazała ręką tam, gdzie wciąż widziała czekającego na nich Lwa. Czują, że na nią patrzy.
— Tam — powiedziała.
— Gdzie? — powtórzył Edmund.
— Tam, tam. Nie widzisz? Z tej strony drzew. Edmund wytrzeszczył oczy przez chwilę, a potem powiedział:
— Nie. Tam nikogo nie ma. Musiało cię oszukać światło księżyca. To się zdarza. Sam myślałem przez chwilę, że coś widzę. To tylko złudzenie... jak to się nazywa...
— Widzę go przez cały czas — powiedziała Łucja. — Patrzy prosto na nas.
— To dlaczego ja go nie widzę?
— Powiedział, że może nie będziesz mógł.
— Dlaczego?
— Nie wiem. Tak mówił.
— A niech to dunder śwśnie! — powiedział Edmund. — Chciałbym, żebyś już przestała widywać różne takie rzeczy. Ale chyba musimy obudzić resztę.

Rozdział 11 LEW RYCHY

KIEDY JUŻ WSZYSCY się obudzili, Łucja musiała powtórzyć swoją opowieść po raz czwarty. Głucha cisza, jaka zapadła po jej słowach, nie wróżyła niczego dobrego.
— Nic nie widzę — powiedział Piotr po długiej chwili wpatrywania się w kępę drzew tak, że oczy mu zasły łzami. — A ty, Zuzanno?
— Nic a nic, zresztą to chyba oczywiste — prychnęła lekceważąco Zuzanna — bo nie ma tam nic do zobaczenia. Jej się to po prostu śniło. Kładź się i spróbuj znów zasnąć, Łusiu.
— A ja wciąż mam nadzieję — powiedziała Łucja drżącym głosem — że wszyscy pójdziecie ze mną. Bo... bo ja i tak pójdę, czy będziecie chcieli, czy nie.
— Nie pleć bzdur, Łucjo — odezwała się Zuzanna. — To przecież jasne, że nie możesz iść sama. Nie pozwól jej, Piotrze. Robi się naprawdę nieźnośna.
— Ja z nią pójdę, jeżeli naprawdę MUSI iść — wtrącił się Edmund. — Pamiętajcie, że już raz miała rację, a my...
— Pamiętam — powiedział Piotr. — I być może miała rację dziś rano. To pewne, że nie spotkało nas nic dobrego, kiedy uparliśmy się, aby iść z biegiem rzeczki. Ale... o tej godzinie, w nocy... I dlaczego by Aslan miał być dla nas niewidzialny? To do niczego nie pasuje. A co na to wszystko powie KMP?
— Nic nie powiem — odparł karzeł. — Jeżeli pójdziecie, to, rzecz jasna, pójdę z wami; a jeżeli się podzielicie, zostanę z Wielkim Królem. To mój obowiązek wobec niego i wobec króla Kaspiana. Jeżeli jednak chcecie znać moją prywatną opinię, to jestem tylko prostym karłem, który nie sądzi, byśmy znaleźli właściwą drogę w nocy, jeśli nie możemy jej znaleźć w ciągu dnia. I nigdy nie miałem do czynienia z zaczarowanymi lwami, które potrafią mówić, ale nie mówią, ani z przyjaznymi lwami, które jakoś nam nie pomagają, ani z wyjątkowo wielkimi lwami, których

jednak nikt nie może zobaczyć. Z tego, co widzę, wynika, że to wszystko duby smalone i nic więcej!

— Teraz uderza łapami w ziemię, żebyśmy się pospieszyli — powiedziała Łucja. — Musimy iść. A w każdym razie ja muszę.

— Nie masz prawa zmuszać nas wszystkich do tego w ten sposób! — krzyknęła Zuzanna. — Masz cztery głosy przeciw sobie i jesteś najmłodsza.

— Och, dajcie spokój — warknął Edmund. — Musimy iść. Nie będzie spokoju, dopóki nie pójdziemy. — Był całkowicie zdecydowany poprzeć Łucję, a jednocześnie zły, że mu przerwano sen, i dąsał się trochę na pokaz.

— A więc w drogę — zdecydował Piotr, wsuwając rękę pod uchwyty tarczy i wkładając hełm. Czuł, że powinien powiedzieć Łucji coś miłego; była jego ulubioną siostrą i wiedział, że musi się teraz czuć okropnie. Zdawał sobie również sprawę z tego, że cokolwiek się stało — lub nie stało — nie było w tym jej złej woli. Ale jednocześnie był na nią trochę zły i w końcu nic nie powiedział. Najgorsza była Zuzanna.

— Przypuśćmy, że JA zacznę się teraz zachowywać jak Łucja. Może JA też powiem, że zostanę tutaj, bez względu na to, czy reszta idzie, czy nie. I naprawdę, zrobię tak!

— Trzeba słuchać Wielkiego Króla, wasza wysokość — oświadczył Zuchon. — Trzeba iść. Jeżeli już nie mogę spać, to wolę natychmiast ruszać w drogę, niż stać tu i gadać na próżno.

W końcu ruszyli w drogę. Łucja szła pierwsza, przygryzając wargi i starając się nie wypowiedzieć na głos tego wszystkiego, co w tej chwili myślała o Zuzannie. Ale zapomniała o tym natychmiast, gdy tylko utkwiała oczy w Aslanie. Odwrócił się i zaczął iść wolnym krokiem jakieś pięćdziesiąt metrów przed nimi. Reszta musiała iść tam, gdzie ich prowadziła Łucja, ponieważ Lew był dla nich wciąż niewidzialny. Niczego też nie słyszeli, bo gdy kroczył po murawie, jego wielkie, kocie łapy nie wydawały najmniejszego odgłosu.

Poprowadził ich na prawo od tańczących drzew — a nikt nie wiedział, czy tańczą w dalszym ciągu, bo Łucja była wpatrzona w Lwa, a reszta była wpatrzona w Łucję — aż do krawędzi wąwozu. „Na graty i grobowce! — pomyślał Zuchon. — Mam nadzieję, że to szaleństwo nie skończy się na wspinaczce przy księżycu i na połamanych karkach” .

Aslan kroczył przez dłuższy czas tuż przy samej krawędzi przepaści. Potem doszli do miejsca, w którym tuż nad brzegiem urwiska rosło kilka drzew, i nagle zniknął między nimi. Łucja wstrzymała oddech. Wyglądało to, jakby skoczył w przepaść. Była jednak zbyt pochłonięta tym, by nie stracić go z oczu, i dlatego nie zastanawiała się, co robić dalej. Przyspieszyła kroku i wkrótce sama znalazła się wśród drzew. Spojrzała w dół i dostrzegła wąską i stromą ścieżkę biegnącą zakosami między skałami, aż na dno wąwozu. Aslan odwrócił głowę i spojrzał na nią przyjaźnie. Klasnęła w dłonie i zaczęła ostrożnie schodzić za nim w dół. Za plecami usłyszała okrzyki: „Hej, Łucjo! Uwważaj, na miłość boską! Jesteś na skraju przepaści!” , a w chwilę później głos Edmunda: „Nie, ona ma rację. Tam jest ścieżka” .

W połowie drogi w dół Edmund znalazł się tuż za nią.

— Zobacz! — zawołał podniecony. — Zobacz! Co to za cień porusza się przed nami?

— To JEGO cień — odpowiedziała Łucja. Wierzę, że masz rację. Trudno mi pojąć, że nie widziałem go wcześniej. Ale gdzie on jest?

— To jasne, tam gdzie jego cień. Jeszcze go nie widzisz?

— Już mi się wydawało, że go zobaczyłem... przez chwilę. Tu jest takie dziwne oświetlenie.

— Naprzód, naprzód, królu Edmundzie! — usłyszeli tuż nad sobą głos Zuchona, a potem, z góry, prawie z samego szczytu, głos Piotra:

— Trzymaj się, Zuzanno! Daj mi rękę. Przecież nawet dziecko by tędy zeszło. I przestań już gderać.

Po kilku minutach wszyscy znaleźli się na dnie wąwozu. Ogłuszył ich ryk potoku. Ostrożnie jak kot Aslan przeskakiwał już z kamienia na kamień, przechodząc na drugą stronę. Na samym środku przystanął i napił się wody, a potem podniósł głowę i spojrzał na nich. I tym razem Edmund go zobaczył.

— Och, Aslan! — zawołał i rzucił się naprzód. Ale Lew okręcił się w miejscu, dał susa i już wspinał się lekko po zboczu po drugiej stronie Bystrej.

— Piotrze! Piotrze! — krzyczał Edmund. — Widziałeś?

— Coś widziałem — odpowiedział Piotr. — Ale w świetle księżycy wszystko się zmienia i migocze. Idźmy dalej. I niech żyje Łucja! Wcale nie czuję zmęczenia.

Aslan prowadził ich bez wahania w lewo, w górę zbocza. Było coś niesamowitego w tej nocnej wędrówce, przypominającej sen: grzmiący górski potok, mokra, szara trawa, lśniące białą skały i wspaniałe, kroczące przed nimi bezszelestnie Zwierzę. Teraz widzieli je już wszyscy, prócz Zuzanny i karła.

Doszli wreszcie do ścieżki wśród skał, biegnącej kretą nad głęboką przepaścią. Podejście było jeszcze bardziej strome, a szczyt o wiele wyższy, więc wspinaczka trwała długo i zmęczyła ich o wiele bardziej niż zejście na dno wąwozu. Na szczęście księżyc świecił teraz nad samym wąwozem, więc nie było cienia po żadnej stronie.

Łucja ledwo już dyszała, gdy ogon i tylne łapy Aslana zniknęły za najwyższą krawędzią skały. Zrobiła ostatni wysiłek, wgramoliła się za nim na skałę i stanęła na trzęsących się nogach, z trudem łapiąc oddech. Była na szczycie skalnej grani, po drugiej stronie wąwozu, tam, gdzie tak bardzo chcieli się znaleźć od czasu wylądowania w Zatoce Szklanej Wody. Przed nią wznosiło się łagodne, porośnięte trawą i wrzosami zbocze, oznaczone od czasu do czasu białą wysokich skał. A dalej, w górze, jakieś pół mili od miejsca, w którym stała, czerniał las. Teraz wiedziała już, gdzie się znaleźli. Stała przed Wzgórzem Kamiennego Stołu.

Dzwoniąc kolczugami i dysząc ciężko, pojawili się na krawędzi skały inni. Ale Aslan nie pozwolił im odpocząć i po chwili szli już za nim po zboczu.

— Łucjo — odezwała się cichutko Zuzanna.

— Tak?

— Teraz go widzę. Strasznie cię przepraszam.

— Nie ma już o czym mówić.

— Ale ja jestem o wiele gorsza, niż myślisz. Tak naprawdę, to uwierzyłam, że on tam był... wiesz, wczoraj, kiedy nas ostrzegął, żebyśmy nie szli z biegiem strumienia. I naprawdę wierzyłam, że spotkałaś go tej nocy, kiedy nas obudziłaś. To znaczy, wierzyłam w to gdzieś głęboko, w środku. Albo wierzyłabym, gdybym sama sobie pozwoliła uwierzyć. Ale ja po prostu chciałam się wydostać z tych lasów i... och, sama nie wiem. I co ja mu teraz powiem?

— Może nie będziesz musiała wiele mówić — powiedziała Łucja.

Wkrótce doszli do drzew i zobaczyli przez nie Wielki Kopiec wzniesiony nad Kamiennym Stołem już po ich odejściu z Narnii.

— Nasi nie mają za dobrych straży — zamruczał Zuchon. — Już teraz powinni nas zatrzymać i sprawdzić, czy znamy hasło.

— Cicho! — zawołała jednocześnie pozostała czwórka, bo teraz Aslan zatrzymał się, odwrócił i stał nieruchomo, patrząc na nich, majestatyczny i pełen mocy. Czuli się tak szczęśliwi, jak tylko może się czuć ktoś, kto się boi, i tak przerażeni, jak tylko może się czuć ktoś, kto jest szczęśliwy. Chłopcy

wysunęli się do przodu, Zuzanna i karzeł za nimi. Podeszli do Lwa.

— Aslanie — powiedział król Piotr, klękając na jedno kolano i podnosząc wielką łapę Lwa do swojej twarzy. — Tak się cieszę. I tak się wstydzę. Prowadziłem ich źle od samego początku, a już zwłaszcza wczoraj rano.

— Mój ukochany Synu — rzekł Aslan. Potem zwrócił się do Edmunda:

— Dobrze się spisałeś.

A potem, po trudnej do zniesienia długiej chwili milczenia, powiedział głębokim, pełnym powagi głosem:

— Zuzanno.

Zuzanna nie odpowiedziała, ale wszystkim się zdawało, że płacze.

— Pozwoliłaś, aby strach zapanował nad tobą, moje dziecko. Chodź, niech cię ogrzeję swym oddechem. Zapomnij o lękach. Już jesteś dzielna?

— Trochę, Aslanie — odpowiedziała Zuzanna.

— A teraz — głos Aslana podniósł się, a na jego dnie czała się zapowiedź prawdziwego ryku. — A teraz, gdzie jest ten mały karzeł, ten słynny mistrz miecza i łuku, który nie wierzy w Lwy? Chodź tutaj, Synu Ziemi, chodź TUTAJ! — I ostatnie słowo nie było już tylko zapowiedzią, ale prawdziwym rykiem.

— Na widma i wadoły! — wysapał Zuchon i głos mu zamarł w krtani. Dzieci, które znały Aslana, wiedziały już, że polubił karła i nie odczuwały strachu, ale trudno to było powiedzieć o Zuchonie, który w ogóle zobaczył Lwa po raz pierwszy w życiu, a w dodatku TEGO Lwa. A jednak zrobił najmądrzejszą rzecz, jaką mógł zrobić, zamiast czmychnąć (na co miał wielką ochotę), zbliżył się do Aslana bardzo niepewnym krokiem.

Aslan skoczył na niego. Widzieliście kiedy małego kotka, niesionego przez matkę w pysku? To było coś takiego. Karzeł został wyrzucony w powietrze jak mała piłka i oto zwisał już z pyska wielkiego Lwa. Po chwili Aslan potrząsnął nim lekko, aż całe rycerskie oporządzenie biednego karła zadzwoniło jak skrzynka z narzędziami, i — hola, hop! — wyleciał znowu w powietrze. Był tak bezpieczny jak w łóżku, choć bynajmniej tak się nie czuł. Zanim spadł na ziemię, miękkie, aksamitne łapy schwytały go delikatnie jak ramiona matki i postawiły (głową do góry, rzecz jasna) na ziemi.

— Synu Ziemi, czy chcesz, abyśmy zostali przyjaciółmi? — zapytał Aslan.

— Thy-y-y-a-a-a-k — wystękał karzeł, wciąż nie mogąc złapać tchu.

— A teraz, do dzieła! — zawołał Lew. — Księżyc już zachodzi. Spójrzcie za siebie: zaraz będzie dniało. Nie mamy czasu do stracenia. Wy trzej, Synowie Adama i Synu Ziemi, spieszcie do Kopca i radźcie sobie z tym, co tam zastaniecie.

Karzeł wciąż jeszcze nie mógł dobyć z siebie głosu, a i chłopcy nie śmieli zapytać Aslana, czy będzie im towarzyszył. Wszyscy trzej dobyli mieczy, zasalutowali, odwrócili się i zniknęli w półmroku, dzwoniąc ryszunkiem. Łucja zauważyła, że na ich twarzach nie było ani śladu lęku; zarówno Wielki Król, jak i król Edmund wyglądali teraz bardziej jak rycerze niż chłopcy.

Dziewczynki patrzyły za nimi, stojąc tuż przy Aslanie. Teraz oświetlenie zaczęło się szybko zmieniać. Nad wschodnim widnokregiem płonęła już jak mały księżyc Aravir, poranna gwiazda Narnii. Aslan, który wydawał się teraz jeszcze większy, podniósł łeb, potrząsnął grzywą i zaczął ryczeć.

Ryk, z początku głęboki i pulsujący jak organy na najniższej nucie, podnosił się powoli i potężniał, a potem stał się jeszcze mocniejszy, aż ziemia i powietrze zdrzały. W dole, w obozie Miraza, ludzie obudzili się, bladzi ze strachu, patrząc po sobie i ściskając oręż. Jeszcze niżej, w Wielkiej

Rzece, z wody wynurzyły się głowy i ramiona nimf, a potem brodata twarz rzeczno-ego bożka. Za rzeką, w lasach i na polach, króliki wystawiły uszy ze swoich nor, ptaki wyjęły łebki spod skrzydeł, sowy zaczęły pohukiwać, lisy szczekać, jeże chrząkać, drzewa szumieć. W miastach i wsiach matki przytuliły mocniej dzieci do piersi, rozglądając się z niepokojem, psy zaczęły wyć, a mężczyźni wyskoczyli z łóżek, szukając po omacku lamp. Daleko, na północnej granicy górskie olbrzymy wyjrzały z ciemnych wrót swoich zamków.

A Łucja i Zuzanna zobaczyły, jak coś ciemnego zbliża się do nich ze wszystkich stron poprzez wzgórza. Najpierw wyglądało to jak czarna mgła pełznąca po ziemi, potem jak wzburzone fale czarnego morza podnoszące się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie jak to, czym naprawdę było — zbliżające się do nich zewsząd lasy. Wydawało się, że wszystkie drzewa z całego świata spieszą, by pokłonić się Aslanowi. A kiedy były już blisko, przestały wyglądać jak drzewa, i kiedy cały ten tłum, kłaniając się, wiwatując i wymachując rękami, zbliżył się do Łucji, zobaczyła, że był to tłum istot o ludzkich kształtach. Blade panny-brzozy kołysały głowami, wierzby-niewiasty odrzucały długie włosy ze swych zadumanych twarzy, aby spojrzeć na Aslana, królewskie buki stały cicho, oddając mu cześć, kędzierzawi dębowi mężowie, chude i melancholijne wiązy, ostrokrzewy z potarganymi włosami (mężczyźni ciemni, ale ich żony jaśniejsze od czerwonych jagód), wesołe jarzębiny — wszyscy pochylali się w pokłonie, a potem podnosili wołając: „Aslan! Aslan!” ochryplymi, trzeszczącymi i falującymi głosami.

Tańczący wokół Aslana tłum (bo teraz zaczął się prawdziwy taniec) zrobił się tak gęsty, a taniec tak szybki, że Łucja nie potrafiła zupełnie powiedzieć, skąd się wzięły jakieś inne istoty płasające wśród drzew. Zobaczyła młodzieńca odzianego w jelenią skórę, z pędami winorośli wplecionymi we włosy, którego twarz była niezwykle piękna, choć o wiele bardziej dzika niż twarz chłopca. Czuło się, że — jak to ujął Edmund, gdy go zobaczył kilka dni później — „to jest facet, po którym można się spodziewać wszystkiego”. Różnie go nazywano: Bromios, Basareus albo po prostu Kozioł — to tylko trzy imiona spośród wielu, jakie nosił. Było z nim wiele dziewcząt, równie dzikich jak on sam. I była też jakaś dziwna postać na osiołku!

I każdy śmiał się, tańczył i wykrzykiwał: „Euan, euan, euoi, euoi-oi-oi-oi!”

— Czy to nie czas Wielkich Swawoli, Aslanie? — zawołał młodzieniec.

I wszystko wskazywało, że tak było, przynajmniej dla tej wesołej kompanii. Tyle, że każdy wydawał się mieć inne zdanie na temat tego, w co się bawić. Mogła to być zabawa w kotka i myszkę, ale Łucja nie była w stanie rozstrzygnąć, kto kogo goni. Równie dobrze można byłoby mówić o ciuciubabce, tyle że każdy zachowywał się tak, jakby właśnie jemu zawiazano oczy. Ale mogła to być również zabawa w łapanie pantofla, choć nikt nigdy go nie złapał. Jeszcze większego zamieszania narobił dziwny mężczyzna na osiołku, stary i niezwykle gruby, który zaczął nagle wołać: „Czas na przekąskę! Czas na przekąskę!” i już zsuwał się z osła, gdy inni starali się wepchnąć go z powrotem na grzbiet, a sam osioł sprawiał wrażenie, jakby się znajdował w cyrku i próbował dać pokaz chodzenia na tylnych nogach. I wciąż pojawiało się skądś coraz więcej i więcej winorośli, nie tylko samych pnączy i liści, ale i winnych gron, które zaczęły się wspinać na wszystko, co napotkały. Pięły się po nogach leśnych istot i oplatały im szyje. Łucja podniosła rękę, aby odgarnąć włosy, i stwierdziła, że odgarnia z czoła pędy winorośli. Po jakimś czasie cały osiołek pokryty był zielonymi liśćmi, a coś ciemnego wisiało między jego uszami. Łucja przyjrzała się temu lepiej i odkryła, że to kiście dojrzałych, granatowych winogron. Teraz wszędzie już było pełno winogron — nad głowami, pod stopami, wszędzie, gdzie się tylko spojrzało.

— Przekąska! Przekąska! — wrzeszczał staruszek na osiołku. Wszyscy zaczęli jeść. Choćby nie wiem jakie cieplarnie mieli wasi znajomi, to nigdy jeszcze nie jedliście tak wspaniałych winogron.

Jędrne i twarde na wierzchu, wystrzelały chłodną słodkością, gdy tylko włożyło się je do ust. Dziewczynki jadły i jadły, bo takich winogron nigdy nie ma się dość, a tutaj było ich więcej, niż ktokolwiek mógłby sobie wymarzyć, no i w dodatku nie obowiązywały dobre maniery. Wszędzie widać było palce umazane sokiem i lepkiem miąższem, a chociaż wszyscy mieli pełne usta, nie milkły ani śmiechy, ani dzikie jodłowanie. Aż nagle, w jednym momencie, każdy poczuł, że zabawa (w cokolwiek się bawiono) i uczta mają się ku końcowi, i wszyscy padli bez tchu na murawę, wpatrując się w Aslana i czekając, co teraz powie.

W tej samej chwili słońce zaczęło wschodzić, a Łucja przypomniała sobie coś i szepnęła Zuzannie do ucha:

— Słuchaj, Zuziu, ja wiem, kim oni są.

— No?

— Ten chłopiec z dziką twarzą to Bachus, a ten staruszek na ośle to Sylen. Nie pamiętasz, jak pan Tumnus kiedyś nam o nich opowiadał?

— Ależ tak! Ale wiesz, Łusiu.

— Co?

— Chyba nie czułabym się zbyt bezpiecznie z Bachusem i jego dzikimi towarzyszkami, gdybym ich spotkała bez Aslana.

— Chyba masz rację — powiedziała Łucja.

Rozdział 12 CZARNA MAGIA

TYMCZASEM ZUCHOM i chłopcy dotarli do osłoniętego kamiennym łukiem wejścia do wnętrza Kopca. Dwa borsuki (Edmund zobaczył tylko białe pasy na ich pyskach) wynurzyły się nagle z ciemności, warcząc i obnażając kły.

— Kto idzie? — rozległ się ostry, chrapliwy głos.

— Zuchon — odpowiedział karzeł. — Zuchon, prowadzący Wielkiego Króla Narnii sprzed wieków.

Borsuki trąciły nosami ręce chłopców.

— Nareszcie! Nareszcie jesteście.

— Dajcie nam jakieś światło, przyjaciele — powiedział Zuchon.

Borsuki znalazły pochodnię, a Piotr zapalił ją i wręczył karłowi.

— Niech KMP prowadzi — powiedział. — Nie mamy pojęcia o drodze.

Zuchon wziął pochodnię i wszedł pierwszy do mrocznego tunelu. Było tu zimno i ciemno, pachniało stęchlizną. Z sufitu i ścian zwieszały się pajęczyny, a od czasu do czasu przez krąg światła, rzucany przez pochodnię, przelatywał nietoperz. Chłopcy, którzy od poranku na stacji kolejowej przebywali wciąż na powietrzu, czuli się tu jak w więzieniu lub pułapce.

— Piotrze — szepnął Edmund. — Spójrz na te znaki na ścianach. Czy nie wyglądają na bardzo stare? A przecież my jesteśmy od nich starsi. Nie było ich jeszcze, kiedy tu byliśmy ostatni raz.

— Tak — odpowiedział Piotr. — To daje do myślenia.

Karzeł prowadził ich prosto, potem skręcił w prawo, potem w lewo, kilka stopni w dół i znowu w lewo. Znajdowali się teraz w krótkim korytarzu, na końcu którego zobaczyli światło sączące się

przez szparę w drzwiach. Usłyszeli jakieś głosy. Stali przed wejściem do głównej komory Kopca. Głosy były pełne gniewu. Ktoś mówił tak głośno, że nie mógł usłyszeć zbliżania się chłopców i karła.

— Wcale mi się to nie podoba — szepnął Zuchon do Piotra. — Posłuchajmy przez chwilę, co się tam dzieje. — I cała trójka zamarła bez ruchu pod drzwiami.

— Wiesz dobrze — odezwał się głos („To król” , szepnął Zuchon) — dlaczego róg nie zabrzmiał o wschodzie słońca tamtego dnia. Czy już zapomniałeś, że Miraż zaatakował nas tuż po odejściu Zuchona i że walczyliśmy o życie przez ponad trzy godziny? Zadałem w róg, gdy tylko mogłem nabrać powietrza do płuc i przyłożyć go do warg.

— Nie zapomniałem o tym — zabrzmiał gniewny głos — i trudno, bym zapomniał. — („To Nikabrik” , szepnął Zuchon.) — To przecież moje karły przyjęły na siebie główne uderzenie. Na każdym pięciu jeden został na placu boju.

— Na honor, karle — odezwał się inny, niski i chrapliwy głos. („Truflogon” , wyjaśnił Zuchon.) — Wszyscy walczyliśmy tak samo jak wy, a już na pewno nikt nie był lepszy od króla.

— Powiedz to moim ludziom — odpowiedział Nikabrik. — Tak czy inaczej żadna pomoc nie nadeszła i nie obchodzi mnie przyczyna: czy zadałeś w róg za późno, czy też wcale nie jest zaczarowany. A ty, wielki mędrce, wielki mistrzu magii, ty, który wiesz wszystko, czy wciąż jeszcze chcesz, żebyśmy nadal pokładali całe nasze nadzieje w Aslanie, królu Piotrze i tym podobnych bzdurach?

— Muszę przyznać... nie mogę temu zaprzeczyć... no cóż, jestem głęboko rozczarowany rezultatem całej operacji — padła odpowiedź. („To będzie Doktor Kornelius” , wyszeptał znowu Zuchon.)

— Mówiąc nieco prościej — odezwał się znowu Nikabrik — twój worek jest pusty, czyli, mówiąc jeszcze inaczej, twoje obietnice okazały się niewarte funta kłaków. Przestań się w końcu wtrącać i pozwól działać innym. I właśnie dlatego...

— Pomoc nadejdzie — usłyszeli głos Truflogona. — Ja trzymam z Aslanem. Miej trochę cierpliwości, tak jak my, zwierzęta. Pomoc nadejdzie. Może nawet jest już blisko.

— Bajdy! — warknął Nikabrik. — Wy, borsuki, chcecie nas namówić, abyśmy czekali, aż z nieba zaczną nam spadać pieczone gołąbki. Powtarzam, nie możemy czekać! Jedzenia coraz mniej, w każdym starciu ponosimy ciężkie straty, sprzymierzeńcy zaczynają nas opuszczać.

— A dlaczego? — przerwał mu Truflogon. — Powiem ci, dlaczego. Ponieważ rozeszło się między nimi, że wezwaliśmy na pomoc starożytnych królów, a ci królowie nie nadeszli. Ostatnie słowa, jakie wypowiedział Zuchon, zanim odszedł (niestety, chyba po swoją śmierć) brzmiały: „Jeżeli musicie zadać w róg, zróbcie to tak, aby armia nie wiedziała, po co to robicie i jakie w tym pokładacie nadzieje” . I tak się jakoś stało, że jeszcze tego samego wieczoru nie było w obozie nikogo, kto by o tym nie wiedział.

— Lepiej by ci było, borsuku, wsadzić swój szary ryjek w gniazdo szerszeni, niż mnie oskarżać o zbyt długi język! — krzyknął Nikabrik. — Odwołaj to albo...

— Och, przestańcie obaj! — przerwał im król Kaspian. — Chciałbym się dowiedzieć, co to właściwie znaczy, że Nikabrik bez przerwy nas krytykuje i radzi, co mamy zrobić. Ale przedtem chcę wiedzieć, kim są ci dwaj obcy, których przyprowadził na naszą naradę. Ci, co tam stoją, milczą i bacznie się wszystkiemu przysłuchują.

— To moi przyjaciele — powiedział Nikabrik. — A jakie ty masz prawo, aby tu być, prócz tego, że jesteś przyjacielem Zuchona i borsuka? A jakie ma do tego prawo ten stary ramol w czarnej todze? Dlaczego ja jeden nie miałbym przyprowadzić tu swoich przyjaciół?

— Jego wysokość jest królem, któremu przysiągłeś wierność — odpowiedział Truflogon z powagą.

— Dworska gadanina! — warknął Nikabrik. — Tu, w tej dziurze, możemy porozmawiać szczerze. Wiesz dobrze, że ten telmarski chłopiec nie będzie królem niczego i nikogo w ciągu tygodnia, jeżeli nie pomożemy mu wydostać się z pułapki, w jaką sam się wpakował. I on sam dobrze o tym wie.

— A może — rozległ się głos Korneliusa — twoi nowi przyjaciele zechcieliby sami mówić za siebie? Hej, wy, kim jesteście?

— Czcigodny mistrzu — odezwał się cienki, skamlący głos — racz mnie wysłuchać. Jestem tylko starą, biedną kobieciną, wielce zobowiązaną jego czcigodnej karłowatości za przyjaźń, którą mnie obdarza, to rzecz pewna. Jego królewska wysokość, niech nam długo jaśnieje jego piękna buzia, nie ma potrzeby obawiać się starej kobiety, zgiętej w pół przez reumatyzm i nie mającej nawet paru patyczków, żeby je wsadzić pod swój kociołek. Znam parę drobnych zaklęć... oczywiście nie mogę się równać z tobą, mistrzu Doktorze... których bym chętnie użyła przeciw naszym wrogom, jeśli tylko *zgodzą* się na to wszyscy, którzy mają tu coś do powiedzenia. Bo ja ich nienawidzę! O tak. Nie ma nikogo, kto by nienawidził bardziej ode mnie.

— To wszystko jest bardzo interesujące i... hm... wystarczające — powiedział Doktor Kornelius. — Chyba już teraz wiem, kim jesteś, pani. A teraz może twój drugi przyjaciel, Nikabriku, powie nam coś o sobie?

Rozległ się głuchy, ponury głos, na dźwięk którego Piotrowi ścierpła skóra.

— Jestem głód. Jestem pragnienie. To, co ugryzę, trzymam, aż umrę, a nawet po mojej śmierci muszą wyciąć z ciała naszego wroga to, co złapałem, i pochować razem ze mną. Mogę pościć sto lat i nie zdechnę. Mogę leżeć sto nocy na lodzie i nie zmarznę. Mogę wypić rzekę krwi i nie pęknię. Pokażcie mi waszych wrogów.

— I właśnie w obecności tych dwojga chcesz nam wyjawić swój plan? — zwrócił się Kaspian do Nikabrika.

— Tak. I przy ich pomocy chcę go urzeczywistnić. W ciągu najbliższej minuty, albo i dwu, Zuchon i chłopcy słyszeli tylko przyciszone głosy Kaspiana i jego dwu przyjaciół, tak stłumione, że nie mogli niczego zrozumieć. Potem Kaspian znów przemówił głośno:

— A więc dobrze, Nikabriku. Posłuchamy twojego planu.

Teraz zapanowała cisza, tak długa, że chłopcy zaczęli się już zastanawiać, czy Nikabrik w ogóle ma zamiar przemówić, a kiedy przemówił, jego głos był cichszy niż przedtem, jakby sam bał się tego, co miał powiedzieć.

— Biorąc pod uwagę wszystko to, co już powiedziano i co się zdarzyło, nikt z nas nie zna prawdy o dawnych czasach, Zuchon nie wierzył w żadną z tych opowieści. Byłem jednak gotów je sprawdzić. Spróbowaliśmy najpierw z tym rogiem i nic z tego nie wyszło. Jeżeli kiedykolwiek był rzeczywiście Wielki Król Piotr i królowa Zuzanna, i król Edmund, i królowa Łucja, to albo nas nie usłyszeli, albo nie mogą przyjść, albo są naszymi wrogami...

— Albo są w drodze — przerwał mu Truflogon.

— Będziesz to powtarzać dotąd, aż Miraż nakarmi nami swoje psy. Jak powiedziałem, wypróbowaliśmy jedno ogniwo w łańcuchu starych legend i nie wyszło to nam na dobre. Tak... Ale kiedy w boju złamie się miecz, wyciąga się sztylet. Te opowieści mówią również o innych potęgach, oprócz starożytnych królów i królowych. A może by teraz wezwać na pomoc TE SIŁY?

— Jeżeli masz na myśli Aslana — powiedział Truflogon — to nie ma różnicy, czy wzywa się jego czy królów. Oni mu służyli. Jeżeli ich do nas nie przyśle (ale jestem całkowicie pewien, że to zrobi), to tym bardziej sam nie przyjdzie.

— Tu się z tobą zgadzam — powiedział Nikabrik. — Aslan i królowie przychodzą razem. A więc albo sam Aslan jest już martwy, albo też wcale nie jest po naszej stronie. A może być i tak, że jest

coś silniejszego od niego, co nie pozwala mu przyjść. A jeśli nawet przybędzie, skąd mamy wiedzieć, że przybędzie jako nasz przyjaciel? Po tym, co o nim wiemy, można sądzić, że nie zawsze był największym przyjacielem karłów czy zwierząt. Zapytajcie wilków. W każdym razie wszyscy mówią, że był w Narnii tylko raz i długo w niej nie pozostał. Na Aslanie można się zawieść. Myślę o kimś innym.

Nie było żadnej reakcji na jego słowa, przez kilka minut panowała taka cisza, że Edmund wyraźnie słyszał świszczący i chrapliwy oddech borsuka.

— Kogo masz na myśli? — odezwał się w końcu Kaspian.

— Mam na myśli potęgę większą od Aslana, potęgę tak wielką, że jeśli tylko dawne opowieści mówią prawdę, to właśnie ona trzymała w zakłębieniu całą Narnię przez sto lat.

— Biała Czarownica? — krzyknęły jednocześnie trzy głosy, a po hałasie, jaki im towarzyszył, Piotr poznał, że cała trójka przyjaciół skoczyła na równe nogi.

— Tak — powiedział Nikabrik bardzo powoli i bardzo uroczyście. — Mam na myśli Czarownicę. Usiądźcie z powrotem. Przestraszyliście się samego imienia, jakbyście byli dziećmi. Potrzebujemy siły, potrzebujemy potęgi, która by stanęła po naszej stronie. Jeśli chodzi o siłę, to czy stare opowieści nie mówią o tym, że Czarownica zwyciężyła Aslana, związała go i zabiła na tym właśnie Kamieniu, tym, który stoi tam, za nami, za kręgiem światła lampy?

— Ale te same opowieści mówią też, że ożył ponownie — powiedział ostro borsuk.

— Tak, MÓWIĄ — odpowiedział Nikabrik — ale warto zauważyć, że nie mówią nic o tym, co zrobił potem. Po prostu znika nagle ze starych opowieści. Jak to wyjaśnić, jeśli naprawdę ożył? Czy nie oznacza to raczej, że wcale nie ożył i że opowieści nie wspominają o nim więcej, ponieważ nie było już nic do wspominania?

— To on ustanowił królów i królowe — odezwał się Kaspian.

— Król, który wygra bitwę, może objąć królestwo w posiadanie bez pomocy jakiegoś zaczarowanego lwa — odrzekł Nikabrik. Rozległ się dziwny, wściekły bulgot, świadczący prawdopodobnie o reakcji Truflogona.

— A zresztą — ciągnął Nikabrik — co przyszło z królów i ich panowania? Oni również gdzieś zniknęli. Inaczej się ma rzecz z Czarownicą. Mówią, że panowała przez sto lat, sto lat zimy. Oto jest potęga, jeśli mam być szczerzy. Oto jest coś konkretnego.

— Ależ, na niebo i ziemię! — zawołał Kaspian. — Czyż nie mówiono nam zawsze, że to właśnie ona była naszym największym wrogiem? Czy to nie ona była tyranem dziesięć razy gorszym od Miraza?

— Być może — odparł chłodno Nikabrik. — Być może BYŁA tyranem, przynajmniej dla was, ludzi, jeżeli w ogóle byli jacyś ludzie w tamtych czasach. Być może była okrutna dla niektórych zwierząt. Wytepiła bobry, w każdym razie nie ma ich teraz w Narnii. Ale wobec nas, karłów, była zawsze w porządku. A ja jestem karłem i dobro mojego ludu jest dla mnie najważniejsze. MY nie lękamy się Czarownicy.

— Ale przyłączyliście się do nas — powiedział Truflogon.

— Tak, i zrobiliśmy prócz tego mnóstwo innych rzeczy — wycedził Nikabrik. — Kogo się posyła na wszystkie niebezpieczne wypadki? Karły. Komu się obcina racje, kiedy nie starcza żywności? Karłom. Kto...

— Kłamstwa! To wszystko są kłamstwa! — krzyknął borsuk.

— I dlatego — mówił Nikabrik, a jego głos przeszedł teraz w pisk — jeżeli nie możecie zrobić niczego dla moich ludzi, udam się do kogoś, kto może.

— Czy to otwarta zdrada, karle? — zapytał król Kaspian.

— Schowaj ten miecz z powrotem do pochwy, Kaspianie — powiedział Nikabrik. — Mord podczas narady, tak? To w twoim stylu? Nie bądź aż tak głupi, by tego próbować. Myślisz, że się ciebie boję? Jest was trzech i nas jest troje.

— A więc chodź, spróbuj — warknął Truflogon, ale przerwał mu głos Doktora Korneliusa.

— Przystańcie! Przystańcie! Czy nie za daleko się posuwacie? Czarownica nie żyje. Wszystkie opowieści są co do tego zgodne. Co miała na myśli Nikabrik, kiedy mówił o jej wezwaniu?

Ponury, straszny głos, który odezwał się dotąd tylko raz, zapytał:

— Och, nie żyje? Jesteś pewien?

A potem zabrzmiał piskliwy, skamlący głos:

— Och, słodkie serduszko, moja kochana, maleńka królewska wysokość nie musi się martwić o to, że Biała Pani, tak MY ją nazywamy, nie żyje. Czcigodny pan Doktor tylko sobie kpi z takiej biednej, starej kobieciny jak ja, kiedy mówi takie rzeczy. Mój słodziutki panie Doktorze, uczony panie Doktorze, czy ktoś kiedykolwiek słyszał, żeby jakaś czarownica naprawdę umarła? Zawsze można ją sprowadzić z powrotem.

— Wezwij ją — zabrzmiał ponury głos. — Jesteśmy gotowi. Zakreśl krąg. Przygotuj błękitny ogień.

Ponad wzbierający na sile ryk borsuka i ostry okrzyk Korneliusa „Co!” wzbil się potężny głos króla Kaspiana:

— A więc taki jest twój plan, Nikabriku? Czarna Magia i wezwanie na pomoc przeklętego ducha? Wiem już, kim są twoi przyjaciele. To wiedźma i wilkołak!

Rozległ się ryk zwierzęcia i szczęk stali. Zuchon i chłopcy wpadli do środka. Piotr zobaczył straszną, wychudłą istotę, pół-człowieka i pół-wilka, jak skacze na chłopca w jego wieku; Edmund ujrzał borsuka i karła toczących się po podłodze w zażartej walce. Zuchon znalazł się naprzeciw wiedźmy. Jej nos i broda przypominały obcegi, szare włosy rozwiały się wokół twarzy, a długie palce zaciskały się na szyi Doktora Korneliusa. Rozległ się świst miecza Zuchona i głowa wiedźmy potoczyła się po podłodze. Potem ktoś przewrócił lampę i wszystko zamieniło się w płataninę mieczy, zębów, pazurów, pięści i obcasów. Trwało to około minuty. Potem zapanowała cisza.

— Edmundzie, żyjesz? — rozległ się wreszcie głos Piotra.

— Chyba tak — wysapał Edmund. — Mam tu tego Nikabrika, ale wciąż jeszcze jest żywy.

— Na kufry i konwie! — usłyszeli zduszony, wściekły głos. — To nie Nikabrik, to JA! Siedzisz na MNIE! Jesteś ciężki jak młody słoń!

— Bardzo cię przepraszam, KMP Teraz już lepiej?

— Auuu! Nie! — zawył Zuchon. — Wpychasz mi obcas w usta!

— Czy jest tu gdzieś król Kaspian? — zapytał Piotr.

— Jestem tutaj — dobiegł ich słaby głos. — Coś mnie ugryzło.

Rozległ się trzask zapalanej zapalniczki. To był Edmund. Płomień oświetlił jego twarz, bladą i brudną. Rozejrzał się dookoła, znalazł świecę (lampa była już bezużyteczna, bo wylała się z niej oliwa), zapalił ją i postawił na stole. W półmroku kilka postaci podniosło się na nogi. Sześć twarzy patrzyło na siebie, mrugając i dysząc ciężko.

— Chyba nie ma już wśród nas wrogów — powiedział Piotr. — Tu jest wiedźma, martwa — szybko odwrócił od niej spojrzenie — tu Nikabrik, też martwy. A to, jak mi się zdaje, jest wilkołak. Dawno już żadnego nie widziałem. Głowa wilka i ciało człowieka. To znaczy, że właśnie przemieniał się z człowieka w wilka, kiedy dosięgła go śmierć. A ty, jak sądzę, jesteś królem Kaspianem?

— Tak — odpowiedział młodzieniec. — Ale nie mam pojęcia, kim ty jesteś.

— To Wielki Król, król Piotr — powiedział Zuchon.

— Witam waszą wysokość — odezwał się Kaspian.

— A ja witam wysokość waszą. Jak wiesz, nie przyszedłem tu, aby zająć twoje miejsce, lecz po to, aby ci pomóc je odzyskać.

— Najjaśniejszy panie! — rozległ się inny głos, tuż pod łokciem Piotra. Odwrócił się i zobaczył borsuka. Pochylił się, uściskał go i pocałował w czoło. Nie było w tym nic dziecinnego — był przecież Wielkim Królem.

— Najdzielniejszy z borsuków — powiedział.

— Nigdy w nas nie zwątpieś.

— Nie ma w tym mojej zasługi, miłościwy panie

— rzekł Truflogon. — Jestem zwierzęciem, a my się nie zmieniamy. A w dodatku jestem borsukiem, a my trzymamy się mocno.

— Żal mi Nikabrika — powiedział Kaspian. — Wiem, że nienawidził mnie od pierwszej chwili, w której mnie zobaczył. Myślę, że jego serce zgorzkniało zupełnie od długiego cierpienia i nienawiści. Gdybyśmy szybciej odnieśli zwycięstwo, mógłby się stać dobrym karłem w czasach pokoju. Nie wiem, kto z nas go zabił. I cieszę się z tego, że nie wiem.

— A ty krwawisz — powiedział Piotr.

— Tak, ten... to wilcze stworzenie mocno mnie ugryzło.

Oczyszczenie i zabandażowanie rany trwało dość długo, a kiedy skończyli, Zuchon powiedział:

— No, a teraz, zanim zrobimy cokolwiek, musimy zjeść śniadanie.

— Tylko nie tutaj — powiedział Piotr.

— Nie — zgodził się Kaspian i wstrząsnął się z obrzydzeniem. — Trzeba zabrać stąd te zwłoki.

— Niech zakopią to robactwo w jakiejś dziurze — dodał Piotr. — Prócz karła; jego ciało oddamy jego towarzyszom, aby je pochowali zgodnie ze swymi zwyczajami.

Zjedli śniadanie w jednej z ciemnych komór Kopca Aslana. Nie był to posiłek, za jakim tęsknili, bo Kaspian i Kornelius marzyli o pasztecie z sarniny, a Piotr i Edmund o jajecznicy na maśle i gorącej kawie, ale każdy dostał kawałek zimnego niedźwiedziego mięsa (z kieszeni chłopców), kawałek twardego sera, cebulę i garnek wody. Sądząc jednak po tym, jak czuli się po śniadaniu, można by pomyśleć, że było wspaniałe.

Rozdział 13

POD WODZĄ WIELKIEGO KRÓLA

— A TERAZ MUSIMY SIĘ NARADZIĆ — powiedział Piotr, gdy skończyli śniadanie. — Aslan i dziewczynki (to znaczy królowa Zuzanna i królowa Łucja, Kaspianie) są gdzieś w pobliżu. Nie wiemy, kiedy Lew zacznie działać. Trudno to w ogóle przewidzieć. Tymczasem musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy. Mówisz, Kaspianie, że nasze siły są za małe, aby stawić czoło Mirażowi w otwartej bitwie?

— Obawiam się, że nie mamy szans, miłościwy panie — odpowiedział Kaspian. Bardzo Piotra polubił, ale wciąż czuł się trochę onieśmielony. Spotkanie z wielkimi królami z pradawnych czasów było dla niego czymś o wiele bardziej niezwykłym niż dla nich spotkanie z nim.

— A więc dobrze — powiedział Piotr. — Przekażemy mu wyzwanie na pojedynek.

Nikommu nie przyszło to wcześniej do głowy.

— Miłościwy panie — rzekł Kaspian — czy tym, kto zmierzy się z Mirażem, nie mógłbym być właśnie ja? Chcę pomścić mojego ojca.

— Ty jesteś ranny — odpowiedział Piotr. — A oprócz tego, czy nie sądzisz, że może wyśmiać twoje wyzwanie? Wiemy, że jesteś królem, i widzieliśmy cię w walce, ale Miraż wciąż uważa cię za chłopca.

— Pozwól mi coś powiedzieć, panie — odezwał się borsuk, który siedział blisko Piotra i przez cały czas nie spuszczał z niego oka. — Czy on w ogóle przyjmie wyzwanie, nawet od ciebie? Przecież wie, że jego armia jest silniejsza.

— Prawdopodobnie nie przyjmie — powiedział Piotr — ale jakaś szansa zawsze istnieje. A nawet jeśli odmówi, zyskamy na czasie, wymieniając między sobą poselstwa, zastanawiając się nad odpowiedzią i tak dalej. A w tym czasie Aslan może coś zrobić. A jeśli nie, to w każdym razie będę miał czas na dokonanie przeglądu armii i umocnienie pozycji. A więc wyślę posłów z wyzwaniem. Trzeba je napisać od razu. Doktorze Korneliusie, czy masz atrament i pióro?

— Uczony nigdy się z nimi nie rozstaje, wasza wysokość — odpowiedział Kornelius.

— Świetnie, a więc będę dyktował.

Doktor wydobył kawałek pergaminu i otworzył rożek z atramentem. Gdy ostrzył pióro, Piotr odchylił się do tyłu z zamkniętymi oczami, próbując sobie przypomnieć język, jakim zwykle pisało się takie rzeczy w Narnii dawno temu.

— A więc dobrze — powiedział wreszcie. — Jesteś gotów, Doktorze?

Doktor Kornelius zanurzył pióro w kałamarzu i czekał. Piotr zaczął dyktować:

— „Piotr, z woli Aslana, z wyboru, mocą prawa i mocą swego zwycięstwa Król Najwyższy nad wszystkimi królami Narnii, Cesarz Samotnych Wysp i Pan na Ker-Paravelu, Kawaler Szlachetnego Orderu Lwa, Mirażowi, synowi Kaspiana Ósmego, w swoim czasie Wielkiemu Opiekunowi Narnii, a teraz pretendentowi do tronu Narnii, śle pozdrowienia” . Zapisalesz to?

— ...Narnii, przecinek, śle pozdrowienia — zamruczał Doktor. — Tak, zapisałem.

— A więc od nowego wiersza:

„Pragnąc powstrzymać dalszy rozlew krwi i uchronić kraj od wszystkich innych kłesk i niewygód, niechybnie czekających nasze królestwo Narnii, gdyby rozgorzał jeszcze bardziej płomień rozpoczętej już wojny, zechcieliśmy podnieść nasze królewskie ramię w obronie naszego wiernego i umiłowanego Kaspiana i w uczciwym, zgodnym z rycerskim obyczajem pojedynku z Waszą Wielmożnością wykazać, iż rzeczony Kaspian jest prawowitym królem Narnii tak na mocy naszej łaski, jak i na mocy praw Telmarów, natomiast Wasza Wielmożność jest winien podwójnej zdrady, tak przez zagarnięcie tronu Narnii należącego się rzeczonemu Kaspianowi, jako i przez najbardziej odrażający i nieludzki” — nie zapomnij, że „nieludzki” pisze się razem — „krwawy mord dokonany na Waszym szlachetnym panie i bracie, królu Kaspianie, Dziewiątym tego imienia. Dlatego też, będąc głęboko poruszeni w sercu naszym tymi niegodziwościami, wyzywamy Waszą Wielmożność na świętą walkę, jeden przeciw jednemu, i przesyłamy Wam ten list rękoma naszego umiłowanego i królewskiego brata Edmunda, niegdyś posłusznego nam Króla Narnii, Księcia Latarnianego Pustkowiec i Margrabiego Zachodniej Marchii, Kawalera Szlachetnego Orderu Stołu, któremu też udzielamy wszelkich pełnomocnictw do ustalenia z Waszą Wielmożnością warunków rzeczzonego pojedynku.

Dan w naszej kwaterze w Kopcu Aslana, dwunastego dnia miesiąca Zieleni, w pierwszym roku panowania Kaspiana Dziesiątego, prawdziwego króla Narnii” .

— To powinno wystarczyć — dodał Piotr, biorąc głęboki oddech. — A teraz musimy wybrać

jeszcze dwóch, aby towarzyszyli królowi Edmundowi w poselstwie. Myślę, że jednym z nich powinien być olbrzym.

— Ale on... on nie jest zbyt mądry — powiedział Kaspian.

— Wiem o tym — przerwał mu Piotr. — Ale każdy olbrzym zawsze sprawia duże wrażenie, jeśli tylko zachowuje się spokojnie. No, i to go trochę podniesie na duchu. Kto będzie drugi?

— Jeżeli chcesz kogoś, kto może zabić samym spojrzeniem — wtrącił się Zuchon — to Ryczypisk byłby najlepszy.

— Z tego wszystkiego, co o nim słyszałem, na pewno tak — powiedział Piotr, krztusząc się ze śmiechu — gdyby tylko nie był taki mały. Nawet go nie zobaczą, dopóki nie będzie bardzo blisko.

— A więc wyślij Gromojara, mój panie — powiedział Truflogon. — Nikt jeszcze nie śmiał się z centaury.

W godzinę później dwaj możni dowódcy armii Miraza, hrabia Podlizar i hrabia Sobiepan, przechadzający się wzdłuż pierwszych linii i wydłubujący resztki śniadania z zębów, dostrzegli zbliżające się ku nim od strony lasu poselstwo: centaury i olbrzyma Świdrogrzmota, których już widzieli przedtem na polu bitwy, a pomiędzy nimi postać, której nie mogli rozpoznać. Jestem pewien, że szkolni koledzy Edmunda również nie poznaliby go w tej chwili, gdyby tylko mogli go zobaczyć, tak wielkiej powagi i męstwa dodała mu zbroja, okoliczności — a przede wszystkim magiczny oddech Aslana.

— Co to ma znaczyć? — odezwał się hrabia Podlizar. — Czy to atak?

— Raczej parlamentariusze — powiedział Sobiepan. — Zobacz, niosą zielone gałęzie. Daję głowę, że przychodzą, aby się poddać.

— Ten, który idzie między centaurami i olbrzymem, wcale nie wygląda na takiego, co chce się poddać — zauważył Podlizar. — Kto to może być? To nie jest ten mały Kaspian.

— Nie, z pewnością nie — zgodził się Sobiepan. — To prawdziwy rycerz, nie ma co. Skąd ci buntownicy go wytrzasnęli? Między nami mówiąc, nie da się ukryć, że wygląd ma bardziej królewski niż nasz Miraż. I co za zbroja! Żaden z naszych płatnerzy nie potrafiłby takiej wykuć.

— Stawiam mego nakrapianego Srokacza, że nie przybywa, aby się poddać, ale po to, aby rzucić rękawicę.

— Jakże to? — zdziwił się Sobiepan. — Trzymamy ich w garści. Miraż nie byłby taki głupi, żeby tracić całą swoją przewagę, godząc się na pojedynek.

— Hm, może być do tego zmuszony — powiedział Podlizar, zniżając głos.

— Ciszej! — wpadł mu w słowo Sobiepan. — Odejdźmy trochę od tych wartowników. No więc, czy dobrze zrozumiałem waszą hrabiowską mość?

— Jeżeli król podejmie wyzwanie — wyszeptał Podlizar — to cóż, albo on zabije przeciwnika, albo sam zginie.

— I co? — zapytał Sobiepan, nadstawiając ucha.

— A jeśli to on zabije, to my wygramy tę wojnę.

— To jasne. A jeśli nie?

— No cóż, jeśli nie, to wygramy ją bez królewskiej łaski równie dobrze, jak z nią. Nie muszę chyba tłumaczyć waszej mości, że Miraż nie jest wielkim wodzem. A potem będziemy zwycięzcami bez króla.

— I, jeśli dobrze rozumiem waszą hrabiowską mość, nas dwóch będzie mogło trzymać w garści ten kraj równie łatwo bez króla, jak z królem?

Twarz Podlizarza wykrzywił niemiły grymas.

— Nie zapominajmy, że to właśnie my wprowadziliśmy go na tron. A przez te wszystkie lata, w

których cieszył się berłem i koroną, jaką mieliśmy z tego korzyść? Czym się nam odplacił?

— Nie musisz więcej mówić — odpowiedział Sobiepan. — Ale spójrz, Miraż wzywa nas do siebie. Kiedy doszli do królewskiego namiotu, zastali Edmunda i jego towarzyszy siedzących na zewnątrz i podejmowanych winem i ciastkami. List został już doręczony królowi, który oznajmił, że musi mieć trochę czasu na rozważenie jego treści. Przyjrzeni się wszystkim trzem posłom uważnie i to, co zobaczyli, wcale ich nie uspokoiło.

Miraż siedział bez zbroi w namiocie i kończył śniadanie. Twarz miał spoconą, a czoło zachmurzone.

— Spójrzcie tylko! — krzyknął, ciskając pergamin przez stół. — Spójrzcie, co za bzdury z opowieści starej niani ośmiela się nam przysyłać ten zarozumialec, nasz siostrzeniec!

— Za pozwoleniem, wasza królewska mość — powiedział Podlizar. — Jeżeli ten młody rycerz, którego dopiero co widzieliśmy przed namiotem, jest królem Edmundem, o którym się wspomina w liście, to trudno go nazwać bzdurą z opowieści starej niani. Wygląda na bardzo groźnego przeciwnika.

— Król Edmund, też mi coś! — warknął Miraż. — Czy wasza hrabiowska mość też wierzy w te babskie bajeczki o Piotrze, Edmundzie i całej reszcie?

— Muszę wierzyć swoim oczom, wasza królewska mość.

— No cóż, nie widzę powodu, abyśmy się mieli o to spierać — powiedział Miraż — ale jeśli chodzi o wyzwanie, to żywię nadzieję, że mamy jedno zdanie?

— Sądzę, że tak, miłościwy panie — odpowiedział Podlizar.

— I jakie jest wasze? — zapytał król.

— Niewątpliwie trzeba wyzwanie odrzucić — powiedział Podlizar. — Nikt jeszcze nie nazwał mnie tchórzem, ale muszę wyznać, że nie znajduję w swym sercu tyle odwagi, by stawić czoło temu młodzieńcowi. A jeśli, na co mi wygląda, jego brat, Wielki Król, jest jeszcze groźniejszy od niego, to, na twe życie, panie mój i królu, nie masz się co z nim mierzyć.

— A niech cię zaraza pochłonie! — ryknął Miraż. — Nie takiej rady oczekiwałem. Czy myślicie, że wezwałem was po to, aby się dowiedzieć, czy mam się lękać tego Piotra (jeśli w ogóle taki istnieje)? Myślicie, że się go boję? Chciałem waszej rady co do taktyki, jaką powinniśmy zastosować, a mianowicie, czy warto ryzykować w takiej walce przewagę, którą już mamy.

— Na co mogę odpowiedzieć tylko jedno, wasza królewska mość — powiedział Podlizar — a mianowicie, że jest wiele powodów, aby to wyzwanie odrzucić. W twarzy tego dziwnego rycerza czai się groza śmierci.

— A ten znów swoje! — zawołał Miraż, porządnie już rozgniewany. — Czyżbyś chciał wykazać, że jestem takim tchórzem jak ty?

— Wasza królewska mość ma prawo mówić, co zechce — odpowiedział Podlizar obrażony.

— Mówisz jak stara baba, Podlizarze — powiedział król. — A jakie jest twoje zdanie, hrabio Sobiepanie?

— Nie przyjmuj wyzwania, panie — padła odpowiedź. — A to, co wasza królewska mość nazywa taktyką przewagi, będzie bardzo użyteczne. Daje to waszej królewskiej mości wyśmienity pretekst do odmowy pojedynku bez narażania dobrego imienia i honoru.

— Wielkie nieba! — wrzasnął Miraż, podrywając się od stołu. — Czy CIEBIE też dziś coś opętało? Czy myślisz, że SZUKAM pretekstów do odmowy? Równie dobrze mógłbyś mnie nazwać tchórzem.

Rozmowa toczyła się dokładnie w tym kierunku, jakiego sobie życzyli dwaj telmarscy panowie, nie powiedzieli więc nic.

— Widzę, co to wszystko oznacza — powiedział Miraż, wpatrując się w nich tak, jakby mu za chwilę oczy miały wyskoczyć z orbit. — Sami jesteście tchórzliwi jak zające i macie czelność przykładać swoją miarę do mojego serca! Preteksty do odmowy, też mi coś! „Przepraszam, ale nie walczę!” Czy nie jesteście żołnierzami? A jeśli rzeczywiście odmówię (co nakazywałyby wymogi taktyki wojennej), będziecie uważać i innym to wmawiać, że stchórzyłem? Czy nie o to wam chodzi?

— Żaden rozsądny żołnierz — powiedział Podlizar — nie nazwie tchórzem mężczyzny w wieku waszej królewskiej mości, jeśli ten odmówi walki z tak groźnym rycerzem w kwiecie wieku.

— A więc według was jestem starym niedołęgą, stojącym jedną nogą w grobie? — zagrział Miraż. — Powiem wam, do czego to wszystko prowadzi, moi panowie. Wasze babskie rady — haniebne nawet z jedynie rozsądnego punktu widzenia, a więc z punktu widzenia taktyki i polityki — wywołały skutek całkowicie odmienny od tego, o jaki wam chodziło. Chciałem odrzucić to wyzwanie. Ale przyjmę je. Słyszycie, przyjmuję je! Nie pozwolę się zhańbić tylko dlatego, że jakiś urok — albo i jad zdrady — zatrzał wam krew.

— Zaklinamy waszą królewską mość... — zaczął Podlizar, ale Miraż wyleciał z namiotu i natychmiast usłyszeli jego wrzask, gdy oznajmiał Edmundowi, że przyjmuje wyzwanie.

Dwaj telmarscy panowie spojrzeli na siebie i zachichotali cichutko.

— Wiedziałem, że to zrobi, jeśli tylko odpowiednio się go podbechta — powiedział Podlizar. — Nigdy jednak nie zapomnę, że nazwał mnie tchórzem. Zapłaci mi za to.

Wielkie było poruszenie w Kopcu Aslana, kiedy wieść o pojedynku rozeszła się wśród leśnych stworzeń. Pod nadzorem Edmunda i jednego z dowódców Miraza wytyczono szranki i ogrodzono je linami. Zgodnie z umową każda strona miała wyznaczyć po trzech mistrzów turnieju: dwóch w rogach i jednego w środku szranków. Piotr tłumaczył właśnie Kaspianowi, że nie może wystąpić w tej roli, bo to o jego prawo do tronu toczyć się będzie walka, gdy nagle rozległ się gruby, nieco zaspany głos:

— Wasza wysokość, wasza wysokość...

Piotr odwrócił się i zobaczył najstarszego z Trzech Brzuchatych Niedźwiedzi.

— Jeżeli wasza wysokość pozwoli, to się przedstawię. Jestem niedźwiedź.

— To nie ulega wątpliwości, i w dodatku z pewnością dobry niedźwiedź — powiedział Piotr.

— Tak. I my, niedźwiedzie, zawsze mieliśmy prawo wystawiania jednego z mistrzów turnieju.

— Nie słuchaj go, miłościwy panie — szepnął Zuchon. — To dobre stworzenie, ale przyniesie nam wstyd. Zaśnie i będzie ssał łapę na oczach wszystkich naszych wrogów. Nie robi mu to żadnej różnicy.

— Nie mogę tego uczynić — odpowiedział mu cicho Piotr. — On ma rację. Niedźwiedzie zawsze miały ten przywilej. Nie mogę tylko pojąć, jak pamięć o tym dochowała się przez tyle lat, choć o tak wielu innych rzeczach zapomniano.

— Miłościwy panie — zamruczał niedźwiedź.

— To wasze prawo — powiedział Piotr. — Tak więc mianuję cię jednym z mistrzów turnieju. Ale musisz pamiętać, żeby nie ssać łapy w szrankach.

— Ależ, miłościwy panie — zamruczał niedźwiedź z wyrzutem w głosie.

— A co robisz w tej chwili? — ryknął Zuchon. Niedźwiedź szybko wyjął pazury z pyska i udawał, że niczego nie słyszał.

— Panie! — odezwał się cienki głosik gdzieś z trawy.

— Ach Ryczypisk! — zawołał Piotr, rozglądając się wokoło, jak to zwykle robią ludzie, gdy mówi do nich mysz.

— Panie! Oddałem życie na twoje rozkazy, ale mój honor należy do mnie. Panie, mam wśród swoich ludzi jedynego trębacza w całej armii waszej królewskiej mości, myślałem więc, że to my zostaniemy wysłani z poselstwem. Panie, moi ludzie są bardzo niezadowoleni. Gdybyś raczył mnie mianować mistrzem turnieju, może by ich to podniosło na duchu.

W tym momencie gdzieś z wysoka rozległ się hałas, przypominający wiosenny grzmot: to olbrzym Świdrogrzmot wybuchnął jednym z tych nie bardzo mądrych śmiechów, do których przyjemniejsze rodzaje olbrzymów są tak skore. Opanował się jednak natychmiast i spoważniał, zanim Ryczypisk odkrył, skąd pochodził hałas.

— Obawiam się, że to niemożliwe — powiedział Piotr z powagą. — Niestety, niektórzy ludzie boją się myszy...

— Zauważyłem to nieraz — wtrącił skromnie Ryczypisk.

— ...i byłoby nie bardzo uczciwie wobec Miraza — ciągnął Piotr — gdybyśmy postawili w zasięgu jego wzroku kogoś, kto mógłby obniżyć próg jego odwagi.

— Wasza królewska mość jest zwierciadłem rycerskiego honoru — powiedział Ryczypisk, składając jeden ze swoich najwspanialszych ukłonów. — Cieszę się, że mamy wspólne zdanie w tej sprawie... Zdawało mi się, że przed chwilą usłyszałem czyjś śmiech. Jeżeli ktoś z obecnych pragnie uczynić mnie przedmiotem swoich kpin, jesteśmy do jego usług, ja i mój miecz, kiedykolwiek znajdzie chwilę wolnego czasu.

Zapanowała śmiertelna cisza, którą przerwał głos Piotra:

— Olbrzym Świdrogrzmot, niedźwiedź i centaur Gromojar będą naszymi mistrzami szranków. Pojedynek zacznie się o drugiej po południu. Obiad w samo południe!

— Myślę, Piotrze — powiedział Edmund, kiedy szli razem do Kopca — że wszystko JEST tak, jak być powinno. To znaczy, mam nadzieję, że możesz go zwyciężyć?...

— Będziemy walczyć właśnie po to, aby się o tym przekonać — odpowiedział Piotr.

Rozdział 14 WSZYSCY SĄ BARDZO ZAJĘCI

TUZ PRZED GODZINĄ DRUGĄ Zuchon, borsuk i cała reszta Starych Narnijczyków zasiedli na skraju lasu, mając przed sobą w dole, w odległości dwu strzałów z łuku, połyskujące w słońcu szeregi armii Miraza. W samym środku, w miejscu, gdzie teren był płaski i równy, wyznaczono palikami i linami prostokąt, w którym miał się odbyć pojedynek. Przy dwu dalszych rogach stanęli z obnażonymi mieczami hrabiowie Podlizar i Sobiepan, a w bliższych rogach zajęli miejsca olbrzym Świdrogrzmot i Brzuchaty Niedźwiedź, który pomimo wszystkich próśb i gróźb pochłonięty był całkowicie ssaniem pazurów i, mówiąc szczerze, wyglądał bardzo głupio. Za to Gromojar stojący w środku nieruchomo, jeśli nie liczyć krótkich ruchów kopyt, rozgarniających od czasu do czasu murawę, wyglądał o wiele bardziej imponująco niż telmarski baron, stojący również w środku, tyle że po lewej stronie. Piotr uściśnął bez słowa rękę Edmundowi i Doktorowi i schodził teraz powoli po zboczu, gotów do walki. Była to chwila niezwykłego napięcia, jak oczekiwanie na strzał przed startem do jakiegoś ważnego wyścigu, tyle że stawka tych zawodów była o wiele, wiele poważniejsza.

— Jakby to było dobrze, gdyby Aslan pojawił się, zanim do tego doszło — powiedział Zuchon.

— Tak, i ja o tym myślałem — zgodził się Truflogon. — Ale spójrz za siebie!

— Na wrony i wapory! — zdumiał się karzeł, gdy tylko się odwrócił. — Cóż to takiego? Cóż to za olbrzymy, cudowne olbrzymy, jakby leśne bożki i boginki... Jest ich mnóstwo, setki, tysiące... Kim oni są?

— To driady, hamadriady i sylwany — odpowiedział Truflogon. — Aslan je przebudził.

— Wielka to będzie pomoc, jeśli tylko wróg spróbuje jakichś zdradzieckich sztuczek. Ale, niestety, nie pomoże to Wielkiemu Królowi, jeżeli Miraż okaże się tym, który lepiej włada mieczem.

Borsuk nic na to nie odpowiedział, bo oto Piotr i Miraż wchodzili już w szranki z dwu przeciwnych stron, obaj pieszo, w kolczugach, w hełmach i z tarczami. Podeszli do siebie, wymienili ukłony i wyglądało na to, że coś do siebie mówią, choć z tej odległości trudno było cokolwiek usłyszeć. W chwilę później dwa miecze błysnęły w słońcu, dał się słyszeć szcęk żelaza, ale natychmiast zagłuszyła go wielka wrzawa, ponieważ obie armie zaczęły wznosić okrzyki jak tłum na meczu piłkarskim.

— Dobrze! Och, Piotrze, wyśmienicie! — zawołał Edmund, kiedy zobaczył, jak Miraż cofa się o krok, a potem jeszcze o pół kroku. — Naprzód! Za ciosem! — Piotr natarł jeszcze raz i przez chwilę wydawało się, że walka zaraz się skończy. Ale Miraż wytrzymał atak, zebrał się w sobie i zaczął robić właściwy użytek ze swojego wzrostu i wagi.

— Mi-raz! — Mi-raz! Nasz król! Nasz król! — rozległ się ryk Telmarów. Kaspian i Edmund pobledli, czując niepokój wypełniający chłodem ich serca.

— Teraz przyjął kilka strasznych ciosów — powiedział Edmund.

— Hej! Co się teraz dzieje? — zawołał Kaspian.

— Rozłączyli się. Chwila oddechu, jak sądzę. Spójrz, znowu walczą, teraz z większą rozwagą i wyczuciem. Krążą wokół siebie, każdy próbuje poznać obronę przeciwnika.

— Obawiam się, że Miraż dobrze zna to rzemiosło — powiedział Doktor, któremu wzrok nie bardzo już dopisywał.

— Wielki Król ugodził go w pachę — powiedział Kaspian klaszcząc — dokładnie w to miejsce, w którym napierśnik styka się z rękawem. Pierwsza krew.

— Ale teraz znowu nie jest dobrze — odezwał się Edmund po jakiejś chwili. — Piotr nie wykorzystuje w pełni swojej tarczy. Wygląda na to, że jest ranny w lewe ramię.

W rzeczywistości było jeszcze gorzej. Wszyscy widzieli, że tarcza Piotra zwisa bezwładnie u jego boku. Krzyki Telmarów przybrały na sile.

— Widziałeś więcej walk ode mnie — powiedział Kaspian. — Czy są jakieś szanse?

— Nie są duże — odpowiedział Edmund. — Ale mam wciąż nadzieję, że PO PROSTU zwycięży. Jeśli będzie miał szczęście.

— Och, dlaczego w ogóle zgodziliśmy się na ten pomysł! — jęknął Kaspian.

Nagle okrzyki po obu stronach ucichły. Edmund wpatrywał się w szranki zaskoczony, ale po chwili powiedział:

— Aha, teraz już rozumiem. Zgodzili się na przerwę w walce. Chodźmy, Doktorze. Może uda nam się zrobić coś dla Wielkiego Króla.

Zbiegli do szranków i Piotr wyszedł ku nim zza lin, z twarzą czerwoną od wysiłku i mokrą od potu. Oddychał ciężko.

— Czy jesteś ranny w lewe ramię? — zapytał Edmund.

— Właściwie to nie jest rana — odpowiedział Piotr. — Przyjąłem na tarczę cały ciężar jego barku, jakby się na mnie zwał wóz pełen cegieł, i uchwyt tarczy uszkodził mi przegub. Nie sądzę, aby kość pękła, ale wygląda to na zwichnięcie. Jeżeli zwiążecie mi rękę bardzo mocno, to chyba jakoś wytrzymam.

Kiedy to robili, Edmund zapytał z niepokojem:

— Co o nim myślisz, Piotrze?

— Twardy. Bardzo twardy. Mam pewną szansę, jeśli uda mi się utrzymać go na odległość miecza, aż jego waga i krótki oddech, a także upał, pozbawią go sił. Ale, mówiąc szczerze, to cała moja szansa. Pozdrów ode mnie wszystkich, wszystkich w domu, Edziu, jeśli przegram. No, już wchodzi za liny. Bywaj, stary. Do widzenia, Doktorze. I proszę, cię, Edziu, powiedz coś specjalnie miłego Zuchonowi. To prawdziwy zuch, można na nim polegać.

Edmund nie był w stanie nic powiedzieć. Wrócił z Doktorem do reszty armii, czując dziwną słabość w żołądku.

Ale drugie starcie rozpoczęło się bardziej szczęśliwie. Piotr mógł teraz robić użytek ze swojej tarczy, a jeszcze lepszy ze swoich nóg. Tańczył wokół Miraza, utrzymując dystans i zmieniając raz po raz pozycję. Pojedynek zaczął przypominać zabawę w kotka i myszkę.

— Tchórz! — Telmarowie zaczęli gwizdać i pohukiwać. — Dlaczego unikasz starcia? Nie uśmiecha ci się to, co? Zapomniałeś, że tu trzeba walczyć, a nie tańczyć? Dalej!

— Och, modlę się, żeby ich przypadkiem nie posłuchał — odezwał się Kaspian.

— Nie on — powiedział Edmund. — Nie znasz go... Och!

Bo w tej chwili Mirazowi udało się wreszcie zadać cios. Klinga uderzyła w hełm Piotra, który zachwiał się i upadł na jedno kolano. Ryk Telmarów przypominał teraz huk wzburzonego morza.

— Teraz! Teraz, Mirazie! — wyli. — Szybko! Szybko! Zabij go!

Uzurpator nie potrzebował jednak ich zachęty: już był nad Piotrem. Edmund zagryzł wargi do krwi, kiedy miecz spadał ze świstem. Cios zadany był z taką siłą, że wydawało się, iż rozłupie Piotrowi czaszkę. Ale — dzięki Bogu! — klinga ześliznęła się po gładkiej krzywiźnie i ugodziła w prawe ramię. Wykuta przez karłów kolczuga wytrzymała cios.

— O holender! — krzyknął Edmund. — Już się podniósł. Piotrze, wytrzymaj!

— Nie mogę dostrzec, co się dzieje — powiedział Doktor. — Jak on to zrobił?

— Złapał Miraza za rękę, gdy ten ją opuścił, zadając cios — wołał Zuchon, tańcząc ze szczęścia. — To ci dopiero! Użył ręki przeciwnika jako laski! Oto nasz wódz! Wielki Król! Wielki Król! Niech żyje Stara Narnia!

— Popatrzcie! — powiedział Truflogon. — Miraż zaczyna się wściekać. To bardzo dobrze.

Teraz obaj przeciwnicy postawili już wszystko na jedną kartę. Wymieniali ciosy tak szybko i zażarcie, że aż trudno było uwierzyć, iż żaden z nich nie był śmiertelny. W miarę jak napięcie rosło, krzyki zamierały, aż zapanowała cisza. Widzowie wstrzymali oddechy. Była to najstraszniejsza i jednocześnie najwspanialsza chwila.

Nagle Starzy Narnijczycy wydali głośny okrzyk. Miraż upadł twarzą na ziemię — i to nie po ciosie Piotra, ale potknąwszy się na kępce trawy. Piotr cofnął się i czekał, aż król wstanie na nogi.

— A niech to licho, niech to licho porwie! — jęknął Edmund do siebie. — Czy on musi być aż tak rycerski? Chyba musi. Jest przecież nie tylko rycerzem, ale i Wielkim Królem. Sądzę, że to by się podobało Aslanowi. Ale przecież ten potwór zaraz wstanie, a wtedy...

Ale „potwór” nie wstał. Baronowie Podlizar i Sobiepan uznali, że czas, by wkroczyć do akcji. Jak tylko zobaczyli, że ich król leży na ziemi, podnieśli miecze, wołając:

— Hańba! Hańba! Narnijski zdrajca ugodził go w plecy, gdy leżał bezbronny na ziemi! Do broni! Do broni, Telmarowie!

Piotr wciąż nie mógł zrozumieć, co się właściwie dzieje. Zobaczył dwóch wielkich Telmarów, biegnących ku niemu z obnażonymi mieczami. Potem trzeci przeskoczył przez linę z lewej strony.

— Do broni! Narnia! Zdrada! — zawołał. Pewnie nie zdążyłby w ogóle wydać z siebie głosu,

gdyby wszyscy trzej Telmarowie zaatakowali go jednocześnie, ale Podlizar zatrzymał się przy leżącym Mirazie i pchnął go mieczem. „To za twoją obelgę dziś rano” , wyszeptał wycierając klingę. Piotr skoczył, by odeprzeć atak Sobiepana. Ciął go w nogi i prawie jednocześnie, wywinąwszy mieczem młynka, rozłupał mu głowę. Przy jego boku stał już Edmund, wołając: „Narnia! Narnia! Aslan!” Ruszyła na nich cała chmara Telmarów. Ale teraz wkroczył do boju olbrzym, powoli prac do przodu i młócąc maczugą. Rozpoczęły szarżę centaury. Z tyłu brzdęknęły łuki karłów i ze świstem przeleciał grad strzał. Zuchon walczył już po jego lewej stronie. Zaczęła się prawdziwa bitwa.

— Wycofaj się, Ryczypisku, ośle jeden! — zawołał Piotr. — Tutaj może cię spotkać tylko śmierć. To nie miejsce dla myszy.

Ale śmieszne małe stworzonka już uwijały się po całym polu bitwy między nogami walczących, klując na prawo i lewo swoimi szpadami. Tego dnia wielu Telmarów poczuło nagle, jak tuzin cienkich ostrzy przeszywa im stopy. Podskakiwali na jednej nodze i przeklinali ból, a kiedy padali na ziemię, czekała ich już niechybna śmierć z rąk myszy. Była to okrutna i wielce skuteczna metoda: jeśli któremuś udało się utrzymać na nogach, natychmiast padał obok inny.

Ale zanim jeszcze Starzy Narnijczycy rozgrzali się w walce na dobre, poczuli, że wróg ustępuje. Srogo wyglądający wojownicy bledli nagle, pokazywali sobie w przerażeniu nie ich, Starych Narnijczyków, ale coś poza nimi, i rzucali miecze, wrzeszcząc:

— Drzewa! Drzewa! Koniec świata!

Wkrótce nie słychać już było ani ich krzyków, ani szczęku oręża, bo wszystko utonęło w przypominającym wzburzony ocean ryku obudzonych drzew, które minęły linie armii Piotra i ruszyły w pościg za Telmarami. Czy staliście kiedyś na skraju wielkiego lasu rosnącego na wysokim grzbiecie górskim, gdy dziki południowo-zachodni wicher uderzy weń w jesienny wieczór? Wyobraźcie sobie ten dźwięk. A potem wyobraźcie sobie, że drzewa, zawsze wrośnięte w jedno miejsce, ruszają nagle prosto na was i oto przestają być drzewami i zamieniają się w olbrzymich ludzi, a jednak wciąż przypominają drzewa, bo ich długie ręce kołyszą się jak konary, głowy podnoszą się i opadają, liście lecą naokoło jak deszcz. Tak to właśnie widzieli Telmarowie, a nawet Narnijczycy byli trochę zaniepokojeni. W ciągu kilku minut całe wojsko Miraza pędziło już w dół, ku Wielkiej Rzece, w nadziei przedostania się przez most do Beruny i zorganizowania tam obrony za wałami i zamkniętymi bramami miasta.

Ale kiedy dotarli do Rzeki, czekała ich straszna niespodzianka. Mostu nie było. Zniknął już poprzedniego dnia. Ogarnęło ich jeszcze większe przerażenie i w panice wszyscy się poddali.

A co właściwie stało się z mostem?

Wczesnym rankiem, po kilku godzinach snu, dziewczynki obudziły się i zobaczyły Aslana, który stał nad nimi i mówił:

— Wstawajcie, zrobimy sobie święto!

Przetarły oczy i rozejrzały się dookoła. Drzewa już odeszły, w oddali widać było ich ciemną masę, napływającą powoli ku Kopcowi Aslana. Bachus i menady — jego dziwne, zwariowane towarzyszkę — byli wciąż w pobliżu. Łucja skoczyła na nogi, całkowicie wypoczęta. Wszyscy się już obudzili, wszyscy się znowu śmiali i znowu rozśpiewały się flety i rozdzwoniły cymbały. Wokół nich zgromadziły się tłumy zwykłych, niemych zwierząt.

— A co teraz będzie, Aslanie? — zapytała Łucja. Oczy jej się śmiały, a nogi same rwały się do tańca.

— Chodźcie, dzieci — powiedział Lew. — Dzisiaj będziecie znowu jechać na moim grzbiecie.

— Och, cudownie! — krzyknęła Łucja i obie wspięły się szybko na ciepły, złocisty grzbiet, jak to

już kiedyś zrobiły — dawno, dawno, nikt nie wie, ile lat temu. A potem ruszyli w drogę. Aslan na przedzie, za nim Bachus i menady, podskakując, goniąc się i wywijając koziółki. Wokół nich wszędzie brykały najróżniejsze zwierzęta, a Sylen na osiołku zamykał pochód. Skierowali się nieco w prawo, zbiegli w dół po stromym zboczu i znaleźli się nad Rzeką, przed Mostem Beruny. Zanim jednak na niego weszli, z wody wynurzyła się wielka, mokra i brodata głowa opleciona wieńcem z sitowia. Spojrzała na Aslana, a z jej ust rozległ się głęboki głos:

— Bądź pozdrowiony, Aslanie! Uwolnij nas z łańcuchów!

— A cóż TO takiego? — szepnęła Zuzanna.

— To chyba Wodnik, duch Rzeki. Ale cicho! — odpowiedziała Łucja.

— Bachusie — powiedział Aslan — uwolnij go z łańcuchów.

„Zdaje mi się, że chodzi o most” — pomyślała Łucja. I miała rację. Bachus i jego towarzyszeki wskoczyli do płytkiej wody i za chwilę zaczęły się dziać bardzo dziwne rzeczy. Wielkie, mocne pnącza bluszczu nagle skłębiły się wokół wszystkich przeseł mostu, rosnąc tak szybko, jak płomień ognia. Oplatały kamienie, wciskały się w szczeliny, aż w końcu wielkie głązy zaczęły się z trzaskiem kruszyć, pękać i rozdzielać. Przez kilka chwil most był jednym wielkim żywopłotem, a potem z hukiem i dudnieniem zapadł się nagle w spienione fale. Z pluskiem, wrzaskiem i śmiechem cała wesoła kompania przeprawiła się — brodząc, płynąc lub tańcząc — przez dość płytką w tym miejscu Rzekę („Hurra! Znowu mamy Bród Beruny!” — zawołały dziewczynki) i wyszła na przeciwległy brzeg, na bulwary i ulice miasta.

Na ich widok wszyscy zaczęli uciekać w popłochu. Pierwszym domem, do którego przyszli, była szkoła. Grupa narnijskich dziewcząt ze schludnie splecionymi warkoczami, w brzydkich, ciasnych, uwierających szyje kołnierzykach i w grubych pończochach, od których swędziały nogi, miała właśnie lekcję historii. „Historia” — której nauczano w Nowej Narnii za rządów Miraza, była jeszcze nudniejsza niż najprawdziwsza historia, o jakiej kiedykolwiek czytaliście, i mniej prawdziwa niż najbardziej fantastyczna książka przygodowa.

— Gwendolino, jeżeli nie zaczniesz wreszcie uważać — powiedziała właśnie nauczycielka — i jeśli nie przestaniesz wyglądać przez okno, postawię ci dwóję ze sprawowania.

— Ale, pani Pryzello... — zaczęła Gwendolina.

— Słyszałaś, co powiedziałam, Gwendolino? — zapytała pani Pryzella.

— Proszę mi wybaczyć, pani Pryzello — odpowiedziała Gwendolina — ale tam jest LEW!

— Druga dwója z zachowania za mówienie bzdur

— powiedziała pani Pryzella. — A teraz...

A teraz przerwał jej głośny ryk, a do klasy wtargnęły przez okna pnącza bluszczu. Ściany pokryła zielona, migocząca masa. Tam, gdzie był sufit, zwisały teraz ciężkie girlandy obsypanych liśćmi gałązek. Pani Pryzella stwierdziła, że stoi w trawie na leśnej polanie. Złapała się kurczowo swojego stolika, bo zakreśliło się jej w głowie, lecz odkryła, że stolik zamienił się w krzak róży. Jakieś dziwne istoty, jakich nigdy nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, krążyły wokół niej. Potem zobaczyła Lwa i zaczęła z piskiem uciekać, a za nią cała klasa, składająca się w większości z przysadzistych, nadętych i bardzo nudnych dziewczynek o tłustych nóżkach. Została tylko Gwendolina.

— Czy chcesz się do nas przyłączyć, kochanie?

— zapytał Aslan.

— Och, a mogę? Dziękuję, dziękuję! — zawołała Gwendolina. Natychmiast schwyciła wyciągnięte do niej dłonie dwóch menad, które zaczęły ją okręcać w wesołym tańcu, a potem szybko pomogły jej uwolnić się od najbardziej niewygodnych i zupełnie niepotrzebnych części szkolnego mundurka.

I tak było wszędzie, gdzie tylko się pojawili w owym małym, spokojnym niegdyś miasteczku Beruna. Większość mieszkańców uciekła, reszta przyłączyła się do radosnego pochodu. Miasteczko opuszczała jeszcze większa i jeszcze bardziej wesola gromada.

Szli teraz przez równinę, ciągnącą się wzdłuż północnego brzegu Rzeki. Z każdej zagrody wybiegały zwierzęta, aby się do nich przyłączyć. Stare, ponure osły, które nie wiedziały przedtem, co to jest zabawa, stawały się nagle młode; psy zrywały się z łańcuchów; konie roztrzaskiwały swoje wozy na kawałki i przybiegały do nich truchtem, wzbijając kopytami błoto i rżąc radośnie.

Na podwórzu jednego z gospodarstw, przy studni, natrafili na mężczyznę, który okładał kijem jakiegoś chłopca. Z kija wystrzeliły nagle kwiaty, a kiedy chciał go odrzucić, przrósł mu do ręki. I oto w mgnieniu oka jego ramię zamieniło się w gałąź, tułów w pień, a stopy w korzenie. Chłopiec przestał płakać, wybuchnął radosnym śmiechem i szybko się do nich przyłączył.

W małym miasteczku, leżącym w połowie drogi do Bobrowej Tamy, gdzie spotykają się dwie rzeki, zobaczyli inną szkołę, w której bardzo mizerna i zmęczona panienska uczyła arytmetyki gromadkę chłopców bardzo przypominających prosiaki. Wyjrzała przez okno i zobaczyła wesolą leśną gromadę, tańczącą i śpiewającą na ulicy. Dreszcz radości przeszył jej serce. Aslan zatrzymał się pod oknem i spojrzał na nią.

— Och, nie, nie — zawołała. — Tak bym chciała, ale przecież nie mogę. Muszę spełniać swoje obowiązki. Dzieci by się przestraszyły, gdyby ciebie zobaczyły.

— Przestraszyły? — powtórzył najbardziej prosiakowaty chłopiec. — Do kogo ona mówi? Powiemy inspektorowi, że ona rozmawia z ludźmi przez okno, zamiast nas uczyć.

— Chodźcie, zobaczymy, kto tam jest — powiedział drugi chłopiec i wszyscy zaczęli się tłoczyć do okna. Ale jak tylko małe główki pojawiły się w otwartym oknie, Bachus zakrzyczał dziko: „Euau — euoi — oi — oi!” i chłopcy zaczęli wrzeszczeć ze strachu, a potem rozbiegli się w panice, czmychając przez drzwi i okna gdzie pieprz rośnie. Mówiono później (trudno powiedzieć, czy to prawda, czy nie), że już nigdy więcej nie widziano tych chłopców, ale w okolicy pojawiło się małe stadko różowych i tłustych prosiaczków, którego tu nigdy przedtem nie było.

— Chodź do nas, moje serduszko — powiedział Aslan do nauczycielki, a ona wyskoczyła szybko przez okno i przyłączyła się do radosnego pochodu.

Przy Bobrowej Tamie przeszli z powrotem przez Rzekę i skierowali się na wschód, wzdłuż południowego brzegu. Natrafili na mały, wiejski domek, w którego drzwiach stało płaczące dziecko.

— Dlaczego płaczesz, kochanie? — zapytał Aslan. Dziecko, które nigdy nie widziało lwa nawet na obrazku, wcale się go nie przestraszyło.

— Moja ciocia jest bardzo chora — powiedziało. — Chyba umrze.

Aslan chciał wejść do środka, ale drzwi okazały się za małe, więc wsadził tylko łeb (Łucja i Zuzanna zeskoczyły szybko z jego grzbietu czując, co się święci), napał barkami, podniósł cały dom i odrzucił go na bok. Zobaczyli starą kobietę, wyglądającą, jakby w niej płynęła krew karłów. Leżała w łóżku, które stało teraz pod gołym niebem. Była już u wrót śmierci, ale kiedy otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą jasną, okoloną grzywą twarz Lwa, nie wrzasnęła ani nie zemdląła ze strachu, tylko powiedziała:

— Och, Aslan! Wiedziałam, że to prawda. Czekałam na ciebie przez całe życie. Czy przyszedłeś, aby mnie zabrać ze sobą?

— Tak, moja kochana — powiedział Aslan. — Ale to jeszcze nie będzie daleka podróż. — I kiedy to mówił, na jej bladej twarzy pojawił się rumieniec — jak blask różowiały brzeg chmurki o wschodzie słońca — oczy zajaśniały, usiadła w łóżku i powiedziała:

— Naprawdę, czuję się już lepiej! Chyba mogę sobie pozwolić na małe śniadanko?

— Służę ci, mateczko — powiedział Bachus, zanurzając cebrzyk w studni. A kiedy go jej podał, okazało się, że to nie woda, ale najprawdziwsze wino, czerwone jak jagody ostrokrzewu, gładzące podniebienie jak oliwa, krzepiące jak bycza krew, rozgrzewające jak herbata i chłodne jak rosa.

— Ejże, co ty zrobiłeś z naszą studnią? — zaśmiała się staruszka. — Ale to nie najgorsza zmiana, wcale nie najgorsza. — I wyskoczyła z łóżka.

— Pojedziesz na moim grzbiecie — powiedział Aslan. — A wy, moje królowe, będziecie teraz musiały biec.

— Wcale nas to nie martwi — odpowiedziała Zuzanna.

I ruszyli dalej.

I tak, wśród wesołych podskoków, tańców i pieśni, z muzyką, śpiewaniem, porykiwaniem, szczekaniem i rżeniem, przybyli w końcu do miejsca, w którym całe wojsko Miraza stało, porzuciwszy miecze, z rękami podniesionymi do góry, a armia Piotra otaczała ich ze wszystkich stron z bronią w rękach, dysząc ciężko, lecz z triumfem na twarzach. A pierwszą rzeczą, jaka się wydarzyła, było to, że staruszka zsunęła się z grzbietu Lwa, podbiegła do Kaspiana i rzuciła mu się w objęcia. Ucałowali się serdecznie, albowiem była to jego stara niania.

Rozdział 15

ASLAN ROBI DRZWI W POWIETRZU

NA WIDOK ASLANA policzki telmarskich żołnierzy pokryły się trupią bledością, kolana zaczęły im stukać jedno o drugie, a wielu padło na twarz. Nie wierzyli przedtem w lwy i teraz bali się jeszcze bardziej. Nawet Czerwone Karły, które wiedziały już, że przychodzi jako sprzymierzeniec, stały z otwartymi ustami, a głos zamarł im w gardłach. Kilku Czarnych Karłów, należących do grupy Nikabrika, zaczęło chyłkiem uciekać. Natomiast wszystkie mówiące zwierzęta cisnęły się do Lwa, mrużąc, chrząkając, popiskując i rżąc z radości, wymachując ogonami, łaszcząc się i ocierając o niego, trącąc go nosami i przebiegając tam i z powrotem pod jego brzuchem oraz między łapami. Jeśli widzieliście kiedy małego kotka łaszczącego się do wielkiego psa, którego zna i do którego czuje zaufanie, to będziecie mogli wyobrazić sobie to, co działo się wokół Aslana. A potem przez tłum zwierząt przecisnął się Piotr, prowadząc Kaspiana.

— To jest Kaspian, panie — powiedział. A Kaspian ukląkł na jedno dolano i ucałował łapę Lwa.

— Witaj, książę — powiedział Aslan. — Czy czujesz w sobie dość siły i mądrości, aby objąć panowanie nad Narnią?

— Ja... ja... nie sądzę, abym coś takiego czuł, panie — wyjąkał Kaspian. — Jestem jeszcze chłopcem.

— To dobrze — odpowiedział Aslan. — Bo gdybyś to czuł, byłby to najlepszy dowód, że brakuje ci i sił, i mądrości. Dlatego też mocą naszą i mocą Wielkiego Króla Piotra czynimy cię Królem Narnii, Panem na Ker-Paravelu, Cesarzem Samotnych Wysp. Ciebie i twoich dziedziców, póki będzie żył twój ród. Twoja koronacja... ale cóż tutaj mamy?

Przerwał, bo w tej chwili ukazała się dziwna procesja: jedenaście myszy, z których sześć niosło nosze zrobione z gałązek, nosze nie większe od dużego atlasu. Nikt jeszcze nie widział myszy bardziej od nich przygnębionych i nieszczęśliwych. Wszystkie pokryte były błotem — a niektóre

krwią — uszy i wąsy zwisały im żałośnie, ogony wlokły się po trawie, a trębacz grał na malutkiej piszczałce smutną melodię. Na noszach leżało coś, co nie wyglądało lepiej niż kawałek zmozonego futerka — wszystko, co pozostało po walecznym Ryczypisku. Wciąż jeszcze oddychał, ale widać było, że kołacze w nim tylko słaba iskierka życia. Miał liczne rany, jedną łapkę zmiażdżoną, a w miejscu ogona widać było tylko obandażowany kikut.

— Teraz twoja kolej, Łucjo — powiedział cicho Aslan.

Łucja natychmiast wydobyła swój diamentowy flakonik. Chociaż na każdą ranę Ryczypiska wystarczyła tylko jedna kropla cudownego leku, ran było tyle, że długo trwała pełna napięcia cisza, zanim Łucja skończyła i Pan Mysz zeskoczył z noszy. Jedną ręką powędrowała natychmiast do rękoności szpady, a druga podkręciła wąsy. Potem skłonił się.

— Witaj, Aslanie! — rozległ się przenikliwy głosik. — Mam honor... — i nagle urwał.

Nie wiadomo dlaczego: czy Łucja o tym zapomniała, czy też czarodziejski kordiał leczył tylko rany, a nie mógł spowodować, by odrastały utracone członki — dość, że Ryczypisk wciąż nie miał ogona. Stwierdził jego brak, gdy składał swój wyszukany ukłon; być może ogon pomagał mu zwykle zachować przy tym równowagę. Spojrzał przez ramię, a ponieważ ogona wciąż nie było widać, wykręcał szyję coraz bardziej, aż wreszcie musiał się cały obrócić. Oczywiście razem z szyją i tułowiem obracał się również jego zadek, co sprawiało, że wciąż nie mógł go zobaczyć. Spróbował jeszcze raz, niestety, z tym samym skutkiem. Dopiero gdy wykonał trzy pełne obroty, dotarła do niego straszliwa prawda.

— Jestem zmieszany — powiedział do Aslana.

— Jestem naprawdę w głębokiej konfuzji. Błagam o wybaczenie za tak niestosowny wygląd.

— Nie widzę w tym nic niestosownego, mój mały — powiedział Aslan.

— Jednak — odpowiedział Ryczypisk — jeśli tylko można by coś z tym zrobić... Może wasza wysokość?... — i skłonił się nisko przed Łucją.

— Ale po co ci koniecznie ogon? — zapytał Aslan.

— Panie mój, mogę bez niego jeść i spać, a także umrzeć za mojego króla. Ale ogon to honor i chwała każdej myszy.

— Czasami zastanawiam się, przyjacielu — powiedział Aslan — czy nie za dużo myślisz o swoim honorze.

— O najwyższy z wielkich królów! — odezwał się Ryczypisk. — Pozwól mi zwrócić uwagę na to, że myszy zostały obdarzone bardzo małym wzrostem i jeżeli nie będziemy strzec naszej godności, niektórzy (ci, co mierzą swą wartość centymetrem) mogą sobie pozwolić na bardzo nieprzyjemne żarty pod naszym adresem. Właśnie dlatego zadaję sobie trochę trudu, aby było wiadome, że nikt, kto nie chce poczuć końca tej szpady blisko swego serca, nie będzie w mojej obecności opowiadał o Pułapkach, albo o Pieczonym Serze, albo o Świecach. Nie, panie, nie pozwolę na to nawet najwyższemu głupcowi w całej Narnii!

I spojrzał bardzo groźnie na Świdrogrzmota, ale olbrzym, do którego wszystko docierało z pewnym opóźnieniem, nie odkrył jeszcze, kto tam przemawia w dole, koło jego stopy, i nie pochwycił aluzji.

— A czy mogę zapytać, dlaczego to wszyscy twoi towarzysze dobyli mieczy? — zapytał Aslan.

— Niech wasza wielka wysokość pozwoli mi wyjaśnić — powiedział jeden z małych rycerzy. — Jesteśmy gotowi odciąć sobie ogony, jeśli nasz wódz będzie musiał odejść stąd bez swojego. Nie moglibyśmy znieść wstydu obnoszenia naszego honoru, jeśli by brakowało go Wielkiej Myszy.

— Ach! — zaryczał Aslan. — Zawojowaliście mnie. Macie wielkie serca. I nie z powodu twojej godności, Ryczypisku, ale z powodu miłości, jaka łączy cię z twoim ludem, a jeszcze bardziej z powodu dobroci, jaką twoi poddani okazali mi dawno temu, kiedy na tym Kamiennym Stole

przegryźli moje więzy (i właśnie wtedy, choć już tego nie pamiętacie, staliście się MÓWIĄCYMI myszami) — będziesz miał znowu swój ogon!

I zanim skończył mówić, ogon był na swoim miejscu. A potem, na rozkaz Aslana, Piotr pasował Kaspiana na Rycerza Zakonu Lwa, a Kaspian, gdy tylko został rycerzem, nadał tę samą godność Truflogonowi, Zuchonowi i Ryczypiskowi, Doktora Korneliusa uczynił Wielkim Kanclerzem oraz potwierdził prawo Trzech Brzuchatych Niedźwiedzi do pełnienia godności mistrza turnieju z prawem dziedziczości. A wszyscy przyjęli to z wielkim entuzjazmem.

Potem — bez szyderstw i uderzeń, ale ze stanowczością — przeprowadzono telmarskich żołnierzy przez bród i zamknięto ich pod kluczem w miasteczku Beruna, gdzie wydano im piwo i wołowinę. Było przy tym trochę zamieszania, bo Telmarowie nienawidzą wody i boją się do niej wejść, podobnie jak nienawidzą i boją się lasów i zwierząt. Ale w końcu jakoś sobie z tą delikatną sprawą poradzono i zaczęła się najmilsza część tego długiego dnia.

Łucja siedziała blisko Aslana i czuła się szczęśliwa tak, że trudno to w ogóle opisać. Ale cóż wyprawiają te drzewa? Najpierw myślała, że to jakiś nowy taniec, bo rzeczywiście utworzyły dwa ruchome kręgi, z których każdy obracał się wolno w inną stronę. Potem zauważyła, że przez cały czas drzewa rzucają coś pomiędzy te dwa kręgi. Raz wydawało się jej, że są to długie pasma ich włosów, innym razem, że odłamują sobie długie palce, ale jeśli tak rzeczywiście było, to musiały mieć mnóstwo niepotrzebnych włosów i palców, i z całą pewnością nie sprawiało im to przykrości. Cokolwiek jednak rzucały, kiedy już to upadło na ziemię, zamieniało się w suche patyki i chrust. Wreszcie wystąpiło trzech lub czterech karłów z krzesiwami i hubką. Stos chrustu najpierw zatrzeszczał, potem zapłonął, aż w końcu wystrzelił w górę i zahuczał, jak przystało na leśne ognisko w letnią noc, a wszyscy usiedli wokół niego.

Potem Bachus, Sylen i menady zaczęli tańczyć. Był to taniec o wiele bardziej dziki niż taniec drzew. Był to taniec nie tylko radości i piękna, ale i magiczny taniec obfitości. Gdzie tylko stąpnęły ich nogi i nachyliły się dłonie, tam pojawiała się wszystko, czego potrzeba do wspaniałej uczy: połacie pieczonego mięsa, które napępniały cały las cudownym zapachem, pszenne placki i owsiane ciastka, miód i różnokolorowe głowy cukru, krem gęsty jak owsianka i aksamitny jak woda w sadzawce, brzoskwinie, morele, granaty, gruszki, winogrona, truskawki, maliny — całe piramidy i kaskady owoców. Potem, w wielkich drewnianych czarach, misach i dzbanach oplecionych bluszczem pojawiły się wina: ciemne i gęste jak morwowy syrop, klarowne i czerwone jak rozpuszczona czerwona galaretka, złote i zielone, a także złotozielone i zielonozłote.

Dla Drzewnego Ludu postarano się o inne smakołyki. Kiedy Łucja zobaczyła, jak Gburak Łopata i jego krety rozkopują murawę (w miejscach, które wskazywał im Bachus) i zrozumiała, że drzewa będą jadły ZIEMIĘ, trochę to nią wstrząsnęło. Ale kiedy zobaczyła ziemię, jaką przyniosły im krety, poczuła się zupełnie inaczej. Najpierw był ciemnobrązowy czarnoziem, który tak przypominał czekoladę w proszku, że Edmund nie mógł się powstrzymać, aby go nie skosztować; niestety, okazało się, że wygląd nie zawsze świadczy o smaku. Kiedy żyzny czarnoziem zaspokoił pierwszy głód drzew, zabrały się do ziemi, którą można zobaczyć w Anglii, w hrabstwie Somerset: jasnej gleby prawie różowego koloru. Według drzewiastych była ona lżejsza i słodsza. Na etapie serów podano im glebę kredową, a na koniec delikatny deser, składający się z najprzedniejszych żwirków posypanych wybornym srebrnym piaskiem. Nie piły wiele wina (ale i tak ostrokrzewy zrobiły się bardzo rozmowne) i swoje pragnienie gasiły wielkimi łykami rosy zmieszanej z deszczem i zaprawionej leśnymi kwiatami oraz przybranej białymi chmurkami.

I tak Aslan podejmował ucztą Narnijczyków, a słońce dawno już zaszło i pojawiły się gwiazdy. Wielkie ognisko, teraz gorętsze, lecz cichsze, jaśniało jak latarnia morska wśród ciemnych lasów, a

przerażeni Telmarowie patrzyli na nie z oddali i dziwili się, co to może być. Najlepsze w tej uczcie było to, że nie musiało się jej kończyć, a potem żegnać się i odchodzić. Kiedy gawędy cichły i zamierały, uczujący zaczęli po prostu jeden po drugim drzemać, a potem zapadali w głęboki sen, z nogami w stronę ogniska, z przyjaciółmi po bokach, aż w końcu nad polaną zapanowała głęboka cisza i dał się znowu słyszeć plusk wody obmywającej kamienie w Brodzie Beruny. I tylko Aslan i Księżyc patrzyli na siebie przez całą noc szeroko otwartymi i pełnymi radości oczami.

Następnego dnia rozesłano po całym kraju heroldów (którymi były głównie wiewiórki i ptaki), aby ogłosili odezwę do rozproszonych Telmarów — nie wyłączając tych, którzy byli uwięzieni w Berunie. Oznajmiono im, że teraz królem jest Kaspian, a Narnia będzie odtąd należeć nie tylko do ludzi, ale i do mówiących zwierząt, karłów, driad, faunów i innych leśnych stworzeń. Każdy, kto zechce się podporządkować nowym prawom, może pozostać w Narnii, a dla tych, którym się to nie będzie podobało, Aslan przygotował inny kraj. Wszyscy, którzy pragną się tam udać, muszą stawić się przed Aslanem i królami przy Brodzie Beruny w południe piątego dnia od ogłoszenia odezwy. Możecie sobie wyobrazić, jak się zaczęli skrobać w głowę Telmarowie w całej Narnii. Niektórzy, zwłaszcza młodszy, słyszeli już przedtem — podobnie jak Kaspian — opowieści o Dawnych Czasach i cieszyli się, że znowu wróciły. Ci zdążyli się już zaprzyjaźnić z mieszkańcami lasu, a teraz postanowili pozostać w Narnii. Ale większość starszych, a zwłaszcza ci, którzy uprzednio piastowali urzędy i godności, nadała się i nie chciała żyć w kraju, w którym nie mogła już odgrywać pierwszoplanowej roli. „Żyć tutaj, z tymi wszystkimi przeklętymi tresowanymi zwierzętami? Nigdy w życiu” , mówili. „I z duchami” , dodawali inni, wstrząsając się z obrzydzeniem. „Bo czym są naprawdę te driady i inne cudaki? Możecie sobie to wyobrazić?” Byli też podejrzliwi. „Nie można mieć do nich zaufania, do tego straszego Lwa i całej reszty. ZOBACZYCIE, że niedługo wyciągnie po nas swoje pazury” . Ale zawarta w odezwie obietnica znalezienia im drugiej ojczyzny też budziła nieufność. „Zawlecze nas do swojego legowiska i zje jednego po drugim, jak amen w pacierzu” , mruzcili pośpiesnie. A im dłużej rozprawiali o tym między sobą, tym bardziej robili się nadąsani i podejrzliwi. W końcu jednak więcej niż połowa Telmarów stawiała się o wyznaczonym czasie przy Brodzie Beruny.

Na jednym końcu polany Aslan kazał wbić w ziemię dwa długie, wyższe od człowieka paliki, tak że cała konstrukcja wyglądała jak drzwi prowadzące znikąd donikąd. O oznaczonej porze zebrali się przed nimi wszyscy: sam Aslan, mając po prawej stronie Piotra, a po lewej Kaspiana, Edmund, Zuzanna i Łucja, Zuchon i Truflogon, Doktor Kornelius, Gromojar, Ryczypisk i inni. Dzieci i karły zrobiły dobry użytek z królewskiej garderoby znalezionej w tym, co było kiedyś zamkiem Miraza, a teraz stało się siedzibą Kaspiana. Cóż to były za jedwabie i złotogłowy, coś za śnieżne płótna, bielejące między rozcięciami rękawów! I srebrzyste siatkowe koszulki, i wysadzone drogimi kamieniami rękojeści mieczów, i pozłacane hełmy, i aksamitne berety z pióropuszcami — wszystko to lśniło tak, że nie można było długo na nich patrzeć. Nawet zwierzęta zawiesiły sobie na szyjach bogate łańcuchy. Ale nikt nie przyglądał się ani dzieciom, ani karłom, ani zwierzętom. Wszystkie oczy wlepione były w Aslana, którego grzywa, opadając złocistą, żywą gęstwiną, jaśniała bardziej niż srebra i złotogłowy. Reszta Starych Narnijczyków stała w dwóch rzędach po obu brzegach polany, a na dalekim końcu zebrali się Telmarowie. Słońce świeciło jasno, proporce i sztandary łopotały na lekkim wietrze.

— Ludu Telmaru! — przemówił Aslan. — Wy, którzy szukacie nowej ojczyzny, posłuchajcie moich słów. Wyślę was do waszej własnej ojczyzny, którą ja znam, lecz której wy nie znacie.

— Nie pamiętamy Telmaru. Nie wiemy, gdzie on leży. Nie wiemy, jaki jest — zaczęli szemrać Telmarowie.

— Przyszlście do Narnii z Telmaru — mówił dalej Aslan — ale Telmar nie jest waszą prawdziwą ojczyzną. W ogóle nie należycie do tego świata. Przybyliście do niego wiele pokoleń temu ze świata, do którego należą Wielki Król Piotr.

Na te słowa połowa Telmarów wszczęła tumult, wykrzykując piskliwie:

— Sami widzicie! A nie mówiliśmy? Chce nas pozabijać, chce nas zgładzić z tego świata!

Druga połowa zaczęła natomiast wypinać piersi i poklepywać się nawzajem po ramionach mówiąc:

— Sami widzicie! Można było podejrzewać, że jesteśmy czymś lepszym od tego tłumu cudaczných, obmierzłych, nienaturalnych stworzeń. Widzicie, płynie w nas królewska krew! — I nawet Kaspian i Kornelius, a także czwórka dzieci, zwrócili się do Aslana z wyrazem zdumienia na twarzach.

— Spokój! — zagrzmał Aslan niskim głosem, bardzo już bliskim ryku. Ziemia zadrżała lekko i każde żywe stworzenie zamarło w milczeniu.

— Ty, szlachetny Kaspianie — powiedział Aslan — powinienesz wiedzieć, że nie mógłbyś zostać prawdziwym królem Narnii, gdybyś nie był Synem Adama i gdybyś nie pochodził ze świata Synów Adama, jak starożytni królowie. I jesteś nim. Wiele lat temu w tamtym świecie, na głębokim morzu, które nazywają tam Południowymi Morzami, okręt pełen piratów został rozbity przez burzę u brzegów pewnej samotnej wyspy. A oni zrobili to, czego się można było spodziewać po piratach: zabili krajowców i wzięli sobie ich kobiety za żony. Z palmy zrobili wino i pili je, zasypiając pijani w cieniu palmowych drzew. A potem budzili się, wszczynali kłótnie i często jeden zabijał drugiego. W czasie tych bójek sześciu zostało zmuszonych przez resztę do ucieczki, zabrali swoje kobiety i uciekli na wysoką górę, która wznosiła się pośrodku wyspy. Znaleźli tam jaskinię, w której się ukryli. Ale nie była to zwykła jaskinia. Było to jedno z magicznych miejsc, jedna ze szczelin między tym światem a tamtym. Dawno temu istniało wiele takich szczelin, lecz z biegiem czasu pozostawało ich coraz mniej. Ta była jedną z ostatnich, choć nie powiedziałem, że OSTATNIA. I stało się, że ci ludzie wpadli w tę szczelinę albo wspięli się przez nią, albo wpełzli w nią, albo przeciekli przez nią jak woda, dość że znaleźli się w tym świecie, w krainie Telmar, która nie była wówczas zamieszkana. A dlaczego była nie zamieszkana, to długa historia, opowiem wam ją innym razem. I tak żyli w Telmarze, a ich potomkowie stali się ludem dumnym i dzikim. Po wielu stuleciach nastał w Telmarze wielki głód i wtedy to najechali na Narnię, w której panował wówczas chaos (ale to również jest długa historia), podbili ją i zaczęli w niej panować. Czy słuchasz mnie uważnie, królu Kaspianie?

— Słucham z najwyższą uwagą, panie mój — odpowiedział Kaspian. — I wolałbym mieć bardziej szlachetne pochodzenie.

— Pochodzisz od Pana Adama i Pani Ewy — powiedział Aslan. — To wystarczy, by najędzniejszy z żebraków podniósł dumnie głowę, i wystarczy też, by największy na ziemi władca pochylił swe ramiona ze wstydu. Bądź zadowolony.

Kaspian skłonił się.

— A więc, mężowie i niewiasty Telmaru, czy chcecie wrócić do świata ludzi, na wyspę, z której wyszli wasi praojcowie? To nie jest złe miejsce. Potomkowie piratów dawno już wymarli i wyspa jest bezludna. Są tam źródła słodkiej wody i żyzna ziemia, drzewo na budulec i ryby w zatokach, a inni ludzie z tamtego świata jeszcze jej nie odkryli. Szczelina jest wciąż otwarta. Muszę was jednak ostrzec, że kiedy raz przez nią przejdziecie, zamknie się za wami na zawsze. Nie będzie już w tym miejscu połączenia między dwoma światami.

Zapanowała cisza. Potem jakiś krzepki, przyzwoicie wyglądający żołnierz wysunął się z tłumu Telmarów i powiedział:

— Zgoda. Ja przyjmuję tę propozycję.

— To dobry wybór — rzekł Aslan. — A ponieważ przemówiłeś pierwszy, bądź spokojny o swoją przyszłość w tamtym kraju. Podejdź tu.

Twarz mężczyzny pobladła, ale podszedł i stanął przed Lwem. Cały dwór rozstał się, pozostawiając mu wolną drogę do przejścia zrobionego z trzech tyczek.

— Przejdź przez to, mój synu — powiedział Aslan, nachylił się i lekko dotknął jego nosa swoim. Gdy tylko oddech Lwa owionął żołnierza, w jego oczach pojawił się nowy wyraz — wyraz zaskoczenia, jakby próbował sobie coś przypomnieć, a to coś było bardzo przyjemne. Wyprostował się i przeszedł przez Drzwi.

Wszystkie oczy były w niego utkwione. Wszyscy widzieli trzy drewniane tyczki, a pomiędzy nimi drzewa, trawę i niebo Narnii. Widzieli mężczyznę między tyczkami, a potem — w jednej sekundzie — już go nie było.

Z drugiego końca polany, gdzie zgromadziła się reszta Telmarów, rozległ się głośny lament.

— Och! Co się z nim stało! Czy chcesz nas wszystkich pozabijać? Nie przejdziemy tamtędy!

A jeden z mądrzejszych Telmarów powiedział:

— Nie widzimy żadnego innego świata między tymi tyczkami. Jeśli chcesz, abyśmy ci uwierzyli, dlaczego jeden z WAS nie przejdzie pomiędzy nimi? Wszyscy twoi przyjaciele jakoś się trzymają z dala od tych drzwi.

Jeszcze nie przebrzmiały jego słowa, gdy z gromadki dworzan wystąpił Rycypisk, skłonił się i powiedział:

— Jeżeli mój przykład może się na coś przydać, Aslanie, ja sam na czele moich jedenastu towarzyszy przejdę bez wahania między tymi tyczkami!

— Nie, mój mały — odparł Aslan, kładąc ostrożnie swoją aksamitną łapę na głowie Rycypiska. — Okropne rzeczy czekałyby cię w tamtym świecie. Pokazywano by cię na jarmarkach. Nie, to inni muszą dać przykład.

— Chodźcie — powiedział nagle Piotr do Edmunda i Łucji. — Nasz czas nadszedł.

— Co masz na myśli? — zapytał Edmund.

— Tędy! — krzyknęła Zuzanna, która sprawiała wrażenie, jakby była w coś wtajemniczona. — Tu, między drzewa. Musimy to zmienić.

— Co zmienić? — zapytała Łucja.

— Zmienić ubrania, rzecz jasna — odpowiedziała Zuzanna. — Ale byśmy głupio w TYM wyglądali na peronie małej angielskiej stacji.

— Ale przecież nasze stare ubrania są w zamku Kaspiana — zauważył Edmund.

— Nie, już ich tam nie ma — odezwał się milczący dotąd Piotr, który prowadził ich w najgęstsze zarośla. — Są tutaj. Zostały przyniesione dziś rano w tobołku. Wszystko jest gotowe.

— A więc to o tym mówił Aslan dziś rano tobie i Zuzannie? — zapytała Łucja.

— Tak, i o wielu innych rzeczach — powiedział Piotr z uroczystą miną. — Nie mogę tego powtórzyć wam wszystkim. Były tam rzeczy, o których chciał powiedzieć tylko mnie i Zuzannie, ponieważ my dwoje już nigdy nie wrócimy do Narnii.

— Nigdy?! — krzyknęli jednocześnie Edmund i Łucja z przerażeniem.

— Och, to was nie dotyczy — odpowiedział Piotr. — Bo z tego, co mówił, wynika, że w każdym razie wy wróćcie tu pewnego dnia. Ale Zuzanna i ja... już nigdy. Powiedział, że robimy się za starzy.

— Ach, Piotrze — zawołała Łucja — cóż to za pech! Możesz to znieść?

— No cóż, myślę, że jakoś to zniosę — odpowiedział Piotr. — Wszystko wygląda trochę inaczej,

niż myślałem. Zrozumiecie to, kiedy nadejdzie wasz ostatni raz. A teraz pospieszcie się, tu są wasze rzeczy.

Nie był to dla nich miły powrót, teraz kiedy już zdjęli królewskie szaty i mieli na sobie swoje szkolne ubranka (niezbyt świeże, należy dodać). Wśród Telmarów dały się słyszeć pojedyncze gwizdy. Ale reszta mieszkańców Narnii powstała i zaczęła wiwatować na cześć Wielkiego Króla Piotra, królowej Zuzanny od Zaczarowanego Rogu, króla Edmunda i królowej Łucji. A potem były serdeczne i (przynajmniej jeśli chodzi o Łucję) nie wolne od łez pożegnania ze starymi przyjaciółmi: całusy ze zwierzętami, uściski z Brzuchatymi Misiami, ściskanie rąk z Zuchonem, a na końcu łaskoczące całowanie z Truflogonem. I oczywiście Kaspian próbował oddać róg Zuzannie, i oczywiście Zuzanna powiedziała, aby go zatrzymał. A potem było pożegnanie cudowne i okropne zarazem, pożegnanie z samym Aslanem. Aż wreszcie Piotr stanął pierwszy, za nim Zuzanna, która położyła ręce na jego ramionach, Edmund położył ręce na jej ramionach, Łucja położyła ręce na jego ramionach, pierwszy z Telmarów położył ręce na jej ramionach — i tak, w długim rzędzie, ruszyli ku Drzwiom. A potem nadszedł moment, który trudno opisać, ponieważ dzieciom wydawało się, że widzą trzy rzeczy naraz. Jedną był czarny wylot jaskini, otwierającej się na zieleń i błękit jakiejś wyspy na Pacyfiku, na której mieli się już za chwilę znaleźć Telmarowie po przejściu przez Drzwi. Drugą była leśna polana w Narnii, twarze karłów i zwierząt, przepastne oczy Aslana i białe pasma na policzkach borsuka. A trzecią (która nagle pochłonęła tamte dwie) była szara, ponura płyta peronu na wiejskiej stacyjce i ławka z rozłożonymi wokół niej bagażami, na której wszyscy czworo siedzieli tak, jakby się z niej nigdy nie ruszali. Było to trochę nudne i ponure miejsce po tym wszystkim, co przeszli w Narnii, ale jednocześnie nieoczekiwanie miłe w swoisty sposób, ze znajomym kolejowym zapachem, angielskim niebem i jesiennym semestrem szkolnym przed nimi.

— No cóż — powiedział Piotr. — Ale MIELIŚMY przygodę!

— Psiakość! — zawołał Edmund. — Zostawiłem w Narnii swoją nową latarkę!

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział 1 Wyspa

Rozdział 2 Starożytny skarbiec

Rozdział 3 Karzeł

Rozdział 4 Opowieść karła

Rozdział 5 Przygody Kaspiana w górach

Rozdział 6 Lud mieszkający w ukryciu

Rozdział 7 Stara Narnia w niebezpieczeństwie

Rozdział 8 Jak wydostali się z wyspy

Rozdział 9 Co zobaczyła Łucja

Rozdział 10 Powrót lwa

Rozdział 11 Lew ryczy

Rozdział 12 Czarna magia

Rozdział 13 Pod wodzą Wielkiego Króla

Rozdział 14 Wszyscy są bardzo zajęci

Rozdział 15 Aslan robi drzwi w powietrzu